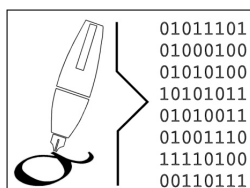


# Erich Maria Remarque

## Noc w Lizbonie

Przełożył Aleksander Matuszyn

Warszawa 1990



Erich Maria Remarque (1898-1970) w swoich poczytnych powieściach przedstawia losy ludzi uwikłanych w wydarzenia dziejowe (pierwsza i druga wojna światowa, narodziny III Rzeszy). W Polsce ukazały się jego powieści: „Na Zachodzie bez zmian”, „Łuk Triumfalny”, „Czas życia i czas śmierci”, „Trzej towarzysze”, „Cienie w raju”, „Czarny obelisk”.

Tematem „Nocy w Lizbonie” jest dramat emigrantów niemieckich, przeciwników faszyzmu, zmuszonych do opuszczenia Niemiec po dojściu Hitlera do władzy. Portugalia była ostatnim schronieniem uchodźców. Kto nie mógł wyruszyć stąd za Ocean, „musiał się wykrwawić w sieci przepisów paszportowych, zakazów pracy i ograniczeń pobytu, w atmosferze osamotnienia i okrutnej powszechnej obojętności wobec losu poszczególnego człowieka, którą pociąga za sobą wojna, strach i bieda”. Na tle tych bezlitosnych czasów ukazuje autor bezinteresowną, pełną wyrzeczeń miłość dwojga ludzi, których los dosięgnął w momencie, kiedy ostatni statek — niczym arka Noego — miał ich uchronić przed ogarniającym już Europę potopem.

## 1.

Patrzałem na statek jak urzeczony. Rzęście oświetlony, stał o krok od nabrzeża basenu portowego. Wciąż jeszcze nie mogłem przyzwyczać się do beztruskich światła Lizbony, chociaż w tym mieście przebywałem już od tygodnia. W krajach, z których przywędrowałem, miasta, niby kopalnie węgla, tonęły nocą w ciemnościach, a każdy błysk latarki w mroku był bardziej niebezpieczny niżeli morowe powietrze w średnio-wieczu. Przybyłem z Europy dwudziestego stulecia.

Był to statek pasażerski. Trwały właśnie prace przy jego załadunku. Wiedziałem, że następnego wieczoru odpłynię. W jaskrawym blasku nagich żarówek ładowano mięso, ryby, konserwy, chleb i warzywa; robotnicy dźwigali na pokład bagaże, a żuraw portowy przenosił skrzynie i paki tak bezszelestnie, jak gdyby wcale nie posiadały ciężaru. Statek gotował się do drogi, niby arka Noego w przeddzień potopu. Właściwie była to arka. Każdy statek opuszczający w tych miesiącach 1942 roku Europę, był czymś w rodzaju arki. Górę Ararat stanowiła Ameryka, a powódź przybierała z dnia na dzień. Zalała ona dawno Niemcy i Austrię; w jej odmętach pogrążyły się Polska i Praga, utonęły Amsterdam, Bruksela, Kopenhaga, Oslo i Paryż; cuchnęły nią miasta włoskie, a i w Hiszpanii nie było już bezpiecznie. Wybrzeża Portugalii były ostatnim schronieniem uchodźców, dla których sprawiedliwość, wolność i tolerancja znaczyły więcej niż ojczyzna i egzystencja. Kto nie mógł stąd wyruszyć do amerykańskiej ziemi obiecanej, był zgubiony. Musiał wykrwawić się w sieci przepisów paszportowych, zakazów pracy i ograniczeń pobytu, obozów dla internowanych i biurokracji, w atmosferze osamotnienia, obcości i okrutnej powszechnej obojętności wobec losu poszczególnego człowieka, którą pociąga za sobą wojna, strach i bieda. W tych czasach człowiek był niczym, o wszystkim decydował ważny paszport.

Po południu byłem w kasynie w Estoril — grałem. Miałem jeszcze przyzwoite ubranie, więc portier nie robił mi trudności. Była to ostatnia, rozpaczliwa próba wyzwania losu. Za kilka dni upływał termin naszego zezwolenia na pobyt w Portugalii, a nie mieliśmy z Ruth żadnej innej wizy. Ten okręt na Tajo był ostatni, którym — jak przypuszczaliśmy tam we Francji — mogłoby nam się jeszcze udać odpłynąć do Nowego Jorku.

Niestety, bilety były już od miesiący wyprzedane, a nam brakowało nie tylko wizy amerykańskiej, lecz i trzystu dolarów na opłacenie podróży. Próbowałem zdobyć te pieniądze w grze, w jedyny dostępny tu jeszcze sposób. Było to szaleństwo. Gdybym nawet wygrał, to i wtedy tylko jakiś cud mógł mi zapewnić miejsce na statku. Podczas uciezki człowiek zaczyna jednak wierzyć w cuda. W chwilach zwątpienia i niebezpieczeństwa tylko ta wiara ratuje go przed ostatecznym załamaniem się.

Z sześćdziesięciu dwóch dolarów, jakie posiadaliśmy, pięćdziesiąt sześć zostawiłem w kasynie gry.

Nabrzeże o tak późnej porze było prawie puste. W pewnym momencie dostrzegłem jednak sylwetkę jakiegoś mężczyzny; krążył bez celu, chwilami przystawał i podobnie jak ja długo przyglądał się statkowi. Przypuszczając, że to również jeden z wielu rozbitków, przestałem zwracać na niego uwagę. W pewnej chwili wyczułem jednak, że mnie obserwuje. Obawa przed policją nigdy nie opuszcza uciekiniera, nawet gdy nie ma żadnych powodów do lęku, nawet wtedy, gdy śpi. Zawróciłem więc niedbale i jak człowiek, który się nie ma czego obawiać, zacząłem powoli się oddalać.

Posłyszałem za sobą jego kroki, ale szedłem dalej, unikając wszelkiego pośpiechu i zastanawiając się, w jaki sposób zawiadomić Ruth, w razie gdyby mnie aresztowano. Pastelowe domki, skupione przy końcu nabrzeża i wyglądające wśród nocy jak śpiące motyle, były jeszcze zbyt daleko, bym mógł ryzykować uciezkę i bez obawy, że zostanę postrzelony, dobiec do nich i skryć się w wąskich uliczkach.

Mężczyzna zrównał się ze mną i szedł tuż obok. Był nieco niższy ode mnie.

— Czy pan jest Niemcem? — zapytał po niemiecku.

Pokręciłem przecząco głową i szedłem dalej.

— Austriakiem?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem przed siebie na kolorowe domki. Stanowczo zbyt wolno zbliżały się do mnie. Wiedziałem, że niektórzy portugalscy policjanci znają bardzo dobrze język niemiecki.

— Nie jestem z policji — powiedział mężczyzna.

Nie wierzyłem mu. Nie był w uniformie, ale już z sześć razy aresztowali mnie w Europie żandarmi ubrani po cywilnemu. Miałem wprawdzie przy sobie dokumenty wykonane nie najgorzej w Paryżu przez pewnego profesora matematyki z Pragi, mimo wszystko były one jednak fałszywe.

— Widziałem, jak pan wpatrywał się w statek — ciągnął nieznajomy. — Więc pomyślałem sobie...

Zmierzyłem go obojętnym wzrokiem. Nie wyglądał na policjanta, ale ostatni żandarm, który zatrzymał mnie w Bordeaux miał wygląd żalosny niczym Łazarz, gdy po trzech dniach wyszedł z grobu. A przecież właśnie ten policjant okazał się najbardziej bezwzględny ze wszystkich. Aresztował mnie, chociaż wiedział, że nazajutrz oddziały

niemieckie wkroczą do miasta. Oczywiście byłbym zginął, gdyby nie litościwy dyrektor więzienia, który mnie w kilka godzin później zwolnił.

— Czy chciałby pan pojechać do Nowego Jorku?

Nie odpowiedziałem. Jeszcze dwadzieścia metrów i jeżeli okaże się to konieczne, zwałę go z nóg i ucieknę.

— Mam dwa bilety na statek — powiedział sięgając do kieszeni.

Zobaczyłem kwity. W nikłym świetle nie mogłem ich przeczytać. Odeszliśmy dość daleko. Postanowiłem zaryzykować i zatrzymałem się w miejscu.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytałem po portugalsku. Kilka słów w tym języku umiałem.

— Mogę je panu oddać. Mnie nie są potrzebne.

— Nie są panu potrzebne? Jak to?

— Nie, nie są mi już potrzebne.

Przez chwilę przyglądałem mu się nie rozumiejąc, co ma na myśli. Czynił wrażenie, jak gdyby rzeczywiście nie był policjantem. Ostatecznie po to, żeby mnie aresztować, nie musiał uciekać się do tak dziwacznych chwytów. Ale jeżeli bilety są prawdziwe, dlaczego nie skorzysta z nich sam? Dlaczego mi je proponuje? Czyżby chciał je odprzedać? Czułem, jak serce zaczęło drżeć we mnie.

— Źle pan trafił — powiedziałem wreszcie po niemiecku. — Jestem bez grosza. Te bilety warte są majątek. W Lizbonie jest podobno sporo bogatych emigrantów, którzy zapłacą za nie każdą żadaną przez pana sumę.

— Nie chcę pieniędzy...

Znów rzuciłem okiem na karty.

— To są naprawdę bilety?

Nieznajomy podał mi je bez słowa. Zaszleściły w moim ręku. Były prawdziwe. Posiadanie tych biletów rozstrzygało o moim ratunku lub zgubie. Nawet brak wizy amerykańskiej nie obniżał ich wartości. Zresztą mając je w ręku, można było ubiegać się jeszcze jutro o wizę, a w ostateczności przynajmniej sprzedać i przedłużyć w ten sposób życie o sześć miesięcy. Nie, nie mogłem tego pojąć.

— Nie rozumiem pana — powiedziałem.

— Może je pan zatrzymać — odrzekł nieznajomy. — I nie zapłacić ani grosza. Wyjeżdżam z Lizbony jutro przed południem. Stawiam tylko jeden warunek.

Opuściłem ręce zniechęcony. Wiedziałem, że to nie może być prawda.

— Jaki warunek? — spytałem.

— Nie mogę tej nocy być sam.

— Chciałby pan, żebyśmy spędzili ją razem?

— Tak. Do jutra rano.

— To wszystko?

— To wszystko.

— I nic więcej?

— Nic więcej.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Przyzwyczyłem się wprawdzie do załamania ludzi, których los był podobny do mojego.

Wiedziałem, że często nie mogli znieść samotności, że trapił ich lęk przestrzeni, której im wszędzie odmawiano. Wiedziałem, że w jedną z takich nocy nawet przygodny towarzysz może uratować od samobójstwa. Ale udzielenie pomocy w takiej chwili jest sprawą zupełnie normalną. I za to nie żąda się wynagrodzenia. Tym bardziej takiego.

— Gdzie pan mieszka? — spytałem.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie chcę tam iść. Czy nie ma w pobliżu jakiegoś lokalu, w którym moglibyśmy posiedzieć? Coś takiego dla emigrantów, jak „Cafe de la Rose” w Paryżu?

Znałem „Cafe de la Rose”. Ruth i ja nocowaliśmy tam przez dwa tygodnie. Właściciel zezwalał na to, jeżeli zamawiało się kawę. Rozpościerało się dwie gazety i spało na podłodze. Nigdy nie kładłem się na stole; tak było bezpieczniej, z podłogi nie spadało się niżej.

— Nie mam pojęcia, nie znam żadnego.

Wiedziałem o takim lokalu, ale nie chciałem zaprowadzić człowieka, który miał do zaofiarowania dwie karty okrętowe, tam gdzie wielu ludzi zapłaciłoby za nie chętnie nawet utratą oka.

— Znam tu jeden tylko lokal — odpowiedział nieznajomy. — Jedźmy, może będzie jeszcze otwarty. — Skinął na samotnie stojącą taksówkę i popatrzał na mnie.

— Dobrze — odpowiedziałem.

Gdy wsiadaliśmy do auta, podał szoferowi adres. Najchętniej zawiadomiłbym Ruth, że nie wrócę tej nocy. Ale gdy wsiadałem do nieprzyjemnie pachnącej, ciemnej taksówki, opanowała mnie taka dzika, niepohamowana nadzieja, że czułem się całkowicie oszołomiony. Może rzeczywiście wszystko to jest prawda, może pozostaniemy przy życiu i niemożliwe stanie się faktem — będziemy uratowani. Nie ważyłem się już ani na chwilę pozostawić tego człowieka samego.

Minęliśmy teatralną scenerię Praca do Comercio i za chwilę znaleźliśmy się w labiryncie schodów i wąskich, pnących się w górę uliczek. Nie znałem tej części miasta. Jak zwykle odwiedzałem przede wszystkim kościoły i muzea. Nie dlatego, żebym tak żarliwie kochał Boga czy sztukę, lecz po prostu dlatego, że w kościołach i muzeach nikt nikogo nie pytał o dokumenty. Wobec Ukrzyżowanego i dzieł sztuki czułem, że jestem jeszcze człowiekiem — nie podejrzanym osobnikiem z wątpliwymi dowodami tożsamości.

Wysiedliśmy z taksówki i zaczęliśmy się wspinać po schodach jakiejś krętej uliczki.

Pachniało rybami, czosnkiem, nocnym kwieciem, wystygłym słońcem i snem. W blasku wschodzącego księżyca wyłaniał się z ciemności zamek St. George, a światła niby lawina wodna spływały w kaskadach po schodach.

Odwróciłem się i spojrzałem na port z góry. Tam płynęła rzeka, która oznaczała wolność i życie; wpadała do morza, a morze to już prawie Ameryka.

— Sądzę, że pan nie stroi ze mnie żartów — powiedziałem przystając.

— Nie — odrzekł nieznajomy.

— Mam na myśli karty okrętowe — powiedziałem. Nieznajomy jeszcze na nabrzeżu schował je z powrotem do kieszeni.

— Niech się pan nie obawia. Ja nie żartuję. — Wskazał na niewielki placyk wysadzony dookoła drzewami. — Tu właśnie jest lokal, o którym mówiłem. Jeszcze jest otwarty. Nikt nie zwróci na nas uwagi, bo przychodzą tu przeważnie cudzoziemcy. Będą brać nas za tych, którzy jutro udają się w podróż. Za tych, którzy przychodzą tu, aby uczcić ostatnią swoją noc w Portugalii.

Był to bar z niewielkim parkietem do tańca i tarasem, przeznaczonym dla turystów. Słysząc było dźwięki gitary, a w głębi dojrzelismy zawodzącą ckliwie pieśniarkę. Na tarasie stało kilka stolików zajętych przez cudzoziemców, wśród nich jakaś kobieta w wieczorowej sukni i mężczyzna w białym smokingu. Znaleźliśmy miejsce na skraju tarasu, skąd mogliśmy oglądać Lizbonę, kościoły w bladej poświacie, oświetlone ulice, port, doki i statek, który był arką.

— Czy wierzy pan w ciągłość życia po śmierci? — zapytał nagle nieznajomy.

Spojrzałem zdziwiony. Wszystkiego oczekiwałem, tylko nie tego. Pytanie było zaskakujące.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem wreszcie. — W ostatnich latach interesowało mnie przede wszystkim zachowanie ciągłości życia przed śmiercią. — Gdy znajdę się w Ameryce, chętnie będę się nad tym zastanawiał — dodałem przypominając mu w ten sposób o przyrzeczonych biletach.

— Ja w to nie wierzę — oświadczył.

Odetchnąłem. Byłem przygotowany do wysłuchania człowieka nieszczęśliwego, ale nie miałem ochoty z nim dyskutować. Znadto byłem wzburzony. W dole stał statek.

Mężczyzna siedział przez chwilę w milczeniu, jak gdyby śpiąc z otwartymi oczami. Wreszcie, gdy na tarasie zjawił się gitarzysta, ocknął się.

— Nazywam się Schwarz — powiedział. — Nie jest to moje prawdziwe nazwisko. Na to nazwisko wystawiony jest mój paszport. Ale przyzwyczaiłem się do niego. Będę z niego przez dzisiejszą noc jeszcze korzystał. Długo przebywał pan we Francji?

— Jak długo się dało.

— Internowany?

— Zaraz po wybuchu wojny, jak wszyscy inni.

Schwarz pokiwał głową.

— My również. Byłem szczęśliwy — rzekł nagle cicho, pośpiesznie, z pochyloną głową i spuszczonej oczami. — Byłem bardzo szczęśliwy. Szczęśliwszy, aniżeli mógłbym to sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Spojrzałem na niego zdumiony. Doprawdy, nie wyglądał na to. Robił wrażenie przeciętnego, trochę nieśmiałego człowieka.

— Kiedy? — spytałem. — Chyba nie w obozie?

— Podczas ostatniego lata.

— W 1939 roku? We Francji?

— Tak. Było to ostatnie lato przed wojną. Nie mogę jeszcze pojąć, jak do tego doszło. Pragnę więc z kimś o tym pomówić. Nikogo tu nie znam, ale moja rozmowa z kimkolwiek sprawi, że to wszystko jeszcze raz ożyje i stanie się dla mnie bardziej zrozumiałe. I w ten sposób zachowa się w pamięci. Muszę tylko jeszcze raz... — urwał. — Czy pan to rozumie? — zapytał po chwili.

— Tak — odpowiedziałem i dodałem ostrożnie: — To nietrudno zrozumieć, panie Schwarz.

— Tego w ogóle nie można zrozumieć! — rzekł nagle z mocą, namiętnie. — Ona leży tam na dole, w pokoju z zamkniętymi oknami, w ohydnej drewnianej trumnie, martwa, już nie istnieje! Tego nikt nie jest zdolny pojąć! Ani pan, ani ja, ani nikt inny... I jeśli ktoś twierdzi, że to rozumie, ten kłamie!

Czekałem w milczeniu. Niejednokrotnie zdarzało mi się już tak z kimś siedzieć. Utrata najbliższych była tym trudniejsza do zniesienia, że nie miało się już i własnej ojczyzny. Nie było się na kim oprzeć, obcy stawali się straszliwie obojętni. Przeżyłem to w Szwajcarii po otrzymaniu wiadomości, że moi rodzice zostali zamordowani i spaleni w niemieckim obozie koncentracyjnym. W myślach widziałem nieustannie oczy mojej matki w płomieniach pieca krematoryjnego. Prześladuje to mnie jeszcze dotychczas.

— Przypuszczam, że pan wie, co to jest obłęd emigracyjny — odezwał się Schwarz spokojnie.

Skinałem głową. Kelner przyniósł zamówione krewetki. Poczułem naraz, że jestem bardzo głodny, i przypomniałem sobie, że od obiadu nie miałem nic w ustach. Niezdecydowany spojrzałem na Schwarza.

— Proszę, niech pan je, ja zaczekam — powiedział i poprosił kelnerkę o wino i papierosy.

Zabrałem się żywo do jedzenia. Krewetki były świeże i soczyste.

— Bardzo przepraszam — powiedziałem — ale jestem bardzo głodny.

Jedząc obserwowałem Schwarza. Siedział spokojnie i spoglądał w dół na teatralną panoramę miasta. Nie zdradzał rozdrażnienia ani zniecierpliwienia. Poczułem do niego coś w rodzaju sympatii. Było widoczne, że pojęcie fałszywej godności jest mu obce.



Rozumiał, że niekoniecznie trzeba być wyzutym z wszelkiego współczucia, jeśli się zapokaja głód w towarzystwie człowieka, który cierpi. Jeżeli mu w niczym nie można pomóc, a jest się głodnym, można bez ujmy dla siebie nasycić się jego chlebem, zanim odejmą go nam od ust. Nigdy przecie nie wiadomo, kiedy go nam odejmą.

Odsunąłem talerz na bok i wziąłem papierosa. Dawno już nie paliłem. Oszczędzałem, by mieć dzisiaj więcej pieniędzy na grę.

— Opętało mnie to wiosną trzydziestego dziewiątego roku — podjął na nowo Schwarz. — Byłem już od przeszło pięciu lat na emigracji... Gdzie pan był jesienią trzydziestego ósmego roku?

— W Paryżu.

— Ja również. Popadłem wówczas w depresję. Był to okres przedmonachijski. Przeszła wtedy fala śmiertelnego strachu. Co prawda ukrywałem się jeszcze i broniłem, ale byłem już skończony. Wybuchnie wojna, przyjdą Niemcy i mnie zabiorą. Taki był mój los. Pogodziłem się z nim.

— To był okres samobójstw — wtrąciłem. — Dziwna rzecz, gdy w półtora roku później Niemcy rzeczywiście przyszli, wypadki samobójstw zdarzały się rzadziej.

— Potem nastąpił okres paktu monachijskiego — powiedział Schwarz. — Jesienią 1938 roku nagle po raz drugi darowano nam życie! Odczuwało się taką lekkość, że się zapominało o ostrożności. Nawet kasztany w Paryżu zakwitły powtórnie, przypomina pan sobie? Byłem tak lekkomyślny, że znów poczułem się człowiekiem, i niestety też się tak zachowywałem. Zostałem ujęty przez policję i za ponowny niedozwolony wjazd do Francji skazany na cztery tygodnie aresztu. Stara zabawa zaczęła się od nowa. Po odbyciu kary przerzucono mnie przez szwajcarską granicę koło Bazylei. Szwajcarzy odesłali mnie znów do Francji, a Francuzi przerzucili z powrotem przez inny punkt graniczny, znowu mnie zamknęto... Zna pan zresztą tę zabawę z przerzucaniem ludzi...

— Znam to wszystko. To nie były żarty, zwłaszcza zimą. Szwajcarskie więzienia były najlepsze. Ciepło jak w hotelach.

Zabrałem się znowu do jedzenia. Nieprzyjemne wspomnienia mają coś dobrego: udowadniają, że się jest szczęśliwym, nawet jeżeli przed chwilą sądziło się, że jest inaczej. Szczęście polega na gradacji. Kto zdaje sobie z tego sprawę, rzadko poddaje się uczuciu całkowitego nieszczęścia. Czułem się szczęśliwy w więzieniach szwajcarskich, ponieważ nie było tam Niemców. Ale oto siedzi przede mną człowiek, który utrzymuje, że był szczęśliwy, mimo że gdzieś w Lizbonie, w dusznym pokoju stoi drewniana trumna.

— W końcu zapowiedziano mi — kontynuował swoją opowieść Schwarz — że w razie ponownego zatrzymania mnie bez dokumentów zostaną odesłany do Niemiec. Były to tylko pogrożki, ale przeraziłem się. Zacząłem się zastanawiać, co zrobić, jeśli się to

naprawdę zdarzy. Potem śniło mi się po nocach, że jestem po tamtej stronie i że SS jest na moim tropie. Nawiedzało mnie to tak często, że w końcu ogarniał mnie lęk przed zaśnięciem. Czy pan doznawał czegoś podobnego?

— Niestety — odpowiedziałem. — Mógłbym na ten temat napisać pracę doktorską.

— Pewnej nocy przyśniło mi się, że jestem w Osnabrück, w mieście, w którym mieszkałem i w którym dotychczas mieszkała moja żona. Znajdowałem się w jej pokoju i wiedziałem, że jest chora. Była bardzo wymizerowana i płakała. Obudziłem się zupełnie rozstrojony. Nie widziałem jej już od przeszło pięciu lat i nic o niej nie słyszałem. Nie pisałem do żony, ponieważ nie byłem pewny, czy jej korespondencja nie jest kontrolowana. Przed moją ucieczką przyrzekła mi, że się ze mną rozwiedzie. To zaoszczędziłoby jej przykrości. Przez kilka lat sądziłem, że tak postąpiła...

Schwarz zamilkł na chwilę. Nie pytałem, dlaczego opuścił Niemcy. Różne mogły być przyczyny, ale żadna z nich nie budziła szczególniejszego zainteresowania. Wszystkie były jednakowo absurdalne i nieludzkie. Rola ofiary nie należy do atrakcyjnych. Schwarz mógł być Żydem lub członkiem jakiejś partii politycznej, wrogiej obecnemu reżimowi. Możliwe, że miał wrogów, którzy stali się potem wpływowymi osobistościami. Istniało w Niemczech aż nadto powodów wystarczających do zamordowania człowieka lub osadzenia go w obozie koncentracyjnym.

— Wreszcie udało mi się znowu dostać do Paryża — rzekł Schwarz.

— Ale sen uporczywie powracał. W owym czasie rozwiała się również iluzja paktu monachijskiego. Na wiosnę wiadano już, że wojna jest nieunikniona. Wyczuwało się ją, podobnie jak wyczuwa się swąd pożaru, mimo że go jeszcze nie widać. Jedynie dyplomacja światowa bezradnie przymykała oczy i roiła sny o drugim i trzecim Monachium, nie dopuszczając myśli o wojnie. Nigdy nie okazano tyle wiary w cuda, jak w naszych czasach, kiedy nie ma już żadnych cudów.

— Czasem się jednak zdarzają — wtrąciłem. — W przeciwnym razie nikt z nas nie pozostałby przy życiu.

Schwarz skinął głową.

— Tak, ma pan słuszność. Indywidualne cuda. Mnie samemu coś takiego się przydarzyło. Zaczęło się w Paryżu. Odziedziczyłem nagle ważny paszport. To jest właśnie paszport wystawiony na nazwisko Schwarz. Należał do pewnego Austriaka, którego poznałem w „Cafe de la Rose”. Człowiek ten umarł, pozostawiając mi swoje dokumenty i pieniądze. Przyjechał dopiero przed trzema miesiącami. Poznaliśmy się w Luwrze — przed obrazami impresjonistów. Szukając wytchnienia i spokoju spędzałem tam wiele godzin popołudniowych. Gdy się oglądało te przesycone słońcem, tchnące ciszą pejzaże, nie chciało się wierzyć, że pewien gatunek zwierząt, który potrafił coś takiego stworzyć, mógł jednocześnie przygotowywać tak zbrodniczą wojnę — ulegało się iluzji, pod której wpływem tętno przez jakiś czas było nieco wolniej.

Człowiek z paszportem opiewającym na nazwisko Schwarz przesiadywał często przed „Nenufarami” i „Katedrami” Moneta. Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiadał mi, jak po zamachu stanu w Austrii udało mu się ująć z życiem i opuścić kraj rezygnując z majątku. Majątek ten, kolekcję impresjonistycznych obrazów, zarekwirowało mu państwo. Nie wydawał się tym zmartwiony. Dopóki obrazy są wystawione w muzeach — mówił — może je traktować jak swoje własne, bez obawy, że porwie je złodziej, czy zniszczy ogień. Poza tym obrazy w muzeach francuskich są nieporównanie lepsze niż te, które kiedykolwiek posiadał. Zamiast skąpej kolekcji własnej i przywiązania do niej, niczym ojciec do rodziny, zamiast obowiązku faworyzowania tej swojej własności i pozostawiania pod jej wpływem, posiada teraz wszystkie obrazy znajdujące się w zbiorach publicznych, a przy tym nie musi się o nie troszczyć.

Był to człowiek, jakich niewiele dziś można spotkać — cichy, delikatny i na przekór wszystkiemu, co go spotkało, zawsze pogodny. Nie pozwolono mu, poza drobną kwotą, zabrać ze sobą pieniędzy. Uratował jednak pewną ilość znaczków pocztowych. Znaczki są lepsze od brylantów, bo są mniejsze i łatwiej je ukryć. Z brylantami można brzydko wpaść, jeżeli ukrywa się je na przykład w bucie i trzeba iść na przesłuchanie. Sprzedać je można tylko z dużą stratą, a przy tym człowiek narażony jest na rozmaite pytania. Znaczki kupują zbieracze, a ci nie pytają za wiele.

— Jak on je przewiózł? — spytałem z właściwym każdemu emigrantowi zainteresowaniem.

— Zabrał ze sobą stare listy. Znaczki powsadzał między koperty i ich podszewkę. Celnicy nie rewidowali kopert, tylko listy.

— Pięknie — powiedziałem.

— Prócz tego udało mu się przewieźć dwa małe portrety Ingresa. Szkice ołówkowe. Oprawił je w passe partout i złożone, tandetne ramy i twierdził, że są to portrety jego rodziców. Na odwrotnej stronie passe partout przyklepił tak zręcznie dwa rysunki Degasa, że nikt ich tam nie dostrzegł.

— Pięknie — powiedziałem znowu.

— W kwietniu miał atak serca. Oddał mi wtedy swój paszport, znaczki, które mu jeszcze pozostały, i rysunki. Podał mi też adresy osób, którym mógłbym sprzedać znaczki. Kiedy odwiedziłem go nazajutrz rano, leżał martwy w łóżku. Ledwo go poznałem, tak śmierć zmieniła jego rysy. Wziąłem pieniądze, które jeszcze miał, ubranie i coś niecoś z bielizny. Poprzedniego dnia w rozmowie ze mną nalegał, bym tak zrobił. „Niech się to lepiej dostanie towarzyszowi niedoli — mówił — aniżeli miałyby z tego skorzystać gospodarz.”

— Czy dokonał pan jakichś zmian w paszporcie? — spytałem.

— Zmieniłem tylko fotografię i rok urodzenia. Schwarz był starszy ode mnie o dwadzieścia pięć lat. Imiona mieliśmy te same.

— Kto to zrobił? Brunner?

— Ktoś z Wiednia.

— To Brunner. Robił to po mistrzowsku.

Brunner był znany ze świetnych fałszerstw. Pomógł wielu emigrantom, ale kiedy go schwytano, nie miał żadnego dowodu. Był przesądny, wierzył, że dopóki ze swych umiejętności nie będzie korzystał sam, dopóty nie może mu się przytrafić nic złego. Przed wyemigrowaniem posiadał niewielką drukarenkę w Monachium.

— A gdzie jest teraz? — spytałem.

— Czy nie ma go w Lizbonie?

Nie wiedziałem. Ale jeżeli żył, bardzo możliwe, że tu mieszkał.

— Czułem się jakoś dziwnie z tym paszportem — ciągnął Schwarz. — Nie ważyłem się z niego korzystać. Minęło kilka dni, zanim przyzwyczałem się do nowego nazwiska. Wciąż je sobie powtarzałem. Szedłem przez Pola Elizejskie i mruczałem półgłosem nowe nazwisko i datę urodzenia. Przesiadywałem w muzeum przed obrazami Renoira i gdy nikogo w pobliżu nie było, prowadziłem wymaginowany dialog. Wołałem ostro: „Schwarz!” — po czym podrywałem się i odpowiadałem: „Jestem!” Innym razem wołałem: „Nazwisko!” i natychmiast recytowałem: „Józef Schwarz, urodzony 22 czerwca 1898 roku w Wiener Neustadt.” Ćwiczyłem także wieczorem przed udaniem się na spoczynek. Chodziło mi o to, by nawet w półśnie móc odpowiedzieć bezbłędnie, kiedy mnie zbudzi nagle policja. Musiałem wyrugować z pamięci moje poprzednie nazwisko. Między nieposiadaniem dowodu i posiadaniem fałszywego jest jednak wielka różnica. To drugie jest niebezpieczne.

Sprzedałem oba rysunki Ingresa. Otrzymałem za nie mniej, niż się spodziewałem, mimo to znalazłem się w posiadaniu takiej sumy pieniędzy, jakiej od dawna nie miałem w ręku.

I wtedy właśnie przyszła mi do głowy myśl, której już się nie mogłem pozbyć: czy nie mógłbym na podstawie tego paszportu przedostać się do Niemiec? Był przecie niemal autentyczny, z jakiego więc powodu miałby ktoś na granicy powziąć podejrzenia? A zatem mogłem zobaczyć się z żoną. Mogłem pozbyć się obaw o jej życie. Mogłem...

Schwarz popatrzył na mnie.

— Pan zna to zapewne! Obłąd emigracyjny w swej najczystszej formie. Ściskanie w żołądku, w gardle, gdzieś za oczami. To, co w ciągu pięciu długich lat usiłowało się zatrzeć w pamięci, czego unikało się jak zarazy, naraz pojawia się znowu: tragiczna tęsknota, która jak rak zżera duszę emigranta!

Próbowałem się z tego wyzwolić. Jak przedtem odwiedzałem muzea i godzinami przesiadywałem przed obrazami emanującymi spokojem i ciszą, przed Sisleyem, Pissaro, Renoirem. Jednakże moje doznania były teraz krańcowo inne. Obrazy już nie działały na mnie kojąco, przeciwnie, zaczęły nawoływać, żądać, przypominać... o kraju nie spu-

stoszonym jeszcze przez brunatną zarazę, o wieczorach w uliczkach ze zwisającym nad murami bżem, o złotym zmierzchu starego miasta, o jaskółczych lotach wokół zielonych wież katedry... i o mojej żonie.

Jestem przeciętnym człowiekiem, bez jakichś szczególniejszych przymiotów. Przez cztery lata prowadziliśmy z żoną zwyczajne życie: przyjemne, bez większych trudności, ale i bez większych wzlotów. Po kilku miesiącach związek nasz stał się tym, co się zwykło nazywać dobranym małżeństwem. Był to stosunek dwojga ludzi oparty na zasadzie, że wzajemne okazywanie sobie względów jest podstawą harmonijnego współżycia. Nie ulegaliśmy złudzeniom. Tak przynajmniej mnie się zdawało. Byliśmy ludźmi rozsądnymi, okazywaliśmy sobie wiele serdeczności.

Teraz wszystko to widziałem w innej płaszczyźnie. Zacząłem sobie wyrzucać, że marnowałem życie żony i własne, że wszystko zaniedbałem. Po co żyłem? Co robię teraz? Ukrywam się i nędznie wegetuję. Jak długo to tak jeszcze będzie trwało? I jak się to skończy? Wojna wybuchnie na pewno i Niemcy muszą zwyciężyć. To był jedyny kraj uzbrojony po zęby. A co potem? Gdzie się ukryję, jeżeli mi czas i zdrowie na to pozwolą? W jakim obozie zginę z głodu? Przy jakiej ścianie wykończą mnie strzałem w tył głowy, jeśli mi się poszczęści?

Zamiast przynieść mi spokój paszport doprowadzał mnie tylko do rozpacz. Biegałem po ulicach tak długo, aż się zataczałem ze zmęczenia. Ale nie mogłem spać, a jeżeli zasnąłem, budziły mnie wkrótce koszmarne sny. Widziałem moją żonę w lochach gestapo. Z podwórza, na tyłach hotelu, dochodziły mnie jej wołania o pomoc. Pewnego dnia przy wejściu do „Cafe de la Rose” nagle wydało mi się, że w lustrze widzę jej twarz przez moment odwróconą do mnie — bladą, o smutnych oczach — i znikającą za chwilę. Wrażenie było tak silne, że przeświadczony o jej obecności pobiegłem za nią na koniec sali. Lokal jak zawsze był pełen ludzi, lecz jej wśród nich nie było.

W ciągu kilku dni prześladowała mnie idee fixe, że żona przyjechała i że mnie szuka. Widziałem ją setki razy — to znikającą za rogiem ulicy, to siedzącą na ławce w Ogrodzie Luksemburskim, a kiedy podchodziłem bliżej, zwracało się ku mnie obce, zdumione oblicze; to znowu przechodziła przez Place de la Concorde, nieosiągalna, bo odgródzona ode mnie strumieniem pędzących samochodów. Nie miałem wątpliwości, to była ona. Ten sam chód, sposób trzymania ramion, zdawało mi się nawet, że rozpoznaję jej sukienkę. Lecz kiedy po zatrzymaniu przez policjanta sznura samochodów mogłem za nią pośpieszyć, nagle znikła mi w czeluściach kolejki podziemnej. Biegłem na dół ku peronom, by dojrzeć już tylko szydercze światło latarni umykającego w ciemność pociągu.

Zwierzylem się jednemu ze znajomych. Nazywał się Loser i handlował pończochami. Przedtem był lekarzem we Wrocławiu.

Poradził mi unikać samotności.

— Niech pan znajdzie sobie jakąś kobietę — powiedział.

Nie pomogło. Zna pan te znajomości wynikłe z biedy osamotnienia, strachu, tę ucieczkę do odrobiny ciepła, do czyjgós głosu, ciała — przebudzenie się w jakimś nędznym pomieszczeniu w obcym kraju, niby strącony w przepaść, i gorzką wdzięczność za to, że się słyszy czyjś oddech obok siebie. Czymże to jest jednak wobec prze-  
możnej wyobraźni, która wysysa z nas krew, aż pewnego razu człowiek wstaje z uczu-  
ciem obrzydzenia do własnego postępowania.

Teraz, gdy o tym opowiadam, wszystko wydaje się niedorzeczne i pełne sprzeczno-  
ści. Wtedy tak nie było. Z tych zmagañ pozostawało zawsze jedno: muszę wracać! Muszę  
jeszcze raz zobaczyć żonę. Możliwe, że od dawna żyje z kimś innym. To było nieważne.  
Musiałem ją zobaczyć. Moje rozumowanie wydawało mi się logiczne.

Wieści o zbliżającej się wojnie stawały się coraz uporczywsze. Każdy zdawał sobie  
sprawę, że Hitler, który bez namysłu złamał przyrzeczenie, iż zajmie tylko Sudety, a nie  
całą Czechosłowację, obecnie chce to samo uczynić z Polską. Wojna musiała wybuch-  
nąć. Przymierze Francji i Anglii z Polską nie oznaczało nic innego. To już sprawa nie  
miesiący, lecz tygodni. Chodziło tu również o mnie i moje życie. Musiałem się zdecy-  
dować. I zdecydowałem się. Postanowiłem wyjechać. Nie zastanawiałem się, co będzie  
potem. Było mi wszystko jedno. Jeśli wybuchnie wojna, i tak będę zgubiony. Równie do-  
brze więc mogłem pozwolić sobie na szaleństwo.

W ostatnich dniach opanował mnie dziwnie pogodny nastrój. Był maj, rabaty przy  
Rond Point mieniły się od tulipanów. Wczesne wieczory tchnęły nastrojem impresjo-  
nistycznych obrazów; w osnuwającej wszystko srebrzystej pomroce błąkały się niebie-  
skawe cienie, a dalekie jasno-szmaragdowe niebo wisiało nad zimnymi światłami ulicz-  
nych latarń gazowych i nad ruchliwymi czerwonymi wstęgami gazetek świetlnych, zain-  
stalowanych na dachach budynków prasowych. Gazetki świetlne zapowiadały wojnę.

Mój paszport nie budził we mnie zbytnej ufności, toteż przed wyjazdem do Niemiec  
postanowiłem go wypróbować. Pojechałem więc najpierw do Szwajcarii.

Celnik francuski zwrócił mi dokument z obojętną miną. Tego się spodziewałem.  
Prawdziwy niepokój ogarnął mnie dopiero wtedy, gdy zjawił się urzędnik szwajcarski.  
Usiłowałem co prawda nie dawać tego poznać po sobie, ale jednocześnie zdawało mi  
się, że w piersi mej drży coś tak, jak niekiedy w bezwietrzny dzień drży liść na drzewie.

Urzędnik sprawdzał paszport. Był to rosy, barczysty mężczyzna, cały przesiąknięty  
zapachem fajkowego tytoniu. Jego masywna postać przesłoniła okno w przedziale. Na  
chwilę opanowała mnie panika: zdawało mi się, że człowiek ten zabiera mi nie tylko  
niebo, lecz i wolność, doznałem uczucia, jakbym już siedział w ciemnej celi więziennej.  
Szwajcar jednak obejrzał paszport i zwrócił mi go bez żadnych komentarzy.

Doznałem ogromnej ulgi i niemal odruchowo zawołałem:

— Zapomniał pan podstemplować!

Urzędnik uśmiechnął się.

— Mogę przyłożyć stempel. Zależy panu na tym?

— Nie! Po prostu będzie to swego rodzaju pamiątka z podróży.

Celnik ostemplował paszport i opuścił przedział. Zagryzłem wargi. Jakiż stałem się nerwowo! Później pomyślałem sobie, że paszport ostemplowany wygląda bardziej autentycznie.

W Szwajcarii przez cały dzień zastanawiałem się, czy do Niemiec mam również udać się pociągiem, zabrakło mi jednak odwagi. Nie wiedziałem też, czy powracający do ojczyzny, nawet jeżeli pochodzą z Austrii, nie są kontrolowani bardziej dokładnie. Prawdopodobnie tak nie było, ale na wszelki wypadek postanowiłem iść przez zieloną granicę.

Po przyjeździe do Zurychu, jak zwykle poszedłem przede wszystkim na główną pocztę.

Przy okienku z napisem „Poste Restante” najczęściej spotyka się znajomych, takich samych tułaczy jak my, nie posiadających zezwolenia na pobyt, u których można zasięgnąć informacji. Po wyjściu z gmachu poczty udałem się do „Cafe Greif”, będącej całkowitym przeciwieństwem „Cafe de la Rose”. Spotkałem tu wielu ludzi dobrze zorientowanych we wszystkich możliwych przejściach granicznych. Nikt z nich nie znał jednak dokładnie przejścia do Niemiec. I to było zrozumiałe. Któż poza mną chciałby się w owym czasie dostać do Niemiec?

Początkowo patrzano na mnie podejrzliwie, a potem zaczęto mnie wyraźnie unikać. Każdy, kto wracał z powrotem, stawał się renegatem. Czyż powrót nie był równoznaczny z akceptowaniem istniejącego reżimu? I czego powracający mógł szukać w Niemczech? Chciał kogoś zdradzić? Ujawnić jakieś tajemnice?

Zostałem nagle zupełnie sam; unikano mnie, jakbym kogoś zamordował. Nie próbowałem się usprawiedliwiać. Kiedy zastanawiałem się nad swoją decyzją, ogarniała mnie panika, a w głowie czułem jakiś okropny zamęt. Jakże mogłem wyjaśnić to innym?

Trzeciego dnia po moim przyjeździe, o godzinie szóstej rano, przyszli policjanci i wyciągnęli mnie z łóżka. Z ich szczegółowych pytań nietrudno było wywnioskować, że zostałem zadenuncjowany przez kogoś z moich znajomych. Po podejrzliwym obejrzeniu paszportu policjanci zabrali mnie na przesłuchanie. Na szczęście paszport był ostemplowany przez szwajcarskiego urzędnika. Mogłem więc udowodnić, że przyjechałem legalnie i od trzech dni zaledwie przebywam w tym kraju.

Dokładnie pamiętam ten ranek, gdy w towarzystwie policjanta szedłem ulicami. Był piękny dzień. Na tle nieba wieże i dachy miasta odcinały się ostro, jakby wycięte z metalu. Z pobliskiej piekarni dolatywał zapach świeżego chleba. Wydawało się, że cała radość życia jest skupiona w tym zapachu. Czy pan zna to uczucie?

— Tak — odrzekłem. — Świat nigdy nie wydaje się tak piękny jak wówczas, kiedy

idzie się do więzienia, kiedy musimy się z nim rozstać. Gdybyż można było zawsze go tak odczuwać! Może nie pozwala nam na to brak czasu, brak spokoju.

Schwarz pokręcił głową.

— To nie jest zależne od spokoju. Sam to tak odczuwałem.

— Mógłby pan zachować świeżość tych odczuć? — spytałem.

— Tego nie wiem — odpowiedział powoli Schwarz. — To właśnie musiałbym wyjaśnić. Wyśliznęło mi się jakoś z rąk, ale czy wtedy, gdy istniało, posiadałem je w pełni? Czy mógłbym je odzyskać, zatrzymać teraz mocniej, na zawsze? Teraz, kiedy już nie może się zmienić? Czy nie tracimy bezustannie tego, co jak się nam wydaje — trzymamy mocno, ciągle bowiem jest w ruchu? I czy nie uspokaja się dopiero wtedy, kiedy już nie istnieje i nie może się więcej zmieniać? Czyż dopiero wówczas nie należy ono do nas?

Żrenice Schwarza były szeroko otwarte, a oczy po raz pierwszy z taką mocą i tak uporczywie wpatrywały się we mnie.

„To fanatyk albo obłąkany” — pomyślałem nagle.

— Nie znam tych stanów — odpowiedziałem. — Ale czyż każdy tego nie pragnie? Zatrzymać coś, co nie jest możliwe do utrzymania, i pozbyć się czegoś, co nie chce nas opuścić?

Obok przy sąsiednim stole kobieta w wieczorowej sukni wstała. Przez chwilę spoglądała z werandy na miasto i port.

— Darling, dlaczego musimy już wracać? — zwróciła się do stojącego obok mężczyzny w białym smokingu. — Tak bym chciała, byśmy mogli tu jeszcze pozostać! Wcale nie mam ochoty wracać znów do Ameryki.



## 2.

— Policja trzymała mnie w areszcie tylko jeden dzień — powiedział Schwarz — ale to był dla mnie ciężki dzień. Bałem się, że zechcą sprawdzić autentyczność mojego paszportu. Dla ujawnienia fałszerstwa wystarczył jeden telefon do Wiednia, a podrobienie daty mógł stwierdzić każdy specjalista.

Po południu odzyskałem spokój. Cokolwiek by się stało, uważałbym to za wyrok boski. Widocznie nie do mnie należało rozstrzygnięcie o własnym losie. Gdyby mnie osadzono w więzieniu, nie próbowałbym już przedostać się do Niemiec. Ale wieczorem zwolniono mnie, polecając jak najszybciej opuścić Szwajcarię.

Postanowiłem pojechać przez Austrię. Granicę austriacką znałem trochę i przypuszczałem, że nie jest tak czujnie strzeżona jak granica niemiecka. Po co zresztą miałyby być obydwie tak pilnie strzeżone? Któż by chciał się tam przedostać? Ale prawdopodobnie wiele ludzi chciałoby ten kraj opuścić.

Pojechałem w kierunku na Oberriet z zamiarem przekroczenia granicy gdzieś w tamtej okolicy. Najchętniej zacząłbym, aż zacznie padać deszcz, ale w ciągu dwóch dni pogoda była piękna. Dłużej czekać nie było bezpiecznie i trzeciego dnia nocą ruszyłem ku granicy.

Noc była jasna. Na niebie świeciły wszystkie gwiazdy. Było tak cicho, że słyszałem najlżejszy szelest zarośli. Pan wie, że w chwili niebezpieczeństwa zaczynamy widzieć inaczej. Zwłaszcza w nocy... Widzimy nie tylko oczyma, ale całą swoją istotą, wszystkimi nerwami i wszystkimi fibrami ciała. Wydaje się nam, że widzimy nawet szmery, że nawet nasze usta słyszą i widzą.

Ta noc upamiętniła mi się na zawsze. Cała moja uwaga była napięta do ostateczności, a zmysły działały precyzyjnie jak nigdy dotąd. Byłem przygotowany na wszystko i zupełnie nie czułem strachu. Zdawało mi się, że przechodzę przez wysoki most wiodący z jednej strony życia na drugą. Wiedziałem, że most ten rozplynie się za mną jak srebrzysta mgła i że już nigdy nie będę mógł zawrócić. Wyrzekałem się rozsądku dla uczucia, bezpieczeństwa dla przygody, rzeczywistości dla marzenia. Byłem zupełnie sam, ale tym razem samotność nie działała przygnębiająco, miała w sobie coś niemal mistycz-

nego.

Znalazłem się wreszcie nad Renem, który w tym miejscu jest jeszcze młody i nie bardzo szeroki. Rozebrałem się i z moich rzeczy zrobiłem tłumoczek, aby go móc umieścić na głowie. Ogarnęło mnie szczególne uczucie, gdy nagi zanurzyłem się w wodzie. Była czarna, lodowata i obca, jakbym pograżył się w rzece Lete, aby uzyskać zapomnienie. Również w nagości swojej dopatrywałem się symbolu — pozostawiałem wszystko za sobą.

Wytarłem się i ostrożnie ruszyłem przed siebie. Mijając jakąś wieś usłyszałem szczekanie psa. Nie orientowałem się w terenie i nie wiedziałem dokładnie, którędy przebiega granica. Postanowiłem maszerować trzymając się drogi ciągnącej się wzdłuż lasu. Przez długi czas nie spotykałem żywej duszy. Szedłem tak aż do świtu.

Nagle spadła silna rosa. Na skraju polany stanęła sarenka. Posuwałem się dalej naprzód, aż usłyszałem turkot pierwszych chłopskich furmanek. Wtedy wyszukałem sobie kryjówkę w pobliżu drogi, by nie wydać się podejrzanym, że tak wcześnie idę od strony granicy.

Wkrótce ukazało się dwóch rowerzystów i po ich uniformach poznałem, że są to austriaccy strażnicy.

Byłem więc w Austrii, a Austria od roku należała wówczas do Niemiec.

Dama w wieczorowej sukni oraz jej partner opuścili taras. Zauważyłem, że miała ciemne, opalone ramiona i była wyższa od towarzyszącego jej mężczyzny. Również kilku innych turystów schodziło powoli po schodach. Wszyscy zachowywali się jak ludzie, którzy nigdy nie byli tropieni. Nie odwracali się.

— Miałem chleb z masłem, a w pobliżu znalazłem strumyk — mówił Schwarz. — W południe ruszyłem dalej. Moim celem było Feldkirch, o którym wiedziałem, że latem jest licznie odwiedzane przez turystów: obcy ludzie nie budzili tu większego zainteresowania. Zatrzymywały się tam również pociągi. Gdy dotarłem do Feldkirch, wsiałem do pierwszego pociągu, aby jak najszybciej oddalić się od granicy i zostawić za sobą strefę najbardziej niebezpieczną. W przedziale, do którego wszedłem, siedziało dwóch umundurowanych SS-manów.

Sądzę, że w tym momencie przyszło mi z pomocą moje doświadczenie z policją europejską, inaczej chyba rzuciłbym się do ucieczki. Tak więc wszedłem i usiadłem w kącie obok człowieka w lodenowym płaszczu, który miał ze sobą dubeltówkę.

Po pięciu latach było to pierwsze spotkanie z tym wszystkim, co stanowiło dla mnie ucieleśnienie ohydy. W ciągu ubiegłych tygodni wyobrażałem to sobie często, rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. Zareagował nie mój umysł, lecz ciało. Poczulem suchość w gardle i gwałtowny skurcz żołądka. Myśliwi i SS-mani rozmawiali o jakiejś wdowie Pfundner. Była zapewne bardzo wesoła, gdyż rozmowa toczyła się głównie wokół jej ko-

chanków. Potem zaczęli jeść. Mieli z sobą kanapki z szynką.

— A pan sąsiad dokąd? — zapytał mnie myśliwy.

— Wracam do Bregenzy — odpowiedziałem.

— To pan nietutejszy?

— Nie. Spędzałem tu tylko urlop.

— A gdzie pan mieszka?

Na chwilę zawałałem się. Gdybym wymienił Wiedeń, tak jak wskazywał mój paszport, mogliby zwrócić uwagę na to, że nie mówię miękkiem akcentem wiedeńskim.

— W Hanowerze — odpowiedziałem. — Mieszkam tam już od trzydziestu lat.

— W Hanowerze! Ależ to bardzo daleko.

— Istotnie. Ale kiedy ma się urlop, nie można przecież siedzieć w domu.

Myśliwy roześmiał się.

— To racja. Pogodę miał pan piękną.

Poczułem, że koszula przylepia mi się do ciała.

— Owszem, piękną — odpowiedziałem — tylko ten upał, jak w środku lata.

Cała trójka zaczęła dalej plotkować na temat wdowy Pfundner. Po przejechaniu kilku stacji wysiedli. Pozostałem w przedziale sam. Pociąg biegł teraz przez jeden z najpiękniejszych krajobrazów Europy, ja jednak niewiele z tego widziałem. Nagle ogarnął mnie trudny do zniesienia lęk, zwątpienie i rozpacz. Po prostu nie rozumiałem, dlaczego przekroczyłem granicę. Zaszyłem się w mój kąt i nieporuszony patrzyłem przez okno. Czułem się osaczony i wyrzucałem sobie, że dobrowolnie pakuję się do więzienia. Kilkanaście razy zamierzałem wysiąść i pod osłoną nocy wrócić do Szwajcarii.

Nie uczyniłem tego. W lewej ręce, ukrytej w kieszeni, ścisnąłem kurczowo paszport zmarłego Schwarza, tak jakby to z niego miało spłynąć na mnie pocieszenie. Przekonywałem siebie, że najgorsze mam już za sobą i że bezpieczeństwo będzie wzrastać w miarę oddalania się od granicy. Noc postanowiłem spędzić również w pociągu. Tu legitymowano rzadziej niż w hotelach.

Rzecz charakterystyczna, w momentach paniki wydaje się, że wszystkie reflektory zwrócone są na nas i że świat nie ma nic innego do roboty, jak tylko się nami interesować. Człowiek ma uczucie całkowitego rozprężenia, jak gdyby wszystkie komórki ciała chciały działać w oderwaniu, nogi dygotać, ramiona bronić się i uderzać, a drżące usta usiłują powstrzymać nieartykułowany krzyk.

Zamknąłem oczy. Teraz, gdy zostałem sam w przedziale, byłem bardziej narażony na poddanie się panice. Ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli choć odrobinę ulegnę temu uczuciu, zwiększy to tylko niebezpieczeństwo. Wmawiałem sobie, że nikt na mnie nie dybie, że dla reżimu znaczą nie więcej niż garść piasku na pustyni, że nikt nie może po mnie nic poznać. Tak zresztą było istotnie. Nie odróżniałem się przecież od otaczających mnie ludzi. Aryjczyk o blond włosach to niemiecka legenda, a nie rzeczywistość.

Niech pan przyjrzy się Hitlerowi, Goebbelsowi, Hessowi i pozostałym członkom rządu — wszyscy oni właściwie zadają kłam własnej teorii.

Wysiadłem z pociągu w Monachium i opuściwszy po raz pierwszy dworzec zmusiłem się do godzinnej przechadzki. Nie znałem tego miasta i mogłem przypuszczać, że nie spotkam tu nikogo znajomego.

Zaszedłem do piwiarni franciszkańskiej. Mimo przepelnienia udało mi się znaleźć wolny stolik. Po kilku minutach przysiadł się do mnie jakiś spocony grubas i zamówiwszy piwo oraz porcję wołowiny zaczął przeglądać gazetę. Dotychczas nie przyszło mi do głowy, żeby zapoznać się z niemiecką prasą. Dawno jej nie czytałem i dziś trudno mi było oswoić się z myślą, że znajduję się w kraju, gdzie język niemiecki jest w powszechnym użyciu. Kupiłem dwie gazety.

Artykuły wstępne były obrzydliwe. Przebijała z nich żądza krwi, arogancja i zakłamanie. Staraly się wmawiać, że poza Niemcami cały świat jest głupi, tchórzliwy, zdegenerowany i przydatny jedynie do tego, by go zagarnęli Niemcy. Nie były to pisma lokalne, dawniej cieszyły się one dobrą sławą. Dziś nie tylko ich treść, ale i styl były nie do zniesienia.

Obserwowałem mojego sąsiada z gazetą. Jadł, pił i czytał z widocznym zadowoleniem. Rozejrzałem się dookoła. U nikogo wśród czytających nie zauważyłem śladu odrazy; przyzwyczaili się do tej codziennej duchowej stawy jak do kufła piwa.

Przeglądając drobne wiadomości natknąłem się na informacje z Osnabrück. Przeczytałem, że pożar strawił dom na Lotterstrasse, i natychmiast ulica ta stanęła mi przed oczami. Szło się wałami do Hegertor, a stamtąd do Lotterstrasse ciągnącej się aż na kraniec miasta. Odłożyłem gazetę i znów poczułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem na obczyźnie.

Stopniowo przyzwyczailem się do nawiedzających mnie zmian nastrojów: do nagłych szoków i fatalistycznych apatii. Zacząłem również czuć się pewniej niż dotychczas. Wiedziałem, że w miarę zbliżania się do Osnabrück niebezpieczeństwo będzie wzrastało. Musiałem się liczyć z możliwością spotkania dawnych znajomych.

Ażeby nie odróżniać się od przeciętnych gości hotelowych, kupiłem sobie tanią walizkę, trochę bielizny i innych rzeczy niezbędnych w krótkiej podróży. Potem pojechałem dalej. Nie miałem jeszcze gotowej koncepcji nawiązania kontaktu z żoną i ciągle zmieniałem plany. Musiałem zdać się na przypadek, przecież nie wiedziałem nawet, czy nie uległa swojej rodzinie, w pełni popierającej istniejący ustrój, i nie poślubiła kogo innego. Po przeczytaniu gazet wcale nie byłem pewien, czy dużo czasu potrzeba, by uwierzyć w to, co się czyta, zwłaszcza wtedy, kiedy się nie ma żadnej możliwości porównania. Pisma zagraniczne w Niemczech podlegały ścisłej kontroli cenzury.

W Münster zatrzymałem się w podrzędnym hotelu. Nie mogłem już spędzać całych nocy na czuwaniu i przesypiać dni byle gdzie. Trzeba było zaryzykować i zameldować

się w którymś z hoteli w Niemczech. Czy zna pan Münster?

— Bardzo powierzchownie — odpowiedziałem. — To stare miasto, o wielkiej ilości kościołów, w którym zawarto pokój westfalski?

— Tak. W Münster i w Osnabrück, w 1648 roku, po trzydziestoletniej wojnie. Kto wie, jak długo potrwa obecna!

— Jeśli tak dalej pójdzie, to chyba niedługo. Dla zawojowania Francji Niemcy potrzebowali tylko czterech tygodni.

Podszedł kelner i oświadczył, że już zamykają. Byliśmy ostatnimi gośćmi.

— Czy jest jeszcze jakiś lokal otwarty? — zapytał Schwarz.

Kelner tłumaczył, że Lizbona nie należy do miast o ożywionym życiu nocnym. Kiedy jednak Schwarz wręczył mu napiwek, wymienił jakiś tajemniczy lokal, rosyjski klub nocny.

— Bardzo elegancki — zapewniał.

— Czy nas tam wpuszczą? — spytałem.

— Oczywiście, proszę pana. Pozwolę sobie dodać, że są tam eleganckie kobiety. Wszystkich narodowości. Niemki również.

— Jak długo ten klub jest otwarty?

— Dopóki są goście. Teraz są tam zawsze goście. Dużo Niemców.

— Jakich Niemców?

— No... Niemców.

— Czy z forszą?

— Naturalnie — zaśmiał się kelner. — Lokal nie jest tani, ale za to bardzo wesoły. Proszę tylko powiedzieć, że stąd skierował panów Manuel, to wystarczy.

— Czy przy wejściu trzeba coś okazać?

— Nie. Portier wypisze panu fikcyjne nazwisko członka klubu. Tak dla formalności.

— Dobrze.

Schwarz uregulował rachunek. Zaczęliśmy powoli schodzić po stopniach ulicy w dół. Blade domki spały przytulone do siebie. Spoza okien słychać było westchnienia, chrapanie i oddechy ludzi, którzy nie mieli żadnych kłopotów paszportowych. Nasze kroki rozlegały się głośniejsz niż za dnia.

— Światło — powiedział Schwarz. — Czy pana to również zaskakuje?

— Tak. Po zaciemnionej Europie ciągle jeszcze nie mogę się z tym oswoić. Człowiekowi się zdaje, że ktoś zapomniał je wyłączyć i że za chwilę nadlecą bombowce.

Schwarz zatrzymał się.

— Otrzymaliśmy je w darze, gdyż mamy w sobie coś boskiego — powiedział nagle z patosem. — A teraz ukrywamy je, ponieważ zabijamy tę resztkę boskości, która w nas jeszcze pozostała.

— Jeśli dobrze rozumiem legendę, to ogień nie został nam darowany, lecz wykradł go Prometeusz — odpowiedziałem. — Za karę bogowie uczynili go symbolem zgorzkniałego wątrobiarza. Sądzę, że to lepiej oddaje nasz charakter.

Schwarz spojrział na mnie.

— Dawno już przestałem szydzić, jak również wyzbyłem się lęku przed używaniem wielkich słów. Jak długo tkwi w nas złośliwość i lęk, usiłujemy wszystko sprowadzać do wymiarów mniejszych, aniżeli to odpowiada rzeczywistości.

— Może — powiedziałem. — Ale czy można pragnąć czegoś niemożliwego i upierać się jednocześnie, że jest to niemożliwe? Czy nie lepiej niemożliwe sztucznie pomniejszyć i w ten sposób zostawić sobie cząstkę nadziei?

— Ma pan słuszność! Proszę mi wybaczyć. Zapomniałem, że jest pan uciekinierem. W takiej sytuacji nie czas myśleć o właściwych proporcjach.

— A czy pan nie jest także uciekinierem?

Potrząsnął głową.

— Już nie. Po raz drugi wybieram się z powrotem.

— Dokąd? — zapytałem zdumiony. Nie mogłem uwierzyć, żeby po raz drugi chciał wracać do Niemiec.

— Z powrotem — odpowiedział Schwarz. — Wszystko panu wyjaśnię.

### 3.

Nocny klub był typowym lokalem prowadzonym przez emigrantów rosyjskich. Po roku 1917 podobne lokale powstawały w całej Europie od Berlina do Lizbony. Wszystkie miały takich samych kelnerów, dawnych arystokratów, takie same zespoły chóralne złożone z byłych oficerów gwardii, takie same wysokie ceny i ten sam melancholijny nastrój. Posiadały też to samo przyćmione oświetlenie, o jakie mi właśnie chodziło.

Niemcy, o których wspominał kelner, nie wyglądali na emigrantów. Przypuszczalnie byli to szpiedzy, członkowie ambasady lub pracownicy firm niemieckich.

— Rosjanie urządzili się lepiej niż my — zauważył Schwarz. — Jako emigranci wyprzedzili nas oczywiście o piętnaście lat. Piętnaście lat nieszczęścia to długi okres i daje sporo doświadczenia.

— Rosjanie stanowili pierwszą falę emigracyjną — odpowiedziałem. — Dla nich znalazło się jeszcze współczucie. Pozwolono im pracować. Wydano nansenowskie paszporty. Kiedyśmy przyszli, współczucie świata dawno już się wyczerpało. Byliśmy uciążliwi jak termity i nie było prawie nikogo, kto by chciał zabrać głos w naszej obronie. Nie wolno nam pracować, nie wolno istnieć i wciąż jeszcze odmawia się nam dokumentów.

Od chwili przybycia do klubu ogarnęło mnie zdenerwowanie. Prawdopodobnie dlatego, że znalazłem się w zamkniętym lokalu o zasłoniętych oknach, że uczęszczali tu Niemcy, no i to, że siedzieliśmy zbyt daleko od drzwi wejściowych, by w razie czego można było umknąć. Dotychczas zawsze starałem się zajmować miejsce blisko wyjścia. Poza tym nie mogłem stąd obserwować statku i to rozstrajało mnie do reszty. Kto wie, czy w następstwie jakiegoś nieprzewidzianego alarmu jeszcze w ciągu dzisiejszej nocy nie podniesie kotwicy.

Schwarz jak gdyby odgadł moje myśli. Sięgnął do kieszeni i położył przede mną dwie karty okrętowe.

— Proszę, niech pan je weźmie. Nie jestem łowcą niewolników. Może pan odejść w każdej chwili, jeśli pan ma ochotę.

Spojrzałem na niego zawstydzony.

— Pan mnie źle zrozumiał. Ja mam czas. Dużo czasu.

Schwarz nic nie odpowiedział. Czekał. Wziąłem oba bilety i schowałem do kieszeni.

— Wsiadłem do pociągu, który do Osnabrück przyjeżdżał wczesnym wieczorem. — Schwarz, jak gdyby nic nie zaszło, snuł dalej wątek swojej opowieści. — Czułem się tak, jakbym dopiero teraz przekraczał granicę. Poprzednio wszystko było mi jeszcze obce, nawet Niemcy. Teraz zaczęło przemawiać każde drzewo. Poznawałem mijane okolice, pamiętne z wycieczek szkolnych i z pierwszych tygodni naszej znajomości z Heleną. Kochałem je, podobnie jak kochałem rodzinne miasto z jego domami i ogrodami.

Moja odraza miała dotychczas charakter abstrakcyjny. Tym, co się działo, byłem obezwładniony i przytłoczony. Budziło to we mnie lęk i niechęć, ale nie wywoływało potrzeby analizowania i nie skłaniało do refleksji. Obecnie zaczęły dochodzić do głosu zjawiska, które nie miały z tym nic wspólnego.

Krajobraz nie zmienił się wcale. Pozostał taki, jaki był. Wieże kościołów, pokryte zielonkawą patyną, jak dawniej pięły się ku niebu w zmierzchu gasnącego wieczoru. Jak dawniej w rzece odbijało się niebo. Było takie samo jak wtedy, gdy siadywałem tu z wędką i marzyłem o przygodach w dalekich krajach. Przygody te później przeżyłem, ale jakże inaczej niż w młodzieńczych marzeniach. Łąki, nad którymi unosiły się roje ważek i motyli, skarpy porośnięte drzewami i dzikim kwieciami były takie same jak dawniej. Nic się nie zmieniło od czasów mojej młodości i w tym wszystkim była moja młodość — pogrzebana, przy moim obecnym sposobie myślenia lub wydzwignięta, gdybym mógł to przyjąć inaczej.

Nic nie psuło tego widoku. Z okien pociągu dojrzałem zaledwie kilku ludzi i nikogo w mundurze. Widziałem jedynie wieczór, który z wolna osnuwał krajobraz. W maleńkich ogródkach przy domkach dróżników kwitły już róże, dalie i lilie. Rosły tak jak przedtem, nie tknięte rozplenioną wokół zarazą. Pochylały się nad drewnianymi sztachetami, tak samo, jak pochylają się we Francji. Na łąkach pasły się krowy takie same jak na łąkach Szwajcarii, brunatne i czarno-białe — bez swastyki — i z takimi samymi jak zawsze spokojnymi oczami. Na dachu chłopskiej chaty klekotał bocian, a jaskółki latały tak samo, jak latają zawsze i wszędzie. Tylko ludzie się zmienili. Wiedziałem o tym, ale tego wieczoru trudno mi było w to uwierzyć.

Nie byli tak bez zastrzeżeń inni, jak sobie to w mej naiwności wyobrażałem. Przedział zapełniał się i opróżniał i zapełniał znowu. Wśród podróżnych dostrzegłem zaledwie kilku umundurowanych osobników. Reszta byli to zwyczajni ludzie, rozmowy ich nie różniły się niczym od rozmów przeciętnych Francuzów i Szwajcarów. Obracały się wokół pogody, żniw, drobnych codziennych wydarzeń i niebezpieczeństwa wojny. Bali się jej i wbrew utrwalającemu się w innych krajach przekonaniu, że Niemcy jej pragną, tutaj słyszałem, że to właśnie zagranica chce ją Niemcom narzucić. Każdy z nich marzył o spokoju, jak to zwykle bywa na chwilę przed katastrofą.



Pociąg się zatrzymał. Wmieszany w tłum podróżnych, prześliznąłem się przez punkt kontroli biletów. Dworzec nic się nie zmienił od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Wydawał się tylko nieco mniejszy i bardziej zakurzony niż ten, który zachował się w mojej pamięci.

Kiedy znalazłem się na placu przed dworcem, opadło ze mnie wszystko, o czym przedtem myślałem. Było pochmurnie i wilgotno jak zwykle po deszczu. Przestały interesować mnie widoki, wszystko we mnie naraz zadygotało i uświadomiłem sobie, że od tej chwili wystawiony jestem na poważne niebezpieczeństwo. Jednocześnie jednak miałem jakąś podświadomą pewność, że wyjdę z tego obronną ręką, jak gdybym się znajdował pod szklanym kloszem, który wprawdzie mnie chronił, ale każdej chwili mógł ulec stłuczeniu.

Wróciłem na dworzec, żeby kupić bilet powrotny do Münster. Nie mogłem zamieszkać w Osnabrück — było to zbyt ryzykowne.

— Kiedy odchodzi ostatni pociąg? — spytałem łysego urzędnika, który w aureoli żółtego światła siedział w swej twierdzy bezpieczny i nieosiągalny niby jakiś małomiasteczkowy Budda.

— O dwudziestej drugiej dwadzieścia i o dwudziestej trzeciej dwanaście.

Poszedłem do automatu i wyciągnąłem peronówkę. Było to moje dodatkowe zabezpieczenie na wypadek, gdybym się musiał nagle ulotnić. Perony są wprawdzie kiepskim schronieniem, ale zawsze ma się kilka do wyboru, w Osnabrück — trzy, jest więc możliwość wskoczenia do któregoś z odjeżdżających pociągów. Konduktorowi można wytłumaczyć się pomyłką, zapłacić mu i wysiąść na następnej stacji.

Postanowiłem zatelefonować do jednego z dawnych przyjaciół, o którym wiedziałem, że nie należy do zwolenników reżimu. Z rozmowy tej chciałem wywnioskować, czy mogę liczyć na jego pomoc. Telefonować wprost do żony nie ważyłem się. Nie wiedziałem, czy mieszka sama.

Stałem w małej szklanej kabinie. Przede mną wisiał aparat telefoniczny i książka ze spisem abonentów. Podczas przerzucania brudnych i postrzępionych kartek serce biło mi tak mocno, że zdawało mi się, iż nie tylko ja sam, lecz również inni mogą to usłyszeć. Pochyliłem nisko głowę, tak by nikt nie mógł rozpoznać mojej twarzy, i odruchowo zacząłem przeglądać strony oznaczone pierwszą literą mego dawnego nazwiska. Wreszcie znalazłem telefon żony. Numer był ten sam, ale adres brzmiał inaczej. Dawny Rismuller Platz został przemianowany na Hitler Platz.

W momencie gdy przeczytałem mój adres, wydało mi się nagle, że nikłe światło żarówki wzmocniło się stokrotnie. Odruchowo spojrzałem w górę. Doznałem wrażenia, jak gdybym głęboką nocą znalazł się w jaskrawo oświetlonym pudle ze szkła lub w orbicie skierowanych na mnie reflektorów. Uświadomiłem sobie znowu całą niedorzeczność mojego przedsięwzięcia.

Wyszedłem z kabiny i pogрузyłem się w mroku słabo oświetlonej hali dworcowej. Plakaty z hasłem „Kraft durch Freude” i reklamy niemieckich miejscowości kuracyjnych drażniły błękitem nieba i sylwetkami rozradowanych ludzi. W tym czasie nadjechało kilka pociągów i tłum podróżnych popłynął schodami w górę. Od jednej z grup odłączył się jakiś SS-man i ruszył w moim kierunku.

Opanowałem chęć ucieczki. Liczyłem na to, że może nie chodzi mu o mnie. SS-man zatrzymał się jednak na wprost mnie i spojrzał mi w oczy.

— Przepraszam, czy mogę prosić o ogień? — zapytał najzwyczajniej w świecie.

— Ogień? — powtórzyłem zaskoczony i zaraz pośpiesznie dodałem.

— Ach, tak! Zapalki. Sięgnąłem do kieszeni i zacząłem szukać.

— Ależ po co? — zdziwił się SS-man. — Przypalę od pana.

W popłochu zapomniałem, że palę. Podsunałem mu mój papieros. Przytknął swój do żarzącego się końca i zaciągnął się.

— Jakiż to gatunek pan pali? — zapytał. — Zapachem przypominają cygara.

Były to gauloise’y, w które zaopatrzyłem się jeszcze przed przejściem granicy francuskiej.

— Takie francuskie czarne zielsko. Dostałem od przyjaciela. Powrócił niedawno z podróży. Dla mnie są także za mocne.

SS-man roześmiał się.

— Najlepiej nie palić wcale, prawda? Tak jak Führer. Ale kto to potrafi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach?

Zasalutował i odszedł.

Schwarz uśmiechnął się z lekka.

— Dawniej, kiedy jeszcze byłem człowiekiem i miałem prawo poruszać się swobodnie, zastanawiałem się często nad autentyzmem literackich opisów strachu. Określenie, że delikwentowi przestaje bić serce, że nie może się ruszyć z miejsca, że coś lodowatego spływa mu po grzbiecie, że krew zatrzymuje się w żyłach i że pot oblewa mu całe ciało — uważałem za oklepane frazesy, złe stylistycznie. Być może nie zawsze myliłem się, ale równocześnie nie dostrzegałem, że w opisach tych była zawarta prawda. Później wszystkie te uczucia sprawdziłem na sobie. Były takie same jak w opisach, które przedtem pobudzały mnie do śmiechu.

Do stolika zbliżył się kelner.

— Czy panowie nie życzą sobie towarzystwa?

— Nie.

Kelner pochylił się nade mną.

— Przed ostateczną odmową radziłbym przyjrzeć się tym damom.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Przy barze stały dwie kobiety w wąskich wieczorowych sukniach. Jedna z nich była nawet bardzo zgrabna. Z tej odległości nie mo-

głem widzieć ich twarzy.

— Nie — powtórzyłem.

— To są prawdziwe damy — nie rezygnował kelner. — Ta z prawej strony jest Niemką.

— Czy to ona pana przysłała?

— Ależ nie! — zaprzeczył kelner z czarująco niewinnym uśmiechem. — To był mój pomysł.

— A więc niech pan o nim zapomni i przyniesie nam lepiej coś do zjedzenia.

— Czego on chciał? — zapytał Schwarz.

— Skojarzyć nas z wnuczką Mata Hari. Musiał otrzymać od pana zbyt duży napiwek.

— Nie, jeszcze nie płaciłem. Sądzi pan, że one szpiegują?

— Możliwe. Ale uznają tylko jedną międzynarodówkę świata: pieniądz.

— Niemki?

— Podobno jedna, tak twierdzi kelner.

— Czy sądzi pan, że zadaniem jej jest wywabianie stąd Niemców?

— Chyba nie.

Nadszedł kelner z kanapkami na talerzu. Zamówiłem je, gdyż miałem już dość wina. Chciałem zachować jasny umysł.

— A pan nie będzie jadł? — spytałem Schwarza.

Potrząsnął z roztargnieniem głową.

— Nie pomyślałem o tym, że papierosy mogą mnie zdradzić — powiedział. — Teraz skontrolowałem raz jeszcze wszystkie drobiazgi. Wyrzuciłem francuskie zapalki wraz z resztą papierosów i kupiłem papierosy niemieckie. Przypomniałem sobie nagle, że w paszporcie mam francuską pieczęć wjazdową i wizę. Tak więc w razie rewizji posiadanie francuskich papierosów było zupełnie naturalne. Spocony i zły na siebie i na swój strach poszedłem z powrotem do kabiny telefonicznej.

Musiałem czekać. Jakaś kobieta z wielką odznaką partyjną kolejno wykręciła dwa numery i wyszekała rozkazy. Trzeci numer nie odpowiedział, więc z wściekłą i władczą miną opuściła kabinę.

Nakręciłem numer mego przyjaciela i za chwilę w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

— Czy mogę prosić doktora Martensa? — zapytałem i poczułem, że mówię ochrypłym głosem.

— Kto mówi? — spytała kobieta.

— Przyjaciół doktora Martensa.

Nie mogłem zdradzić mego nazwiska. Nie wiedziałem, czy mówię z jego żoną, czy też ze służącą. Zresztą przed żadną z nich nie mógłbym się ujawnić.

— Proszę o pańskie nazwisko!

— Jestem przyjacielem doktora Martensa i dzwonię w bardzo pilnej sprawie. Proszę mu to zameldować.

— Niestety — odpowiedziała kobieta — jeśli pan nie poda swego nazwiska, nie będę mogła poprosić pana doktora.

— W tym wypadku musi pani zrobić wyjątek. Doktor Martens czeka na mój telefon.

— Tym bardziej powinien pan powiedzieć swoje nazwisko.

Umilkłem zrozpaczony i za chwilę usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

Stałem w mrocznej, pełnej przeciągów hali dworcowej. Pierwsza próba, która wydała mi się najprostszą, nie powiodła się. Nie wiedziałem, jak postępować dalej. Może zadzwonić bezpośrednio do Heleny? Było to o tyle ryzykowne, że telefon mógł odebrać ktoś z jej rodziny i poznać mnie po głosie. Ale gdybym podał obce nazwisko? Na przykład doktora Martensa? Inne nazwisko nie przychodziło mi w tej chwili do głowy. Jeszcze się wahałem, gdy nagle wpadłem na dziecinnie prosty pomysł. Dlaczego nie miałbym zadzwonić do doktora Martensa podając się za brata mojej żony? Martens go znał i już przed dziesięciu laty nie znośił.

Uczyniłem to natychmiast. W słuchawce odezwał się ten sam głos kobiety.

— Tu mówi Georg Jürgens — rzuciłem ostro. — Proszę doktora Martensa!

— Czy to pan telefonował przed chwilą?

— Tu Sturmbannführer Jürgens. Chcę mówić z doktorem Martensem. Natychmiast!

— Chwileczkę! Już proszę! — odpowiedziała kobieta.

Schwarz spojrział na mnie.

— Czy zna pan ten okropny, przygłuszony szum w słuchawce, kiedy od telefonu zależy pańskie życie?

Skinałem głową potakująco.

— Nawet jeśli nie chodzi o życie, lecz o coś mniej ważnego, czemu staramy się przeciwdziałać.

— Proszę, tu doktor Martens — usłyszałem wreszcie — ciągnął Schwarz dalej.

— I znów nawiedził mnie jeden z tych stanów, których opisy wyśmiewałem dawniej. Gardło zaschło mi do tego stopnia, że ledwie zdołałem wykrztusić:

— Rudolfie...

— Co proszę?

— Rudolfie — powtórzyłem. — Tu mówi krewny Heleny Jürgens.

— Nie rozumiem. Czy mówi Sturmbannführer Georg Jürgens?

— Podałem się tylko za niego. Powołuję się na Helenę Jürgens. Czy rozumiesz nareszcie?

— Nic nie rozumiem — odpowiedział z drugiej strony poirytowany głos męski.  
— Mam teraz godziny przyjęć.

— Rudolfie, czy mógłbym przyjść do ciebie w godzinach przyjęć? Będiesz miał chyba trochę czasu?

— Przepraszam, ale ja pana nie znam...

— Old Shatterhand — powiedziałem.

W jakimś nagłym olśnieniu przypomniałem sobie nasze dawne imiona. Używaliśmy ich, jako chłopcy, podczas naszych zabaw w Indian. Były to imiona bohaterów powieści Karola Maya, które pochłanialiśmy jako dwunastolatki.

Na chwilę zapanowało milczenie, a potem w słuchawce odezwał się cichy głos Martensa:

— Co takiego?

— Winnetou — odpowiedziałem. — Czy zapomniałeś nasze stare imiona? Przecież pochodzą z najulubieńszej lektury Führera.

— Słusznie — powiedział.

Było powszechnie wiadomo, że człowiek, który rozpętał drugą wojnę światową, miał w swej sypialni przeszło trzydzieści tomów powieści o Indianach, traperach i myśliwych; książki te już jako piętnastoletni chłopcy uważaliśmy za nieco śmieszne.

— Winnetou? — powtórzył Martens niepewnym głosem.

— Tak. Muszę się z tobą koniecznie zobaczyć.

— Nic z tego nie rozumiem. Gdzie pan teraz jest?

— Tu, w Osnabrück. Gdzie możemy się spotkać?

— Mam godziny przyjęć — tłumaczył się mechanicznie Rudolf.

— Jestem chory. Mogę przyjść w godzinach przyjęć.

— Nadal nic nie rozumiem — odpowiedział Martens już bardziej zdecydowanym głosem. — Jeżeli jest pan chory, to proszę przyjść w godzinach przyjęć. Po co telefonować specjalnie?

— O której?

— Najlepiej o siódmej trzydzieści. O godzinie siódmej trzydzieści — powtórzył.  
— Nie wcześniej!

— Dobrze. Będę o siódmej trzydzieści.

Odłożyłem słuchawkę, byłem znowu mokry od potu. Powlokłem się w stronę wyjścia. Błady sierp księżyca prześwitywał spoza chmur. Przed upływem tygodnia będzie nów — pomyślałem. — Najdogodniejsza pora do przekroczenia granicy.

Spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze trzy kwadransy czasu. Dalsze pozostawanie na dworcu mogłoby wzbudzić podejrzenia. Należało oddalić się stąd jak najrychlej.

Poszedłem w dół jedną z najciemniejszych i najmniej oświetlonych ulic, prowadziła do starych wałów miejskich. Część ich była wyrównana i wysadzona wysokimi drzewa-

mi. Pozostały odcinek wyglądał jak dawniej i ciągnął się wzdłuż rzeki. Minałem plac, na którym wznosił się kościół Serca Jezusowego, i znalazłem się na górnym wale.

Przedemną roztaczał się widok na dachy i wieże części miasta położonej po drugiej stronie rzeki. Barokowa kopuła katedry połyskiwała z dala w migotliwych światłach wieczoru. Pamiętałem tę scenerię, była uwieczniona na tysiącach kart pocztowych. Poczujęm znajomy zapach wody zmieszany z wonią lipowej alei biegnącej wzdłuż wałów.

Zakochane pary siedziały na ławkach ustawionych między drzewami tak, że widać było rzekę i miasto. Na jednej z nich, nie zajętej, usiadłem z zamiarem przeczekania tej pół godziny pozostałej mi jeszcze do spotkania z Martensem.

Z katedry rozległ się głos dzwonów. Byłem tak przejęty, że wyczuwałem niemal fizycznie ich ruch wahadłowy, udzielający mi się, jak gdyby na skutek przyglądania się niewidzialnej grze w tenisa dwóch graczy, narzucających sobie ową wahadłowość. Jednym z grających było znane mi moje dawne ja, rozglądające się lękliwie i nie mające odwagi do zastanowienia się nad swoją sytuacją, drugie — to nowe, które nie chciało zastanawiać się, miało odwagę i narażało się na ryzyko, jak gdyby nie mogło być inaczej. Tej osobliwej schizofrenii asystował ktoś trzeci, obserwator, obiektywny niby sędzia-rozjemca, bierny, lecz pragnący, by mogło wygrać to nowe ja.

Te pół godziny mocno utkwіło mi w pamięci. Przypominam sobie nawet, że się sam sobie dziwiłem z powodu owej klinicznej autoanalizy. Miałem takie wrażenie, jakbym się znalazł między przeciwlegle zawieszonymi taflami lustrzanymi, powtarzającymi moje odbicie w nieskończoność, a spoza każdego odbicia wyglądało już następne, coraz to nowe i nowe. Lustra były stare i pociemniałe, a oglądane w nich odbicia zacierały się w srebrzystym mroku. Nie mogłem więc dojrzeć, czy malowały się na nich niepewność i smutek, czy też oczekiwanie pełne nadziei.

Obok mnie usiadła jakaś kobieta. Nie wiedziałem, czego chce. Nie orientowałem się, czy również i te sprawy nie zostały przez reżim barbarzyńców zdegradowane do roli ćwiczeń wojskowych. Wstałem więc i odszedłem. Usłyszałem za sobą jej śmiech. Zastanawiające, że jeszcze dotąd prześladowuje mnie ten z lekka pogardliwy, a zarazem współczujący śmiech nieznannej kobiety z Herrenteichswall w Osnabrück.

## 4.

Poczekalnia była pusta. Na półce przy oknie stały rośliny o długich, mięsistych liściach. Na stole leżały czasopisma, których tytułowe strony wypełniały fotografie bonzów reżimowych, żołnierzy i oddziałów Hitlerjugend w marszu. Po chwili usłyszałem czyjeś szybkie kroki i w drzwiach pojawił się Martens. Przez chwilę przyglądał mi się, potem zdjął okulary i przymrużył oczy. Nie poznał mnie od razu, gdyż w przedpokoju panował półmrok, a poza tym zapuszczone niedawno wąsy znacznie zmieniły mój wygląd.

— To ja jestem, Rudolfe — powiedziałem. — Józef.

Martens gestem nakazał mi, bym ściszył głos, i zapytał szeptem:

— Skąd przybywasz?

Wzruszyłem ramionami. Czy to było ważne?

— Jestem tutaj — powiedziałem — i oczekuję od ciebie pomocy.

Przez chwilę Martens spoglądał na mnie w milczeniu. W słabym świetle jego krótkowzroczne oczy za okularami przypominały ryby za grubym szkłem akwarium.

— Czy otrzymałeś zezwolenie na przebywanie tutaj? — zapytał.

— Sam sobie pozwoliłem.

— W jaki sposób przeszedłeś granicę?

— Czy to nie wszystko jedno? Przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć się z Heleną.

Martens wciąż mi się przyglądał.

— Więc po to przyjechałeś?

— Tak.

Byłem zupełnie spokojny. Takiego spokoju nie zaznałem już od dawna. Pierzchły nagle wszystkie obawy i główną troską stało się uspokojenie Martensa, zaskoczonego moim niespodziewanym przybyciem.

— A więc po to? — spytał po raz drugi.

— Tak, po to. I ty musisz mi pomóc.

— Mój Boże!

— Może nie żyje?

— Ależ nie, żyje.

— Czy jest tutaj?

— Tak. Była tutaj. Przynajmniej przed tygodniem.

— Czy możemy tu rozmawiać? — spytałem.

Martens skinął głową.

— Pielęgniarkę już odprawiłem. Pacjentów, jeśliby się zjawili, odeślę również. Nie mogę cię zabrać do mojego mieszkania. Przed dwoma laty ożeniłem się. Chyba rozumiesz.

Rozumiałem aż nadto dobrze. W tysiącletniej Rzeszy już od dawna nie można było ufać nawet krewnym. Zbawcy Niemiec wmawiali codziennie, że denuncjacja jest narodową cnotą. Skutki tego poznałem na sobie, gdy zostałem zadenuncjowany przez brata mojej żony.

— Żona nie należy do partii — pospiesznie wyjaśnił Martens. — Nie wiem jednak, jak zareagowałaby na tego rodzaju fakt, jak nasze dzisiejsze spotkanie. Tych spraw nie poruszaliśmy nigdy.

Wprowadził mnie do swego gabinetu i przekręcił klucz w zamku.

— Zostaw je lepiej otwarte — powiedziałem. — Gdyby nas kto zobaczył, zamknięte drzwi wzbudziłyby tylko większe podejrzenia.

Martens przekręcił klucz z powrotem. Potem zwrócił się do mnie:

— Na miłość boską, Józefie. Co ty tu robisz? Przyjechałeś nielegalnie?

— Tak, ale nie potrzebujesz mnie ukrywać. Mieszkam w hotelu i nie w tym mieście. Przyszedłem do ciebie, ponieważ nie znam nikogo innego, kto by mógł powiadomić Helenę o moim przybyciu. Od pięciu lat nic o niej nie słyszałem i nie wiem, co się z nią dzieje. Nie wiem nawet, czy nie wyszła po raz drugi za męża. Jeśli wyszła...

— I dlatego tu przyjechałeś?

— Tak — odpowiedziałem zdziwiony. — Czy to nie wystarczający powód?

— Musimy cię ukryć. W nocy możesz spać w tym gabinecie na sofie. Obudzę cię przed siódmą. O siódmej przychodzi sprzątaczką. Po ósmej będziesz mógł wrócić z powrotem i być do jedenastej. O tej godzinie zaczynam przyjmować pacjentów.

— Czy wyszła powtórnie za męża? — spytałem.

— Helena?

Martens pokręcił przecząco głową.

— Nie przypuszczam nawet, by wszczęła jakieś kroki rozwodowe.

— Gdzie mieszka obecnie? W dawnym mieszkaniu?

— Chyba tak.

— Czy ktoś z nią mieszka?

— O kogo ci chodzi?

— O jej matkę. Siostrę. Brata. Innych krewnych.



— Tego nie wiem na pewno.

— Musisz się więc dowiedzieć i zawiadomić ją o moim przyjeździe.

— A dlaczego nie miałbyś zrobić tego sam? — zapytał Martens wskazując na telefon.

— Przecież ktoś może być u niej, na przykład jej brat, który już raz mnie wydał.

— Masz rację. Helena byłaby równie zaskoczona, jak ja. Mogłaby się łatwo zdradzić.

— Poza tym nie wiem, Rudolffie, jaki jest jej stosunek do mnie. Od naszego rozstania upłynęło już pięć lat, a żyliśmy ze sobą cztery lata. Pięć lat to jednak więcej niż cztery, tym bardziej że w czasie rozłąki czas wydłuża się dziesięciokrotnie.

Martens znów pokręcił głową.

— Nie rozumiem cię — powiedział.

— Być może. Ja siebie również. Żyjemy całkiem innym życiem.

— Dlaczego do niej nie pisałeś?

— Tego nie mogę ci teraz wyjaśnić, Rudolffie. Idź do Heleny, porozmawiaj z nią. Wybadaj, co myśli. Jeśli uznasz za słuszne, powiedz, że tutaj jestem, i ustal z nią miejsce naszego spotkania.

— Kiedy mam pójść do niej?

— Natychmiast — odpowiedziałem zdziwiony. — A coś ty myślał?

Martens obejrzał się dookoła.

— Gdzie się podziejesz w tym czasie? Tu nie jest bezpiecznie. Zaniepokojona moją nieobecnością, żona może przysłać służącą. Przyzwyczała się, że po zakończeniu przyjęć wracam na górę. Chyba że cię zamknę, ale to również może zwrócić uwagę.

— Nie chcę, żebyś mnie zamykał. Czy nie mógłbyś powiedzieć żonie, że masz jeszcze wizytę w mieście?

— Potem jej to powiem. To będzie prostsze.

Spostrzegłem błysk w jego oczach i zdawało mi się, że na sekundę przymrużył lewe oko. Przypomniały mi się nasze lata chłopięce.

— Pójdę tymczasem do katedry — powiedziałem. — Kościoły są dzisiaj prawie tak samo bezpieczne, jak w średniowieczu. Kiedy mam do ciebie zadzwonić?

— Za godzinę. Podaj się za Ottona Sturma. Tylko jak my się potem znajdziemy? Czy nie lepiej, żebyś poszedł gdzieś, gdzie jest telefon?

— Nie. Tam, gdzie telefon, jest niebezpiecznie.

— Tak. Możliwe. — Stał przez chwilę niezdecydowany. — Tak, chyba masz rację. Gdybym jeszcze nie wrócił, zadzwoń jeszcze raz — albo zostaw wiadomość, gdzie jesteś.

— Dobrze — powiedziałem sięgając po kapelusz.

— Józefie!

Odwróciłem się.

— Jak się tam żyje? — zapytał. — Bez... tego wszystkiego...

— Bez wszystkiego? — odpowiedziałem. — Mniej więcej tak: bez wszystkiego. Chociaż niezupełnie. A jak wy żyjecie? Z tym wszystkim, pozbawieni jednego tylko?

— Niedobrze — odpowiedział. — Niedobrze, Józefie. Chociaż pozornie wydawałoby się, że świetnie.

Wybierając najmniej ruchliwe ulice, skierowałem się w stronę katedry. Nie było to daleko. Na Krahnstrasse minęła mnie kompania żołnierzy, maszerująca w takt jakiejś nieznanej mi pieśni. Na placu przed katedrą zobaczyłem znowu żołnierzy. Nieco dalej, przed trzema krzyżami małego kościoła, stał ciasno stłoczony tłum, złożony z dwustu do trzystu ludzi ubranych przeważnie w mundury partyjne. Z daleka słyszałem głos przemawiającego, ale mówcy nie mogłem dostrzec. Dopiero po chwili zorientowałem się, że głos wydobywa się z czarnego głośnika, ustawionego na podium. Martwy automat wrzeszczał o prawie do rewindykacji wszystkich ziem niemieckich, o Wielkiej Rzeszy, o odwecie i o tym, że świat może zapewnić sobie spokój, jeżeli tylko zadośćuczyni wszystkim żądaniom Niemiec, i że to jest sprawiedliwe.

Nagły podmuch wiatru rozkołysał gałęzie drzew, których niespokojne cienie załamywały się na twarzach ludzkich, wrzeszczącym pudle i na kamiennych milczących posągach zdobiących ściany kościoła: Chrystusa i dwóch złoczyńców na krzyżach. Twarze słuchaczy wyrażały skupienie i zachwyt. Niewątpliwie wierzyli w to, co wykrzykiwał automat. Pod wpływem zbiorowej hipnozy ludzie oklaskiwali głuchy i ślepy przedmiot, jak gdyby był to żywy człowiek. Sądzę, że to niewiarygodne opętanie jest symptomem naszych czasów. W tej epoce, pełnej hysterii i strachu, gromkie słowa, niezależnie od tego, czy padają z prawa, czy z lewa, są chętnie przyjmowane przez masy. Ludzie dają im wiarę, byle tylko uwolnić się od ciężaru myślenia i obarczającej ich odpowiedzialności, której się obawiają i której uniknąć nie mogą.

Nie spodziewałem się, że w katedrze będzie tak wiele ludzi. Dopiero po chwili zorientowałem się, że są to przecież ostatnie dni maja i że w tym miesiącu co wieczór odbywa się nabożeństwo. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść lepiej do któregoś z kościołów protestanckich. Nie wiedziałem jednak, czy o tej porze są otwarte. Usiadłem w pustej ławce niedaleko wejścia. Cały kościół pogrążony był w mroku, tylko przed ołtarzem paliły się świece. Przy tym oświetleniu niebezpieczeństwo rozpoznania mnie było minimalne.

Przed ołtarzem kapłan poruszał się w obłoku kadzideł, brokatów i światła, wokół niego ministranci w czerwonych szatach, z narzuconymi białymi komżami, z dymiącymi kadzielnicami w ręku. Słuchałem muzyki organów i pienia chóru i zdało mi się nagle, że widzę te same zachwycone twarze, jak tam na zewnątrz. Oczy, jakby pogrążone w ekstatycznym śnie, wyrażały tę samą wiarę oraz pragnienie spokoju, bezpie-

czeństwa. Wszystko to wyglądało jednak łagodniej niż tam na placu. Ale religia miłości do Boga i bliźniego nie zawsze była sielankowa. Pochłonęła w ciągu ponurych stuleci wiele krwi i ofiar. Z chwilą gdy przestała być prześladowana, sama zmieniła się w prześladowcę, rozprawiając się przy pomocy tortur, miecza i stosów. Przypomniały mi się szydercze słowa brata Heleny wypowiedziane do mnie w obozie: „Przejęliśmy metody waszego Kościoła. Ta wasza święta inkwizycja nauczyła nas, jak należy się rozprawiać z wrogami naszej wiary. Wzorem dla nas są lochy, w których torturowano ludzi w imię miłości Boga. Jak dotąd, jesteśmy nawet mniej okrutni — palimy żywcem tylko w rzadkich wypadkach.” Wisiałem wtedy na krzyżu, kiedy mi to wyjaśniał. Był to jeden z najniewinniejszych sposobów, stosowanych przy wymuszaniu zeznań.

Kapłan wzniosł w górę złotą monstrancję i błogosławił zebranych. Siedziałem bez ruchu pławiąc się w woni kadzideł i jakiejś radosnej światłości. Potem zaintonowano ostatnią pieśń: „Odwracaj nocne przygody, od wszelkiej broń nas szkody...” Śpiewałem tę pieśń będąc dzieckiem. Wtedy mrok nocy był dla mnie czymś niebezpiecznym, teraz — światło.

Tłum powoli opuszczał świątynię. Pragnąc przeczekać pozostałe mi jeszcze piętnaście minut, ukryłem się w kącie obok jednej z olbrzymich kolumn podtrzymujących sklepienie.

I nagle zobaczyłem Helenę.

Początkowo zauważyłem tylko niespodziewany zamęt w ludzkim strumieniu, płynącym w stronę wyjścia. Jakaś kobieta przeciskała się między zwartym tłumem, torując sobie drogę w przeciwnym kierunku. Przez chwilę widziałem jasną, nieco gniewną, zdecydowaną twarz. Przypuszczałem, że ktoś wraca po jakąś rzecz pozostawioną w kościele. Nie spodziewałem się w tym miejscu spotkania z żoną i dlatego nie poznałem jej od razu. Dopiero gdy mnie mijała, w miejscu, gdzie tłum już się nieco rozrzedził, poznałem ją po ruchu ramion, przy których pomocy energicznie posuwała się do przodu. Po jakimś czasie, prześliznąwszy się między ludźmi i, jak się zdawało, nigdzie nikogo nie potrafiwszy, zatrzymała się w środkowej nawie na wolnej niemal przestrzeni tuż przed świecami w błękitnawo-czerwonym mroku, sączącym się z wysokiego romańskiego okna. Wydała się nagle wiotka i drobna, jakaś samotna i zagubiona.

Podniosłem się i usiłowałem ściągnąć na siebie jej spojrzenie. Nie ważyłem się nawet ręką dać jej znaku, gdyż mogłoby to zwrócić uwagę ludzi znajdujących się jeszcze w kościele. „Ona żyje — to była moja pierwsza myśl. — Nie umarła i nie jest chora”. Dziwne, ale w naszej sytuacji nasuwa się przede wszystkim taka myśl. Jest się zaskoczonym, że coś jeszcze trwa jak przedtem — że ktoś jeszcze istnieje.

Helena ruszyła szybko w kierunku chóru. Opuściłem ławkę i poszedłem za nią. Przed konfesjonałem zatrzymała się i spojrzała dookoła. Zlustrowała wzrokiem ludzi klęczących jeszcze w ławkach, a potem zawróciła i szła powoli w stronę wyjścia. Zatrzymałem

się w miejscu. Była jednak tak pewna, że znajduję się w którejś z ławek, że przeszła tuż obok ocierając się niemal o mnie. Ostrożnie ruszyłem za nią.

— Heleno! — wyszeptalem tuż za jej plecami, gdy na moment zatrzymała się znowu. — Nie odwracaj się! Wyjdź! Będę szedł za tobą. Nikt nie powinien tutaj widzieć nas razem.

Drgnęła, jak gdybym ją znienacka uderzył, ale poszła dalej. Po co przyszła do kościoła? Przecież tu właśnie niebezpieczeństwo rozpoznania nas było największe. Ale ja sam również nie zdawałem sobie sprawy, że w katedrze może być aż tak wiele ludzi.

Widziałem, jak szła przede mną, ale zajęty byłem głównie troską, żeby jak najszybciej opuścić kościół. Miała na sobie czarny kostium i małe kapelusik. Szła z podniesioną i nieco zwróconą w bok głową, jakby nasłuchiwała moich kroków. Postępowałem o kilka metrów za nią, starając się zanadto nie zbliżać i równocześnie nie stracić jej z oczu. Wiedziałem z doświadczenia, że często wpada się wskutek zbyt bliskiego sąsiedztwa kogoś znajomego.

Helena minęła kamienną kropielnicę, przeszła przez wielki portal frontowy i natychmiast skręciła w lewo. Wzdłuż katedry ciągnął się szeroki, wykładany kamiennymi płytami chodnik, oddzielony od dużego placu żelaznym łańcuchem zawieszonym na kamiennych słupkach. Helena przeskoczyła przez łańcuch, odeszła kilka kroków w mrok, zatrzymała się i odwróciła. Trudno określić, co się ze mną działo w tej chwili. Gdybym powiedział, że czułem się tak, jakbym gonił swe uciekające życie i zdołał je na chwilę zatrzymać — byłby to tylko literacki frazes, zawierający prawdę połowiczną. Nie wyrażałoby to jednak wszystkiego, co czułem w tym momencie. Podszedłem do Heleny. Ujrzałem z bliska jej smukłą, ciemną sylwetkę, jej bladą twarz, jej oczy i usta i pozostawiłem za sobą wszystko, co przeżyłem. Czas naszej rozłąki nie zapadł się w nicość, lecz stał się wspomnieniem tak odległym jak treść przeczytanej opowieści, nie mającym nic wspólnego z moimi przeżyciami.

— Skąd przyjechałeś? — spytała Helena wrogim niemal tonem, zanim zdążyłem jeszcze do niej się zbliżyć.

— Z Francji.

— Otrzymałeś zezwolenie?

— Nie. Przekradłem się przez zieloną granicę.

Były to te same pytania, które słyszałem już od Martensa.

— Po co? — spytała.

— Żeby zobaczyć się z tobą.

— Nie powinieneś był tego robić!

— Wiem. Tłumaczyłem to sobie każdego dnia.

— Dlaczego więc mimo to przyjechałeś?

— Gdybym wiedział, może nie byłoby mnie tutaj.

Nie śmiałem jej ucałować. Stała tuż przy mnie, lecz wydawała się tak odrętwiała i krucha, jak gdyby miała się rozpaść za lada dotknięciem. Nie wiedziałem, co myśli, lecz wystarczyło mi, że żyje i że widzę ją znowu. Teraz mogłem odejść albo iść na spotkanie temu, co się miało stać.

— Więc nie wiesz? — spytała.

— Nie. Ale dowiem się jutro, za tydzień lub później.

Patrzyłem na nią. O czym miałbym wiedzieć? A gdyby nawet? Znaczyłoby to tyle co strzęp piany tańczącej na fali. Byle wiatr może ją zdmuchnąć, lecz fala pozostaje.

— Przyjechałeś — powtórzyła.

Twarz jej odprężyła się, złagodniała. Helena przysunęła się do mnie. Objąłem jej ramiona, a ręce Heleny w jakimś obronnym geście opierały się o moją pierś. Miałem uczucie, jak gdybyśmy już od dawna tak stali, jedno naprzeciw drugiego, pośrodku ciemnego, wietrznego placu katedralnego, a zgiełk uliczny docierał do nas stłumiony, jak przez ścianę ze szkła. O sto kroków na lewo wznosił się na wprost placu jasno oświetlony teatr miejski ze swymi białymi schodami. Przez moment wydawało mi się dziwne, że w gmachu tym odbywają się jeszcze przedstawienia i że nie został on zamieniony na koszary lub więzienie.

Obok nas przeszła grupka ludzi. Ktoś się głośno roześmiał, a kilka osób obejrzało się w naszą stronę.

— Chodźmy stąd — szepnęła Helena. — Nie możemy tu stać.

— Dokąd pójdziemy? — spytałem.

— Do twojego mieszkania.

Zdawało mi się, że się przesłyszałem.

— Dokąd? — spytałem jeszcze raz.

— Do twojego mieszkania. A gdzieżby indziej?

— Mogą mnie poznać na klatce schodowej! Chyba mieszkają tam jeszcze dawni lokatorzy?

— Nikt cię nie zobaczy.

— A służąca?

— Zwolnię ją dziś na cały wieczór.

— A co będzie jutro rano?

Helena spojrzała na mnie.

— Czy po to wróciłeś z tak daleka, by mi zadawać takie pytania?

— W każdym razie nie po to, żeby dać się schwytać i wpakować cię do obozu, Heleno.

Uśmiechnęła się.

— Józefie, nic się nie zmieniłeś. Jak ci się udało tutaj przedostać?

— Doprawdy nie wiem — odpowiedziałem i z kolei sam się uśmiechnąłem.

Przypomniały mi się jej dawne, na wpół gniewne, na wpół ironiczne uwagi na temat mojej drobiazgowości i przestałem nagle myśleć o grożącym nam niebezpieczeństwie.

— Mimo wszystko jestem — powiedziałem. Pokiwała głową. Jej oczy napełniły się łzami.

— Jeszcze nie — odpowiedziała.

— Jeszcze nie! Chodźmy, bo gotowi nas naprawdę aresztować. Mogą pomyśleć, że robię ci awanturę.

Szliśmy przez plac.

— Nie mogę tak od razu iść z tobą do domu — powiedziałem.

— Czy nie byłoby lepiej, żebyś najpierw odprawiła służącą? Wynająłem w Münster pokój w hotelu. Tam nikt mnie nie zna. Chciałem tam zamieszkać.

— Na jak długo? — spytała Helena zatrzymując się.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Dotychczas myślałem tylko o tym, żeby zobaczyć ciebie, a potem wrócić jakoś z powrotem.

— Przez granicę?

— A jakże inaczej, Heleno?

Pochyliła głowę i w milczeniu szła dalej. Myślałem nad tym, że powinienem czuć się bardzo szczęśliwy, a jednak nie było tak. W rzeczywistości uczucie szczęścia uświadamiamy sobie zawsze dopiero później. Teraz wiem, że byłem szczęśliwy.

— Muszę zatelefonować do Martensa — rzekłem po chwili.

— Możesz to zrobić z twojego mieszkania — odpowiedziała Helena.

Zżymałem się, ilekroć mówiła: „Twoje mieszkanie”. Robiła to rozmyślnie. Nie pojmowałem, w jakim celu.

— Przrzekłem, że zatelefonuję w ciągu godziny. Jeśli tego nie uczynię, będzie myślał, że się coś stało. Może popełnić jakąś nieostrożność.

— Martens wie, że poszłam po ciebie.

Spojrzałem na zegarek. Stwierdziłem, że już o kwadrans przekroczyłem umówiony termin.

— Zatelefonuję z najbliższej knajpy — powiedziałem. — To potrwa tylko minutę.

— Na Boga, Józefie! — powiedziała Helena z gniewem.

— Ty rzeczywiście zupełnie się nie zmieniłeś. Pozostałeś takim samym pedantem jak dawniej.

— To nie jest pedanteria — odparłem. — To doświadczenie. Zbyt często widziałem katastrofalne skutki lekceważenia drobiazgów i wiem zbyt dobrze, co znaczy oczekiwanie w chwilach, gdy grozi niebezpieczeństwo. — Ująłem jej ramię. — Gdyby nie ta pedanteria, już dawno bym nie żył, Heleno.

Ścisnęła mocno moją rękę i wyszeptwała:

— Wiem o tym. Czy nie widzisz, jak bardzo się boję, że może ci się coś stać, jeżeli zo-

stawię cię samego chociażby na chwilę.

Ogarnęła mnie fala niewypowiedzianej czułości.

— Nic się nie stanie, Heleno. Trzeba w to wierzyć mocno. Z całą pedanterią.

Uśmiechnęła się i uniosła ku mnie swoją bladą twarz.

— Idź, zadzwoń! Tylko nie z knajpy. Po tamtej stronie ulicy jest budka telefoniczna. Postawiono ją podczas twojej nieobecności. Jest bezpieczniejsza niż jakiś lokal.

Wszedłem do oszklonej kabiny. Helena została na ulicy. Nakręciłem numer Martensa. Był zajęty. Odczekawszy chwilę połączyłem się ponownie, ale i tym razem moneta z brzękiem wyskoczyła z automatu. Numer wciąż był zajęty. Oczekując z niepokojem na ponowne połączenie, obserwowałem przez szybę spacerującą Helenę. Skinąłem jej ręką, ale ona nie zauważyła tego. Jak wartownik i zarazem anioł stróż obserwowała czujnie ulicę, starając się to robić bardzo dyskretnie. Zauważyłem teraz, że była ubrana w nie-nagannie skrojony czarny kostium, że usta miała pociągnięte szminką, która w żółtym świetle ulicznych latarni sprawiała wrażenie czarnej. Przyszło mi na myśl, że w dzisiejszych Niemczech szminka i róż nie były chętnie widziane.

Za trzecim razem uzyskałem wreszcie połączenie z Martensem.

— Telefonowała moja żona — tłumaczył się. — Prawie pół godziny plotkowała o sukniach, dzieciach i wojnie. Nie mogłem jej przerwać.

— A gdzie jest teraz?

— Poszła do kuchni. Musiałem dać jej się wygadać. Rozumiesz to chyba?

— Tak. Wszystko w porządku. Dziękuję ci, Rudolfie. Zapomnij o wszystkim.

— A gdzie jesteś teraz?

— Na ulicy. Dziękuję za wszystko. Niczego już więcej nie potrzebuję. Mam wszystko, czego szukałem. Jest tu przy mnie.

Patrzyłem przez szybę na Helenę i chciałem odłożyć słuchawkę.

— Czy znalazłeś już jakieś locum? — zapytał Martens.

— Myślę, że tak. Nie martw się o mnie. Traktuj ten wieczór jak sen i wykreśl go z pamięci.

— Jeśli mógłbym ci jeszcze w czymś pomóc — ciągnął z widocznym wahaniem Martens — to daj mi znać. Twoje nagłe zjawienie się zaskoczyło mnie dzisiaj. Rozumiesz przecie...

— Tak, Rudolfie, rozumiem. Jeżeli będę czegoś potrzebował, to zwrócę się do ciebie.

— Gdybyś zechciał tu przenocować, moglibyśmy sobie jeszcze pogawędzić.

Uśmiechnąłem się.

— Zobaczymy. Na razie muszę kończyć...

— Tak. Oczywiście. Wybacz mi — rzekł pośpiesznie. — Wszystkiego dobrego, Józefie.

— Dziękuję, Rudolfie.

Wyszedłem z dusznej kabiny. Wiatr był tak silny, że omal nie porwał mi kapelusza. Helena szybko zbliżyła się do mnie.

— Chodźmy do domu! Zaraziłeś mnie swoją ostrożnością. Teraz i mnie się wydaje, że z ciemności obserwują nas setki oczu.

— Czy masz tę samą służącą co dawniej? — spytałem.

— Lenę? Nie, była szpiegiem na usługach brata. Chciał wiedzieć, czy pisujesz do mnie. Lub ja do ciebie.

— A jaka jest ta obecna?

— Nierozgarnięta i niczym się nie interesuje. Jeśli ją zwolnię, będzie się tylko cieszyć. Zapewniam cię, że niczego się nie domyśli.

— Nie zwolniłaś jej jeszcze?

Uśmiechnęła się i stała się nagle bardzo piękna.

— Musiałam się wpierw upewnić, że jesteś tu naprawdę.

— Trzeba ją zwolnić wcześniej, zanim przyjdę — powiedziałem. — Nie może zobaczyć nas razem. Czy nie lepiej pójść gdzie indziej?

— Dokąd?

— Gdybym ja to wiedział...

Helena roześmiała się nagle.

— Stoimy niezdecydowani jak sztubacy, którzy muszą spotkać się po kryjomu, w tajemnicy przed rodzicami, gdyż są jeszcze zbyt młodzi. Dokąd moglibyśmy pójść? Do parku zamkowego? Zamykają o ósmej. Może usiądziemy na ławce w ogrodzie miejskim? Może w jakiejś kawiarence? Zbyt ryzykowne.

Miała rację. Były to drobiazgi, których nie przewidziałem — nigdy nie można wszystkiego przewidzieć.

— Tak — odparłem. — Stoimy jak sztubacy. Jakbyśmy nagle wrócili do czasów naszej młodości. — Spojrzałem na nią. Miała dwadzieścia dziewięć lat, a wyglądała jak wtedy, gdy ją poznałem. Pięć lat rozłąki spłynęło po niej jak woda z młodej fokki. — Przyjeżdżając tutaj postąpiłem także jak smarkacz. Wszystko przemawiało przeciw temu, a ja jak młokos nie zastanawiałem się długo. Nie wiedziałem nawet, czy od dawna już nie żyjesz z kim innym.

Nie odpowiedziała. Jej kasztanowe włosy lśniły w świetle latarni.

— Pójdę naprzód i zwolnię dziewczynę — rzekła wreszcie. — Jestem wściekła, że muszę cię zostawić samego na ulicy. Boję się, że możesz mi zniknąć tak nagle, jak nagle się pojawiłeś. Gdzie będziesz czekał?

— Tam gdzie mnie znalazłaś. W kościele. Mogę wrócić z powrotem do katedry. Stałem się nie byle jakim znawcą kościołów i muzeów francuskich, szwajcarskich i włoskich. Są one jeszcze najbezpieczniejszym schronieniem, Heleno.

— Przyjdź za pół godziny — szepnęła. — Czy pamiętasz jeszcze okna naszego miesz-



kania?

— Tak.

— Jeżeli zobaczysz, że okno w narożnym pokoju jest otwarte, będzie to oznaczało, że wszystko w porządku i możesz wejść bezpiecznie. Jeśli będzie zamknięte, poczekaj, aż je otworzę.

Pomyślałem o Martensie, jak w dzieciństwie bawiliśmy się w Indian. Wówczas światło w oknie było dla Winnetou znakiem, na który czekał. A więc pewne rzeczy powtarzają się?

— Dobrze — odpowiedziałem zbierając się do odejścia.

— Dokąd idziesz?

— Chcę zobaczyć, czy kościół Panny Marii jest jeszcze otwarty. O ile pamiętam, stanowi on piękny wzór gotyckiego budownictwa. W czasie mojej tułaczki nauczyłem się cenić te rzeczy.

— Przestań! — zawołała. — I tak jest mi ciężko, że muszę cię zostawić samego.

— Heleno — odpowiedziałem. — Nauczyłem się uważać na siebie. Potrząsnęła głową. Wyraz jej twarzy zdradzał, że zniknęła cała jej odwaga.

— To wszystko za mało — powiedziała. — Co ja zrobię, jeżeli nie przyjdiesz?

— Nic nie możesz zrobić. Czy numer twego telefonu jest ten sam?

— Tak.

Delikatnie ścisnąłem jej ramię.

— Heleno, wszystko pójdzie dobrze!

— Odprowadzę cię do kościoła Panny Marii — rzekła. — Chcę mieć pewność, że dojdiesz tam bezpiecznie.

W milczeniu poszliśmy w stronę kościoła. Było to niedaleko. Tu Helena zostawiła mnie samego i bez słowa zawróciła w kierunku domu. Widziałem, jak wracała przez stary plac rynkowy. Szła szybko, nie oglądając się.

Zatrzymałem się w cieniu przed portalem. Na prawo znajdował się miejski ratusz; stał również w cieniu, tylko po kamiennych twarzach zdobiących go rzeźb błędziły migotliwe refleksy księżycowej poświaty. To stąd, ze stopni ratusza, w 1648 roku został ogłoszony koniec trzydziestoletniej wojny i w 1933 roku początek tysiącletniej Rzeszy. Zastanawiałem się, czy dożyję tej chwili, kiedy w tym samym miejscu zostanie obwieszony jej koniec. Nie miałem wielkiej nadziei.

Zrezygnowałem nagle z ukrywania się i nie poszedłem do kościoła. Nie lekceważyłem niebezpieczeństwa, ale od momentu spotkania się z Heleną postanowiłem, że bez koniecznej potrzeby nie będę się zachowywał jak tropione zwierzę.

Aby nie zwrócić na siebie uwagi, poszedłem dalej. Miasto nie wydawało mi się już tak odstręczające i niebezpieczne jak przedtem. Nabierało kolorów i życia. Patrzyłem na nie zupełnie innym wzrokiem, ponieważ i we mnie budziło się życie. Zrozumiałem teraz, że

w ostatnich latach nie było ono tylko anonimową wegetacją i beznadziejnym wyczekiwaniem z dnia na dzień. Te lata ukształtowały mnie, a więc nie zostały stracone.

Jak kwiat chwiejący się na wątlej łądydze, niepostrzeżenie rozkwitły, zrodziło się we mnie namiętne pragnienie życia jak nigdy przedtem. Nie miało to nic wspólnego z romantyką, było jednak tak nowe i urzekające, jak widok wspaniałego kwiatu tropikalnego wyczarowanego na pospolitym krzaku, na którym spodziewaliśmy się ujrzyć najwyższej kilka skromnych, niepozornych pąków.

Doszedłem do rzeki, stanąłem na moście i poprzez balustradę spojrzałem na wodę. Po lewej stronie wznosiła się średniowieczna wieża strażnicza, zamieniona obecnie na pralnię. Przez oświetlone okna widziałem pracujące dziewczęta. Niżej, na powierzchni rzeki, chygotały szerokie pasma światła. Na tle nieba odcinała się ciemna linia wałów wysadzanych lipami, na prawo wśród ogrodów wznosiła się sylwetka katedry.

Nawiedził mnie zupełny spokój i odprężenie. Ciszę wieczoru zakłócał tylko plusk wody i stłumione głosy praczek pracujących za oknami. Nie mogłem zrozumieć, o czym rozmawiają. Zdawało mi się, że słyszę jedynie głos ludzki nie ukształtowany jeszcze w słowa — znaczyło to tylko, że w pobliżu są ludzie. Nie oznaczał on na razie kłamstwa, oszustwa, głupoty i piekielnego osamotnienia, które w formie gotowych słów tkwiły w nim potencjalnie, niby szpetny dyszkant w czysto skomponowanej melodii.

Oddychałem głęboko i zdawało mi się, że rytm mego oddechu jest zgodny z rytmem płynącej rzeki. Przez chwilę złudzenie to było tak silne, że czułem się, jakbym sam był częścią mostu i za każdym oddechem wchłaniał przepływającą pod nim rzekę. Tak mi się oczywiście zdawało i nie dziwiłem się temu. Wyłączyłem się z rzeczywistości i moje myśli stały się tak nieświadome, jak mój oddech lub jak woda.

Smuga odsłoniętego przez kogoś światła szybko przebiegła wzdłuż ciemnej lipowej alei, sięgając mego lewego ramienia. Moje oczy pobiegły za nią i wówczas usłyszałem znowu głosy praczek, które, jak uświadomiłem sobie, przez jakiś czas nie docierały do mnie. Poczulem znowu zapach lip. Słaby wiatr niósł go nad rzeką.

Wędrująca smuga znikła, równocześnie zapadła ciemność za oknami. Woda przybrała czarną, smolistą barwę. Po chwili na jej powierzchni zabłysły niedostrzegalne przedtem refleksy księżycowego blasku. Były bardziej subtelne i różnorodne niż odbijające się przedtem brutalne żółte światło.

Pomyślałem o moim życiu, w którym przed laty również zgaszono światło. Zastanawiałem się, czy jakieś łagodne światła, których dotąd nigdy nie widziałem, mogłyby w nim znów zabłysnąć tak jak teraz odbicie księżycy w wodzie. Dotychczas odczuwałem tylko stratę, nigdy nie zastanawiałem się nad odniesionymi przez to korzyściami.

Opuściłem most i w mrocznej alei, ciągnącej się wzdłuż wałów, chodziłem tam i z powrotem, aż minie pół godziny, które musiałem odczekać. W nocy zapach lip był silniej-

szy, a dachy i wieże miasta połyskiwały srebrzyście w świetle księżyca. Zdawało mi się, że miasto stara się mnie przekonać do siebie i wykazać, że dotychczasowa moja opinia o nim była niesprawiedliwa. Zdawało się mówić, że nie czyha na mnie żadne niebezpieczeństwo i że po długiej tułaczce powróciłem do kraju, gdzie znów potrafię być sobą.

Nie miałem potrzeby bronić się przeciwko temu. Czujność moja była niemal odruchowa. Wiedziałem, że nie wolno ulegać chwilowym nastrojom, które już nieraz doprowadzały do tego, że wpadałem w ręce policji. Tak było w Paryżu, w Rzymie i w innych miastach. Porwany ich pięknem i dostojnością, urzeczony zwodniczą iluzją miłości, tolerancji i przebaczenia — zapominałem o policjantach. Oni jednak nie zapominali o mnie. Zapach lip i blask księżyca nie zmieni denuncjatorów w świętych.

Ruszyłem ostrożnie w kierunku placu Hitlera, zmysły moje napięte były jak skrzydła nietoperza. Dom, w którym dawniej mieszkałem, stał na rogu tego placu i bocznej ulicy, noszącej jeszcze swą poprzednią nazwę.

Okno było otwarte. Przypomniała mi się opowieść o Herze i Leandrze oraz bajka o królewiczu i złej zakonnicy. Zakonnica zgasiła światło powodując śmierć królewicza w topieli. „Nie jestem królewiczem — pomyślałem. — A Niemcy, chociaż mają wiele przepięknych bajek, mimo to, a może właśnie dlatego, posiadają również najokropniejsze w świecie obozy koncentracyjne”.

Spokojnie przeszedłem przez jezdnię, która nie była ani Hellespontem, ani Morzem Północnym.

W korytarzu usłyszałem kroki. Nie mogłem się już wycofać i zacząłem się piąć schodami w górę. Minałem nie znaną mi starszą kobietę. Czułem, jak serce ściska mi się aż do bólu. — Schwarz uśmiechnął się. — Oto znowu frazes, którego prawdziwość mogą potwierdzić tylko osobiste przeżycia. Na dole usłyszałem trzask zamykanych drzwi, nie oglądając się przeskoczyłem szybko ostatnie stopnie.

Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Pchnąłem je i ujrzałem przed sobą Helenę.

— Czy widział cię ktoś? — spytała.

— Tak. Jakaś starsza kobieta.

— Bez kapelusza?

— Tak, bez kapelusza.

— To chyba była służąca. Zajmuje pokój na poddaszu. Zwolniłam ją do poniedziałku. Widocznie tak długo guzdrała się przed wyjściem. Te kobiety myślą, że nikt nie ma nic innego na głowie, jak oglądać i krytykować ich suknie, gdy idą ulicą.

— Do diabła ze służącą! — zawołałem. — Mniejsza o to, czy to była ona, czy też nie. Najważniejsze, że mnie nie poznała. Tego jestem pewny, wyczuwam zawsze, kiedy ktoś mnie poznaje.

Helena wzięła mój płaszcz i kapelusz.

— Nie tutaj — powstrzymałem ją, widząc, że chce je zawiesić w przedpokoju.

— Schowaj do szafy. Gdyby ktoś wszedł, ubranie zdradziłoby moją obecność.  
— Nikt tu nie przyjdzie — odpowiedziała idąc przede mną.  
Odwróciłem się i przekręciłem klucz w zamku. Dopiero po tym poszedłem za nią.

W pierwszych latach wygnania często myślałem o moim mieszkaniu; potem starałem się o nim zapomnieć. Teraz, gdy się w nim znalazłem, nie zrobiło na mnie większego wrażenia. Patrzyłem na nie jak na obraz, który kiedyś posiadałem i który kojarzył się z określonym fragmentem mego życia. Stałem w drzwiach i rozglądałem się. Prawie nic się nie zmieniło. Tylko sofa i krzesła miały nowe obicia.

— Czy nie były przedtem zielone? — spytałem.

— Nie, błękitne — odpowiedziała Helena.

Schwarz obrócił się do mnie.

— Przedmioty mają swoje własne życie — powiedział. — Porównując je z naszym życiem odczuwa się coś niesamowitego.

— Więc po co porównywać? — spytałem.

— Alboż pan tego nie robi?

— Tak, lecz tylko w niewielkim zakresie. Ograniczam się do siebie samego. Kiedy głodny stoję w porcie, porównuję się z człowiekiem, który nie tylko jest głodny, lecz ponadto jest chory na raka. Wtedy przez minutę jestem szczęśliwy, ponieważ nie choruję na raka, a jestem tylko głodny.

— Rak! — zawołał Schwarz i spojrzał na mnie.

— Skąd przyszło to panu do głowy?

— Mógłbym oczywiście równie dobrze wymienić syfilis. Albo gruźlicę. Rak jest najbliższy.

— Najbliższy? — Schwarz wciąż wpatrywał się we mnie uporczywie. — A ja panu mówię, że najdalszy! Tak jest, najdalszy — powtórzył.

— Zgoda — odparłem ustępliwie. — Użyłem tego tylko dla przykładu.

— Jest czymś tak odległym, że nie sposób tego pojąć — dodał Schwarz po chwili.

— Tak się myśli o każdej nieuleczalnej chorobie, panie Schwarz. Zawsze...

Schwarz skinął głową i zamilkł.

— Czy jest pan głodny? — zapytał po chwili.

— Nie. Dlaczego pan pyta?

— Mówił pan coś o tym.

— To był również tylko przykład. Przecież dziś dwukrotnie zasiadaliśmy z panem do kolacji.

Schwarz znowu spojrzał na mnie.

— Jak to brzmi! Zasiąść do kolacji. Ileż radosnej beztroski kryje się w tym określeniu. I jakie to jest nieosiągalne, kiedy już wszystko przeminęło!

Milczałem. Po chwili zaczął spokojniejszym głosem.

— Żółte krzesła! Obito je na nowo w czasie mojej nieobecności. Tyle tylko zmieniło się w ciągu pięciu lat. W tym czasie życie moje kilkanaście razy było poddawane karkołomnym próbom. Zdawało mi się, że tkwi w tym jakaś sprzeczność... Tak... to właśnie miałem na myśli. Czy pan rozumie?

— Tak! Człowiek umiera, a łóżko zostaje. Zostaje też dom i meble. Miałoby się ochotę także i to wszystko zniszczyć.

Schwarz zaoponował.

— Nie. Jeżeli są nam obojętne. W przeciwnym razie...

— A więc nie należy ich niszczyć — powiedziałem. — Zresztą człowiek nie jest czymś tak ważnym.

— Nie? — odpowiedział Schwarz i nagle spojrzął na mnie wzburzony. — Nie jest ważny? Oczywiście, że nie! Ale niech mi pan powie, co jest w takim razie ważne, jeżeli nawet życie nie jest ważne!

— Nic — odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że wygłaszam coś, co jest prawdą i równocześnie nie jest prawdą. — To tylko my sami robimy z niego coś ważnego.

— A dlaczego mielibyśmy tego nie robić? — zapytał Schwarz głośno, łykając pośpiesznie ciemne wino. — Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie ma ono dla nas być ważne?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Przecież sam przywiązuję do życia dużą wagę.

— To był także tylko frazes.

Spojrzałem na zegarek. Minęła już godzina druga. Orkiestra grała jakieś sentymentalne tango. Krótkie, przytłumione dźwięki trąbki przypominały dalekie sygnały odpływającego statku. Jeszcze parę godzin, a nastanie świt i będę mógł odejść. Nieznaczenie sięgnąłem do kieszeni i pod palcami wyczułem bilety okrętowe. Nie mogłem uwierzyć, że wszystko to jest rzeczywistością; niezwykła muzyka, wino, lokal osłonięty kotarami i głos Schwarza stwarzały nastrój czegoś usypiającego, nierealnego.

— Stałem wciąż jeszcze w drzwiach — ciągnął dalej Schwarz. — Helena obserwowała mnie z boku.

— Czy aż tak obce wydaje ci się własne mieszkanie? — spytała.

Potrząsnąłem głową i posunąłem się parę kroków naprzód. Pytanie wprowadziło mnie w zakłopotanie. Istotnie, mimo że przedmioty zdawały się mnie przyciągać, już nie należałem do nich. „A może nie należę do Heleny?” — pomyślałem ze strachem.

— Wszystko jest jak dawniej — stwierdziłem z udanym zapałem. — Tak jak dawniej, Heleno.

— Nie. Wcale tak nie jest — zaprzeczyła. — Po co wróciłeś? Czy po to, żeby wszystko było jak dawniej?

— Nie — odrzekłem. — Wiem, że to niemożliwe. Ale czy nie mieszkaliśmy tutaj?

Gdzie się podziała nasza przeszłość?

— Nie znajdziesz jej ani w tym domu, ani w starych ubraniach, które zostały wyrzucone. Czy to masz na myśli?

— Nie siebie pragnę tu odnaleźć. Ale ty byłeś tu zawsze. Pytam z myślą o tobie.  
Helena jakoś dziwnie spojrzała na mnie.

— Dlaczego nie pytałeś mnie nigdy przedtem?

— Przedtem? — powtórzyłem nic nie rozumiejąc. — Kiedy przedtem? Wiesz, że nie mogłem przyjechać.

— Przedtem, zanim odszedłeś.

W dalszym ciągu nie rozumiałem, o co jej chodzi.

— O co miałem cię wówczas pytać, Heleno?

Przez chwilę milczała.

— O to, czy nie chciałabym uciec razem z tobą — odpowiedziała wreszcie.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

— Uciec ze mną? Stąd? Od rodziny i od wszystkiego, co kochałaś?

— Nienawidzę mojej rodziny.

Zmieszałem się.

— Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co znaczy tułaczka na obczyźnie — szepnąłem w końcu.

— Ty również wtedy tego nie wiedziałaś.

Miała zupełną rację.

— Nie chciałem cię stąd wyrwać — powiedziałem bez przekonania.

— Nienawidzę tego wszystkiego! Dlaczego wróciłeś?

— Przed moim odejściem uczucie nienawiści było ci obce.

— Dlaczego wróciłeś? — powtórzyła Helena. Stała z drugiej strony pokoju, oddzielona ode mnie czymś więcej niż żółtymi krzesłami i pięcioma latami rozłąki. Uderzyła mnie nagle jej wrogość i wciąż jeszcze żywe rozczarowanie. Zdawałem sobie teraz niejasno sprawę, że dotknąłem ją boleśnie, kiedy uciekłem i pozostawiłem ją samą, kierując się zrozumiałym chyba pragnieniem zaoszczędzenia jej trudów tułaczki. — Dlaczego wróciłeś, Józefie? — spytała.

Najchętniej odpowiedziałbym, że właśnie ona była przyczyną mego powrotu. Nie mogłem. To nie było takie proste. Nagle uświadomiłem sobie — i uświadomiłem to sobie właśnie w tym momencie — że to rozpacz, cicha prawdziwa rozpacz pchnęła mnie tu z powrotem. Zużyłem już wszystkie rezerwy, a sama wola przetrwania nie była na tyle silna, bym mógł przeciwstawić się dłużej męce osamotnienia. Nie czułem się na siłach, by rozpocząć nowe życie na nowo. W gruncie rzeczy nigdy chyba nie pragnąłem tego naprawdę. Od dawna nie mogłem dojść z nim do ładu — nie potrafiłem ani odejść ani od niego, ani go zmienić. Gangrena zapuściła korzenie. Miałem do wyboru — albo

udusić się w jej wyziewach, albo powrócić i starać się z niej wyleczyć.

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym wszystkim dokładnie. A i teraz przedstawiało mi się to w mglistych zarysach; byłem jednak o tyle uratowany, że przynajmniej zdawałem sobie z tego sprawę. Skrępowanie i zakłopotanie zniknęły bez śladu. Wiedziałem teraz, dlaczego tu jestem. Z mojej pięcioletniej tułaczki nie wyniosłem nic prócz wyostrzonego zmysłu zachowania życia, czujności i doświadczenia ściganego przestępcy. Wszystko inne zbankrutowało. Liczne noce spędzone w pobliżu granic, koszmarna monotonia bytu, kiedy to musiałem jedynie walczyć o liche pożywienie i parę godzin snu, wegetacja kreta pod ziemią — wszystko to zniknęło bez śladu, gdy tylko stanąłem na progu mego mieszkania. Zbankrutowałem wprawdzie, ale nie ponosiłem za to żadnej winy. Byłem wolny. Moje ja z tych lat z chwilą przekroczenia granicy zginęło samobójczą śmiercią. Nie było dlań powrotu. Byłem trupem. Obecnie żyło moje inne ja, żyło darrowanym sobie czasem i nie poczuwało się do odpowiedzialności. Szale opadły.

Schwarz spojrział na mnie.

— Czy pan rozumie, co mam na myśli? Powtarzam się i przeczę sam sobie.

— Sądzę, że rozumiem — odpowiedziałem. — Zdolność popełnienia samobójstwa jest łaską, zbyt rzadko tylko zdajemy sobie z tego sprawę. Daje ona złudzenie wolnej woli. I prawdopodobnie popełniamy samobójstwo częściej, niż nam się wydaje. Tylko że nie wiemy o tym.

— Ma pan słuszność! — zareagował żywo Schwarz. — Gdyby tylko samobójstwa te rozpoznawano jako takie. Wtedy posiadalibyśmy zdolność zmartwychwstania. Moglibyśmy przeżywać więcej niż jedno życie — zamiast wlec za sobą gorycz doświadczenia od jednego kryzysu do drugiego i w końcu zginąć.

— Nie mogłem oczywiście wytłumaczyć tego Helenie — ciągnął dalej Schwarz. — Nie było zresztą potrzeby. Z uczuciem ulgi doszedłem nagle do wniosku, że jest to zbyt proste. A nawet przeciwnie, mogłoby spowodować jeszcze większy zamęt. Helena pragnęła niewątpliwie mojego zapewnienia, że powróciłem dla niej. Dzięki nowym zdolnościom jasnowidzenia zdawałem sobie jednak sprawę, że byłoby to moją zgubą. Zbyt mocno ciążyłaby na nas przeszłość całą swoją argumentacją winy, zaniedbań i zranionej miłości — nie odnaleźlibyśmy się już nigdy.

Jeżeli obecnie niemal pogodna idea samobójstwa duchowego miałaby mieć jakiś sens, musiałyby być pełniejsza i obejmować nie tylko lata wygnania, lecz także okres poprzedzający. W przeciwnym wypadku zaistniałoby niebezpieczeństwo ponownej gangreny, jeszcze bardziej okropnej. Dałaby ona znać o sobie natychmiast. Oto stała przede mną Helena, mój wróg, gotowa do zaatakowania mnie miłością, świadoma mej bezbronności — sytuacja moja byłaby tak niekorzystna, że nie miałbym żadnych szans. Uczucie wyzwolenia, jakie daje śmierć, którego doznałem przedtem, zamieniałoby się teraz w pełną udręki agonię moralną. Nie byłaby to już śmierć i zmartwychwstanie, lecz

całkowite unicestwienie. Przed kobietami nie trzeba się tłumaczyć, trzeba działać.

Zbliżyłem się do Heleny. Gdy wziąłem ją w ramiona, poczułem, jak drży cała.

— Po coś przyjechał? — spytała raz jeszcze.

— Nie pamiętam — odpowiedziałem. — Heleno, jestem głodny. Przez cały dzień nie miałem nic w ustach.

Obok, na małym malowanym stoliku włoskim, stała oprawiona w srebrne ramki fotografia jakiegoś nie znanego mi mężczyzny.

— Czy nam to potrzebne? — wskazałem.

— Nie — odpowiedziała zaskoczona. Wzięła fotografię i włożyła ją do szufladki stolika. Schwarz spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

— Nie wyrzuciła — powiedział. — Nie podarła. Po prostu schowała ją do szufladki. Jeżeli będzie miała ochotę, wyjmie ją znowu i postawi na poprzednim miejscu. Nie wiem dlaczego, ale gest ten zachwycił mnie. Przed pięciu laty nie zrozumiałbym go i zrobiłbym jej scenę. Obecnie rozładowało to nastrój, który jeszcze trochę, a stałby się nieznośnie pompatyczny. Godzimy się na wielkie słowa w polityce, ale w miłości jeszcze nie. Niestety, jeszcze nie. Gdyby działało się odwrotnie, byłoby lepiej. Odruch Heleny nie oznaczał, że kochała mnie mniej, lecz po prostu kobiecą przezorność. Raz już się na mnie zawiodła, dlaczegoż więc miała mi teraz znowu zaufać? Ja natomiast nie darmo żyłem we Francji — o nic jej nie pytałem. Bo i o co? Zresztą, jakie miałem do tego prawo? Roześmiałem się. Helena spojrzała na mnie zdziwiona. Potem twarz jej zaczęła się rozjaśniać i w końcu roześmiała się także.

— Jak to jest właściwie, czy wzięłaś ze mną rozwód? — spytałem. Pokręciła przecząco głową.

— Nie, ale nie ze względu na ciebie. Nie zrobiłam tego na złość mojej rodzinie.



## 5.

Spałem tej nocy zaledwie parę godzin. Byłem bardzo zmęczony, a mimo to budziłem się często. Do niewielkiego pokoju, w którym leżeliśmy, wdzierą się noc. Zdawało mi się, że słyszę jakieś szmery, a w krótkich chwilach półsnu majaczyło mi się, że znów dokądś uciekam gnany okropnym strachem.

Helena obudziła się tylko raz.

— Czy nie możesz spać? — spytała w ciemnościach.

— Nie. Byłem zresztą na to przygotowany.

Zapaliła światło. Cienie pierzchły z okna.

— Nie można wymagać wszystkiego na raz — powiedziałem. — Nie mam władzy nad moimi snami. Czy jest tam jeszcze wino?

— Pod dostatkiem. Pod tym względem moja rodzina jest niezawodna. Ale odkąd ty pijesz wino?

— Odkąd znalazłem się we Francji.

— Dobrze — odpowiedziała. — Czy znasz się już przynajmniej na tym?

— Nie za bardzo. Lepiej, jeśli chodzi o wina czerwone. Tanie.

Helena wstała i poszła do kuchni. Za chwilę wróciła z dwiema butelkami i korkociągiem.

— Nasz przesławny Führer — powiedziała — również, jeśli chodzi o wina, zmodyfikował stare przepisy. Dawniej do wina gronowego nie wolno było dodawać cukru; dziś można nawet przerywać fermentację. — Widząc, że nie bardzo rozumiem, o co chodzi, roześmiała się. — Dzięki temu wina kwaśne w latach chudych są słodsze — wyjaśniła. — Jest to szachrajstwo uprawiane przez rasę panów w celu zwiększenia eksportu i przysporzenia dewiz.

Podawała mi butelki i korkociąg. Otworzyłem flaszkę mozela. Helena wzięła dwa cienkie kieliszki.

— Kiedy zdążyłaś się tak opalić? — spytałem.

— Byłam w marcu w górach, na nartach.

— Naga?

— Nie, ale na słońcu można opalać się nago.

— Od kiedy to jeździsz na nartach?

— Ktoś mnie nauczył — odpowiedziała i patrzyła na mnie wyzywająco.

— Świetnie. To bardzo zdrowo.

Napełniłem kieliszek i podałem Helenie. Wino było cierpkie i bardziej aromatyczne od burgunda. Nie piłem takiego, odkąd opuściłem Niemcy.

— Nie jesteś ciekaw, kto mnie uczył? — spytała.

— Nie.

Spojrzała na mnie zdziwiona. Kiedyś prawdopodobnie wypytywałbym ją o to przez całą noc. Dziś nie miało znaczenia. Beztraska nierzeczywistość tego wieczoru powróciła na nowo.

— Zmieniłeś się — powiedziała.

— W ciągu dzisiejszego wieczoru dwukrotnie stwierdziłaś, że się nie zmieniłem — odrzekłem. — To jest tak samo mało ważne jak tamto.

Trzymała w ręku kieliszek, lecz nie piła.

— A może wolałabym, żebyś się nie zmienił.

Wypiłem.

— Aby tym łatwiej mnie dręczyć?

— Czy dawniej dręczyłam cię?

— Nie wiem. Myślę, że nie. To już było tak dawno. Gdy wracam myślą wstecz i zastanawiam się, jaki byłem wówczas, nie mogę zrozumieć, dlaczego, na Boga, nie miałas tego spróbować.

— Próbuje się zawsze, czy nie wiesz o tym?

— Nie — powiedziałem — ale teraz zostałem ostrzeżony. Dobre jest to wino. Prawdopodobnie sfermentowane do końca.

— Czy tak samo jak ty?

— Heleno — powiedziałem.

— Jesteś nie tylko ogromnie podniecająca... jesteś zabawna. W sumie daje to wyjątkowo rzadką i uroczą kombinację.

— Nie bądź taki pewny siebie — odpowiedziała rozgniewana i usiadła na łóżku, wciąż jeszcze trzymając w ręku kieliszek napełniony winem.

— Nie jestem pewny siebie. Ale krańcowa niepewność, jeżeli nie doprowadzi do śmierci, może doprowadzić do pewności, której nic nie zachwieje — powiedziałem śmiejąc się. — Zdawałoby się... wielkie słowa, ale to jest tak jak z piłką.

— Z jaką znów piłką?

— Według mnie jest to coś takiego, co nie może się zatrzymać, nigdzie pozostać, toczy się nieustannie, bez przerwy. Życie emigranta. Życie hinduskiego mnicha-żebra-ka. Życie człowieka współczesnego. Jest tych emigrantów o wiele więcej, niż się na ogół

przypuszcza. Wśród nich są również tacy, którzy nigdy nie ruszyli z miejsca.

— To brzmi wcale dobrze — powiedziała Helena.

— Lepiej aniżeli stagnacja mieszczańska.

Skinąłem głową.

— Można to wyrazić także innymi słowami i wówczas nie zabrzmiałoby to tak dobrze. Jednakże zdolność naszej wyobraźni nie jest, chwała Bogu, zbyt duża. W przeciwnym razie mielibyśmy o wiele mniej ochotników wojennych.

— Wszystko jest lepsze niż zastój — powiedziała Helena i wychyliła swój kieliszek.

Przyglądałem się jej, gdy piła wino. „Jakże jest młoda — myślałem — niedoświadczona, godna miłości, niebezpieczna i naiwna. Ona nic nie wie, nawet tego, że stagnacja mieszczańska jest kategorią moralną, a nie geograficzną.”

— Czy chciałbyś do tego wrócić? — spytała Helena.

— Nie sądzę, żeby to było możliwe. Ojczyzna wbrew mojej woli uczyniła mnie obywatelem świata. I muszę nim pozostać. Nie ma już powrotu.

— Nawet do kogoś bliskiego?

— Nawet do kogoś bliskiego — powiedziałem. — Nawet ziemia pędzi egzystencję piłki, egzystencję odwiecznego emigranta ze słońca. Nie ma już powrotu. Albo wszystko się rozwali.

— Dzięki Bogu! — Helena wyciągnęła do mnie swój kieliszek. — Ale ty? Czyż nigdy nie pragnąłeś powrócić?

— Zawsze — odpowiedziałem.

— Nigdy nie działałam zgodnie z własną teorią. To przydaje jej dwukrotnie więcej uroku.

Helena roześmiała się.

— To wszystko nieprawda!

— Oczywiście, że nie! Pod pajęczą osłoną słów kryje się coś innego.

— Co?

— Coś, czego nie można wyrazić słowami.

— Czy coś, co zdarza się tylko w nocy?

Nie odpowiedziałem. Siedziałem spokojnie na łóżku. Podmuchy czasu ustały. Ich szum nie huczał mi już w uszach, tak jakbym z samolotu przesiadł się do balonu. Kołysałem się jeszcze i leciałem, ale huk motorów zamarł.

— Jak się teraz nazywasz? — spytała Helena.

— Józef Schwarz.

Przez chwilę zastanawiała się nad czymś.

— Czy wobec tego ja też nazywam się teraz Schwarz?

Roześmiałem się.

— Nie, Heleno, to jest tylko takie sobie nazwisko. Człowiek, od którego je otrzy-

małem, również przejął je po kimś. Jakiś nieznan, dawno zmarły Józef Schwarz niby Żyd Wieczny Tułacz przedłużył twoje życie już w trzecim pokoleniu. Jakiś duch obcego zmarłego przodka.

— Nie znasz go?

— Nie.

— Czy czujesz się inaczej, odkąd nosisz inne nazwisko?

— Tak — odpowiedziałem. — Bo z tym wiąże się kilka kartek papieru. Paszport.

— Mimo że fałszywy?

Roześmiałem się. To było pytanie z innego świata. O tym, czy paszport jest fałszywy, czy prawdziwy, rozstrzyga policja, która go sprawdza.

— Można by tu użyć filozoficznej paroli, która pozwoliłaby dociec, czym jest nazwisko. Przypadkiem czy identyfikacją.

— Nazwisko jest nazwiskiem — odpowiedziała Helena z nagłym uporem. — Ja swojego broniłam, bo było twoje. Teraz wróciłeś z jakimś innym, gdzieś znalezionym.

— Otrzymałem je w prezencie — powiedziałem. — Był to dla mnie najcenniejszy prezent świata. Noszę je z radością. Jest ono symbolem dobra, ludzkości. Jeżeli kiedykolwiek opadnie mnie zwątpienie, nazwisko to przypomni mi, że dobro jeszcze nie umarło. A co przypomina ci twoje? Ród pruskich wojaków i myśliwych z nieodłącznym obrazem wilków, lisów i pawi.

— Nie mówiłam o nazwisku mojej rodziny — odpowiedziała Helena kołysząc pantofelkiem zawieszonym na jej stopie. — Dotąd noszę twoje nazwisko. To wcześniejsze, panie Schwarz.

Odkorkowałem drugą butelkę wina.

— Opowiadano mi, że w Indonezji istnieje zwyczaj zmiany nazwisk. Jeżeli dotychczasowa osobowość sprzykrzy się komuś, zmienia ją, przybiera inne nazwisko i rozpoczyna nowe życie. Dobry pomysł!

— Czy ty zacząłeś nowe życie?

— Tak, od dziś — odpowiedziałem. Pantofelek zsunął się na podłogę.

— Czy niczego się nie zabiera z sobą na nowe życie?

— Owszem, echo — odpowiedziałem.

— Żadnego wspomnienia?

— Ono jest właśnie echem. Wspomnienie, które nie boli już i nie zawstydz.

— Tak jakby się oglądało jakiś film? — spytała Helena.

Spojrzałem na nią. Wyglądała, jakby za chwilę chciała cisnąć mi w głowę kieliszek. Zabrałem go i nalałem wina z drugiej butelki.

— Co to jest? — spytałem.

— Schloss Reinhartshausener. Najlepsze wino reńskie. Zupełnie dojrzałe. Nie przezwano mu fermentacji, zachowało więc swój charakter i nie zmieniło piwnic, w których

powstało.

— A więc nie jest emigrantem? — powiedziałem.

— Nie jest kameleonem, który zmienia barwę. Nie jest kimś, kto unika odpowiedzialności.

— Na Boga, Heleno! — zawołałem. — Czyżby przez ciebie przemawiała zaśniedziała mieszczańska przyzwoitość? Nie chciałabyś wybrnąć z tego zastoju?

— Nie próbuj wmawiać we mnie czegoś, o czym nie myślę! — odparła zagniewana. — O czym my rozmawiamy? I po co? W pierwszą noc! Dlaczego nie całujemy się, a może czujemy do siebie nienawiść?

— Całujemy się i nienawidzimy.

— To są tylko słowa! Skąd masz ich tyle? Czy to jest słuszne, że tak siedzimy tu i rozmawiamy?

— Nie wiem, co jest słuszne.

— Skąd masz tak duży zasób słów? Czy tak wiele mówiłeś za granicą? Miałeś tam tak liczne towarzystwo?

— Nie — odpowiedziałem. — Bynajmniej. Właśnie dlatego posypały się one teraz tak gwałtownie, niczym jabłka z koszyka. Jestem tym tak samo zdziwiony jak ty.

— Doprawdy?

— Wierz mi, Heleno — powiedziałem. — To jest prawda. Czy nie domyślasz się, co to znaczy?

— Nie możesz wyrazić tego zwyczajnie? Pokręciłem głową.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ odczuwam obawę przed stwierdzeniami. I obawę przed słowami, które cokolwiek stwierdzają. Możesz temu nie wierzyć, ale tak jest naprawdę. Do tego dochodzi jeszcze obawa przed anonimowym strachem, który włóczy się gdzieś po ulicach, o którym nie myślę i o którym nie chcę mówić, ponieważ tkwi we mnie głupi przesąd, że niebezpieczeństwo tak długo nie istnieje, jak długo nie dopuszczam go do mojej świadomości. Dlatego prowadzimy tę nedorzeczną i dziwną rozmowę. Wydaje się, że dzięki temu czas został wstrzymany jak w filmie, który uległ rozdarciu. Wszystko naraz ustaje, nie może się nic stać.

— Jak na mnie, jest to zbyt skomplikowane — powiedziała Helena.

— Dla mnie również. Czy nie wystarczy, że jestem tu, z tobą, że jeszcze żyjesz i że dotychczas nie zostałem schwytany?

— Czy dlatego przyjechałeś?

Nie odpowiedziałem. Siedziała nie opodal, niby urocza amazonka, naga, z kieliszkiem wina w dłoni, wymagająca, nieustępliwa, podstępna i śmiała; zrozumiałem, że dotychczas nic o niej nie wiedziałem. Zachodziłem w głowę, jak mogła ze mną wytrzymać, aż naszło mnie olśnienie jak kogoś, kto sądził, że posiada piękne jagnię i troszczy

się o nie, jak troszczyć się o piękne jagnię należy, lecz nagle spostrzega, że trzyma młodą pumę, która nie rozumie, co to niebieska wstążka na szyi i miękka szczoteczka, natomiast w każdej chwili gotowa jest poszarpać wyciągniętą ku niej rękę.

Znalazłem się w niebezpiecznej sytuacji. Jak się pan domyśla, zdarzyło się to, co było do przewidzenia pierwszej nocy: zawiodłem, i to w sposób najbardziej prymitywny. Przeczuwałem coś podobnego i nastąpiło to może właśnie dlatego, że się z tym liczyłem. Faktem jest, że okazałem się niezdolny, ale na szczęście, ponieważ byłem na to przygotowany, nie podejmowałem żadnych rozpaczliwych prób, praktykowanych w takich wypadkach. Można oczywiście przekonywać i wyjaśniać, że tylko koniuchom to się nie zdarza, a kobiety mogą udawać zrozumienie i okazywać nieszczęśnikowi fatalne macierzyńskie współczucie — jest to jednak sprawa diabelnie nieprzyjemna i wszelki patos w takim wypadku staje się potwornie śmieszny.

Brak z mojej strony jakiegokolwiek z utartych wyjaśnień wytrącił Helenę z równowagi i skierował na mnie jej atak. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chciałem jej pojąć, i czuła się tym dotknięta. Mógłbym po prostu powiedzieć jej prawdę, ale nie pannałem dostatecznie nad sobą. Istnieją zresztą dwie prawdy — jedna, wymagająca poświęcenia się, i druga strategiczna, przy której niczego się nie poświęca. W ciągu pięciu lat nauczyłem się, że jeżeli ktoś się poświęca, niech się potem nie dziwi, że do niego strzelają.

— Ludzie w mojej sytuacji łatwo stają się przesądni — powiedziałem do Heleny. — Wierzą, że ich szczerze słowa lub czyny wywołują odwrotny skutek. To sprawia, że są ostrożni nawet w słowach.

— Co to za nonsens!

Roześmiałem się.

— Wiarę w rozsądek straciłem już dawno. W przeciwnym wypadku stałbym się zgorzkniały jak dzika cytryna.

— Spodziewam się, że w swoich przesądach nie posuwasz się za daleko?

— O tyle, że gdybym ci powiedział, że kocham cię bezgranicznie i nade wszystko... jestem przekonany, iż w następnej chwili zapukałoby do drzwi gestapo.

Helena na chwilę znieruchomiła jak zwierzątko, które usłyszało w zaroślach coś podejrzanego. Potem z wolna odwróciła się ku mnie. Zdumiałem się, że to na nią tak działało.

— Czy to istotnie jest powodem? — szepnęła.

— Jednym z wielu — odpowiedziałem. — Czy możesz spodziewać się jakiegoś ładunku w moich myślach teraz, kiedy z pełnego rozpaczliwego piekła zostałem przerzucony do najeżonego niebezpieczeństwami raj.

— Nieraz myślałam o tym, jak to będzie, gdy wrócisz — powiedziała po chwili Helena. — Jakże inaczej wygląda to teraz.

Powstrzymałem się, by jej nie zapytać, co jest inaczej. W miłości zawsze się pyta za wiele. I można się z nią pożegnać, jeżeli będziemy chcieli dociec, jak brzmiałyby odpowiedzi zawierające samą tylko prawdę.

— Tak, jest zawsze inaczej — powiedziałem. — Bogu dzięki! Roześmiała się.

— Nigdy nie jest inaczej, Józefie. To tylko wygląda inaczej. Masz jeszcze wino?

Obeszła łóżko dookoła, niby tancerka, postawiła kieliszek obok siebie na podłodze i przeciągnęła się. Była opalona na brąz przez obce mi słońce i beztroska w swej nagości, jak kobieta, która nie tylko wie, że jest pożądana, lecz której również często mówiono o tym.

— Kiedy powinienem stąd odejść? — zapytałem.

— Służąca jutro nie wróci.

— Pojutrze.

Skinęła głową.

— To jest zupełnie normalne. Dzisiaj jest sobota, dałam jej urlop na niedzielę. Przyjdzie w poniedziałek, w południe. Ma kochanka... policjanta z żoną i dwojgiem dzieci. — Spojrzała na mnie spod półprzymkniętych powiek. — Była zachwycona.

Za oknem rozległ się odgłos kroków w marszu i śpiew.

— A to co? — spytałem.

— Żołnierze albo Hitlerjugend. W dzisiejszych Niemczech wciąż maszerują jacyś ludzie.

Podniosłem się i spojrzałem przez szparę w zasłonach. Maszerował oddział Hitlerjugend.

— Dziwne, że stanowisz tak rażący kontrast w porównaniu z resztą rodziny — powiedziałem.

— Widocznie mam coś w sobie z prababki Francuzki — rzekła Helena. — Mieliśmy taką, ale nie mówi się dziś o niej, zupełnie jakby była Żydówką.

Ziewnęła i przeciągnęła się. Stała się nagle tak spokojna, jak gdybyśmy co najmniej od tygodnia żyli razem i nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo. Oboje unikaliśmy pilnie tego tematu. Helena dotąd nie spytała mnie ani słowem, jak mi się powodziło na wygnaniu. Nie domyślałem się wówczas, że dawno już mnie przejrzała i podjęła decyzję.

— Czy już nie zaśniesz? — spytała.

Była pierwsza w nocy. Położyłem się.

— Czy można by nie gasić światła? — spytałem.

— Lepiej śpię wówczas. Jeszcze nie przywykłem do niemieckich ciemności.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie.

— Zostaw, kochanie, niech się pali, skoro tak chcesz.

Leżeliśmy przytuleni do siebie. Z trudem tylko mogłem sobie uprzytomnić, że daw-

niej spaliśmy zawsze razem. Z mroków przeszłości zaczęły się wyłaniać wyblakłe cienie, wspomnienia bez barw. Helena znów była przy mnie, lecz całkiem inna, w jakiś obcy, dziwny sposób bliska; rozpoznawałem w niej tylko to, co było anonimowe — oddech, zapach włosów, a przede wszystkim zapach skóry, którego brak mi było tak długo; jeszcze nie czułem go w pełni jak dawniej, lecz istniał przecież, i już bardziej rozumny niż rozum. Otucha, jakiej dodaje ciało ukochanego człowieka! O ileż jest ono mądrzejsze i bardziej wymowne niż usta pełne kłamstwa! Długo nie mogłem zasnąć tej nocy. Patrzyłem na światło i na wpół oświetlony pokój, który znałem i którego jednocześnie nie znałem. Nie zadawałem sobie więcej żadnych pytań. Helena przebudziła się jeszcze raz.

— Czy dużo miałeś kobiet we Francji? — szepnęła nie otwierając oczu.

— Nie więcej, niż to było konieczne — odpowiedziałem — i żadnej tak jak ciebie.

Westchnęła i chciała się odwrócić, jednak sen owładnął nią, zanim zdążyła to uczynić. Pogrążyła się w nim znowu. Z wolna ogarnął również i mnie. Sny pierzchły, ogarnęła mnie cisza i oddech Heleny, a nad ranem obudziłem się. Nic już między nami nie było, co mogłoby nas dzielić. Wziąłem ją chętną i znów zapadliśmy w sen jak w chmurę rozjaśnioną blaskiem.



## 6.

Rano zatelefonowałem do hotelu w Münster, w którym zostawiłem walizkę. Oświadczyłem, że mój pobyt w Osnabrück przedłużył się i powrócę dopiero w nocy, proszę więc o zatrzymanie dla mnie pokoju. Zrobiłem to przez ostrożność. Nie mogłem dopuścić, by z powodu niezafatwienia tej sprawy zainteresowano moją osobą policję. Czyjś obojętny głos odpowiedział, że wszystko w porządku. Zapytałem także, czy nie było do mnie listów. Nie, nie było.

Zawiesiłem słuchawkę. Helena stała za mną.

— Listy? — zdziwiła się. — Od kogo spodziewasz się listów?

— Od nikogo. Ot tak sobie zapytałem, dla zachowania pozorów. O gościach, którzy czekają na korespondencję, nie wydaje się zbyt prędko opinii, że są oszustami.

— Alboż nim jesteś?

— Niestety, wbrew mojej woli. Jednak nie bez pewnej satysfakcji.

Helena roześmiała się.

— Czy chcesz dziś wieczorem wracać do Münster? — spytała.

— Nie mogę tu przecież dłużej zostać. Twoja służąca jutro wraca. Pozostawanie w mieście jest zbyt ryzykowne. Wąsy nie odmieniły mnie do tego stopnia, by nikt mnie nie poznał.

— Czy nie mógłbyś zamieszkać u Martensa?

— Proponował, bym spał w gabinecie, ale we dnie nie mógłbym z niego korzystać. Będzie lepiej, jeżeli pojedę do Münster, Heleno. Tam nie poznają mnie na ulicy tak łatwo jak tutaj. A poza tym jest to tylko godzina drogi stąd.

— Jak długo chcesz zatrzymać się w Münster?

— To się okaże, gdy znajdę się tam. Z biegiem czasu rozwija się w człowieku coś w rodzaju szóstego zmysłu, który ostrzega przed niebezpieczeństwem.

— Czy sądzisz, że tutaj coś ci grozi?

— Tak. Od dzisiejszego ranka. Wczoraj nie miałem tego uczucia.

Patrzyła na mnie ze ściągniętymi brwiami.

— Nigdzie nie wolno ci wychodzić — powiedziała.

— Nigdzie, przed zmrokiem, a potem, tylko żeby dojść do dworca.

Helena nic nie odpowiedziała.

— Wszystko się jakoś ułoży — rzekłem. — Nie myśl o tym. Nauczyłem się żyć z godziny na godzinę, nie zapominając jednocześnie o następnym dniu.

— Doprawdy? — spytała. — To bardzo praktyczne. — Mówiła znowu lekko podrażnionym tonem jak wczoraj wieczorem.

— Nie tylko praktyczne, lecz również i konieczne — odpowiedziałem. — Mimo to czasem coś zapomnę. Powinienem był zabrać z Münster aparat do golenia. Wieczorem będę wyglądał jak włóczęga. Vademecum emigranta poucza, że należy się tego wystrzeżać.

— Aparat do golenia znajdziesz w łazience — powiedziała Helena. — Ten sam, który pozostawiłeś odchodząc przed pięciu laty. Tam jest także twoja bielizna i ubranie, wiszą na lewo w szafie.

Powiedziała to tak, jak gdybym przed pięciu laty odszedł od niej z inną kobietą, a teraz wrócił tylko po to, by zabrać swoje rzeczy i wynieść się znowu. Nie próbowałem tego prostować, do niczego by to nie doprowadziło. Spojrzała tylko na mnie zdziwiona i oświadczyła, że nic podobnego nie miała na myśli, skoro jednak ja tak myślę, no to... i wplątałbym się w pozbawione sensu usprawiedliwianie. Zadziwiające, jakich krętych dróg musimy się niekiedy imać, by nie zdradzić swych uczuć!

Poszedłem do łazienki. Widok moich starych ubrań nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, tyle tylko, że mogłem stwierdzić, jak przez ten czas schudłem. Ucieszyłem się natomiast z bielizny i postanowiłem zabrać ze sobą tyle, ile się da. Nie odczuwałem przy tym żadnych sentymentalnych wzruszeń. Decyzja powzięta przed trzema laty, żeby nie uważać wygnania za nieszczęście, tylko za swego rodzaju zimną wojnę, konieczną dla mego rozwoju, przyniosła więc, przynajmniej tu i ówdzie, owoce.

Dzień upływał powoli i w dość zmiennym nastroju. Konieczność odjazdu rozstroiła nas oboje; jednakże Helena przeżywała rozstanie boleśniej niż ja. Odczuwała to prawie jak osobistą obrazę. Mnie życie bardziej uodporniło dzięki memu doświadczeniu, zwłaszcza odkąd opuściłem Francję. Dla Heleny moje odwiedziny jeszcze się na dobre nie rozpoczęły, a już trzeba się było pożegnać. Dla jej zranionej dumy nie znalazło się jeszcze dość czasu, by nastąpiło pojednanie, gdy już powstała taka sama sytuacja. Do tego doszła jeszcze reakcja na przeżycia poprzedniego wieczoru. Przepęlną nas fala uczucia odpłynęła, a stare, zapomniane urazy z większą niż dotychczas siłą znowu dały znać o sobie. Staliśmy się względem siebie nieufni i jak gdyby obcy. Chętnie pozostałbym przez godzinę sam ze swoimi myślami. Gdy jednak pomyślałem, że stanowiłoby to nie jedną godzinę, lecz dwunastą część czasu, który mogę jeszcze spędzić z Heleną, wydawało mi się to nie do pomyślenia. Dawniej, gdy panował spokój, stawiałem sobie niekiedy pytanie, co bym uczynił, gdybym wiedział, że mam przed sobą tylko

jeden miesiąc życia. Nigdy nie doszedłem do wyraźnej konkluzji. Wszystko, co zamierzałem zdziałać, znajdowało się w jaskrawej sprzeczności z tym, czego w żadnym wypadku uczynić nie mogłem. I tak działo się teraz. Zamiast w całej pełni korzystać z dnia i wszystkimi zmysłami chłonać Helenę, krążyłem po mieszkaniu płonąć z pragnienia, aby to uczynić, a mimo to zachowywałem się tak ostrożnie, jak gdybym był ze szkła. Nie inaczej, jak mi się zdawało, przeżywała to Helena. Cierpieliśmy, a jednocześnie byliśmy jacyś sztywni i szorstcy i dopiero gdy nastał zmierzch, strach, że znowu stracimy się z oczu, spowodował, żeśmy się nagle zrozumieli.

O siódmej ktoś zadzwonił do drzwi. Przeraziłem się. Dzwonek oznaczał dla mnie policję.

— Kto to może być? — wyszeptałem.

— Bądźmy cicho i zaczekajmy — powiedziała Helena. — To chyba ktoś ze znajomych. Pójdzie sobie, jeśli nie otworzę. Dzwonienie powtórzyło się. Potem ktoś energicznie zapukał do drzwi.

— Przejdź do pokoju sypialnego — szepnęła Helena.

— Kto to jest?

— Nie mam pojęcia. Idź do sypialni. Postaram się szybko go spławić. Lepiej to, niż żeby sąsiedzi zwrócili uwagę.

Popchnęła mnie lekko naprzód. Rozejrzałem się pośpiesznie dookoła, czy nie zostawiłem czegoś, i poszedłem do pokoju sypialnego.

— Kto tam? — usłyszałem pytanie Heleny, a potem jakiś głos męski. — To ty? — Znów zapytała Helena. — Co się stało?

Przymknąłem drzwi szczelniej. Mieszkanie posiadało drugie wyjście przez kuchnię, do którego jednak nie mogłem się teraz w żaden sposób dostać. Pozostawała tylko jedna możliwość: ukryć się w dużej, wbudowanej w ścianę szafie z rzeczami Heleny. Właściwie była to spora nisza w murze z zamykającymi ją drzwiami. Miałbym tam dość powietrza.

Usłyszałem, jak mężczyzna i Helena weszli do mieszkania. I wówczas poznałem go po głosie. Był to jej brat Georg — człowiek, który wtrącił mnie do obozu koncentracyjnego.

Spojrzałem na toaletkę Heleny. Jedyną rzeczą, która w razie potrzeby mogła mi służyć jako broń, był nóż do rozcinania papieru o rękojeści z nefrytu; niczego innego nie zauważyłem. Nie namyślając się wetknąłem nóż do kieszeni i wszedłem z powrotem do szafy. Było oczywiste, że jeżeli Georg mnie znajdzie, będę się musiał bronić, a nawet, nie widząc innego wyjścia, zabić go i próbować ucieczki.

— Telefon? — usłyszałem głos Heleny. — Nie słyszałam. Zasnęłam. Co się stało?

Zdarzają się chwile, kiedy znajdując się w poważnym niebezpieczeństwie doznajemy uczucia tak wielkiego napięcia, że, zdawałoby się, wystarczy drobnej iskierki, byśmy się

zamienili w płonąca żagiew. Człowiek staje się wprost jasnowidzem — tak błyskawicznie i sprawnie przebiega w nas proces myślenia. Wyczułem, zanim usłyszałem rozmowę Heleny z bratem, że nie wie o mojej obecności.

— Dzwoniłem kilka razy — powiedział Georg. — Nikt się nie odzywał. Nawet służąca. Myśleliśmy, że się coś stało. Dlaczego nie otwierałaś?

— Spałam — odrzekła spokojnie Helena. — Dlatego wyłączyłam telefon. Boli mnie głowa i jakoś nie chce mi to przejść. Obudziłeś mnie.

— Boli cię głowa?

— Tak. W tej chwili nawet bardziej niż przedtem. Zażyłam dwie tabletki, jestem śpiąca.

— Tabletki nasenne?

— Tabletki przeciw bólowi głowy. Zostaw mnie, Georg. Chcę położyć się, zasnąć.

— Tabletki to głupstwo — tłumaczył Georg. — Ubierz się lepiej i chodź na spacer. Cudowna pogoda. Świeże powietrze jest lepsze niż tabletki.

— Już je zażyłam i muszę się wyspać. Nie mam ochoty wałęsać się.

Rozmowa toczyła się jakiś czas dalej. Georg chciał koniecznie wstąpić później po Helenę, lecz ona opierała się. Chciała się położyć. Pytał, czy ma jeszcze dosyć zapasów żywności. Odpowiedziała, że owszem, na razie ma dosyć. Zainteresowała go nieobecność dziewczyny. Wyjaśniła, że zwolniła ją na popołudnie. Wieczorem wróci, by przyrządzić kolację.

— A zatem wszystko w porządku? — zapytał Georg.

— Oczywiście, dlaczego nie ma być w porządku?

— Tak tylko myślałem! Czasem przychodzą takie nonsensowne myśli. Ostatecznie...

— Co ostatecznie? — spytała ostro Helena.

— No, to dawniejsze...

— Co dawniejsze?

— Masz rację — powiedział Georg. — Po co o tym mówić? Skoro wszystko w porządku, nie ma o czym mówić. Ostatecznie jestem twoim bratem, mogę więc chyba zapytać...

— N...no tak.

— Co?

— Jesteś moim bratem.

— Chciałbym, żebyś uświadomiła to sobie lepiej. Pragnę twojego dobra!

— Ależ tak, tak — powiedziała niecierpliwie Helena. — Nieraz mi już o tym mówiłeś.

— Co więc dzieje się z tobą dzisiaj? Przecież byłeś już jakiś czas inna...

— Tak?

— Rozsądna, chciałem powiedzieć. Gdyby dawne głupstwa miały cię znowu nawie-

dzić...

— Nic mnie nie nawiedza. Po prostu boli mnie głowa, to wszystko! I nie znoszę, gdy mnie ktoś chce kontrolować.

— Nikt nie ma zamiaru cię kontrolować! Jest to z mojej strony tylko przejaw troski o ciebie.

— To się nie troszcz. Nic mi nie brakuje.

— Stale to samo twierdzisz. Wówczas...

— Przestańmy mówić o tym, co było — powiedziała szorstko Helena.

— Ależ tak, naturalnie! Przecież nic nie powiedziałem. Czy chodzisz do lekarza?

— Tak — odpowiedziała Helena po chwili.

— I co mówił?

— Nic.

— Jak to nic, musiał przecież coś powiedzieć?

— Owszem, powiedział, że potrzebny mi jest wypoczynek — odrzekła Helena z rozdrażnieniem. — Powinnam spać, kiedy jestem znużona i mam bóle głowy, i nie sprzeczać się, i nie pytać nikogo o pozwolenie, choćby to nie odpowiadało moim obowiązkom przyjaciółki ludu i obywatelki przesławnej tysięcy lat liczącej Rzeszy Niemieckiej.

— On ci to powiedział?

— Nie, tego mi nie powiedział — zaprzeczyła żywo i głośno Helena. — To już dodałam od siebie! Powiedział mi tylko, żebym się niepotrzebnie nie denerwowała! Nie popełnił więc żadnego przestępstwa i nie ma powodu wysłać go do obozu koncentracyjnego. Jest szczerym zwolennikiem reżimu. Czy to nie dosyć? Georg zamruczał coś. Wydawało mi się, że zabiera się do odejścia. Nauczony jednak doświadczeniem, że w takim momencie właśnie może zdarzyć się coś nieprzewidzianego, dociągnąłem drzwi od szafy tak, że została zaledwie wąziutka szparka. Za chwilę usłyszałem, że wchodzi do sypialni. Przez szparę widziałem poruszający się jego cień.

— Georg wszedł do łazienki. Zdawało mi się, że weszła tu również Helena, nie mogłem jej jednak widzieć. Zamknąłem bowiem drzwi zupełnie i znalazłem się w ciemnościach. Stałem wśród sukien Heleny, trzymając przyciśnięty do boku nóż do rozcinaania papieru.

Wiedziałem, że Georg nic nie wie o mnie i że prawdopodobnie z łazienki wróci do pokoju i pożegna się z Heleną. Mimo to wciąż jeszcze czułem, że ściska mnie coś za gardło, a jednocześnie pot ciurkiem spływa spod pach po całym ciele. Inny jest strach przed nieznanym, inny przed czymś, co się zna. Jeżeli powód strachu jest nieznanym, może się wydawać groźny, lęk ten da się opanować przy pomocy wewnętrznej dyscypliny bądź też innych trików. Natomiast jeżeli przyczyna jest znana i wiadomo, co nam grozi, wówczas niewiele zdziała się dyscypliną czy innym psychologicznym salto mortale. Pierwszy strach przeżywałem przed wtrąceniem mnie do obozu, drugi — teraz,

kiedy już z góry wiedziałem, co mnie czeka, jeżeli zostanę ponownie zamknięty w obozie. Czekają mnie tortury lub jeżeli dopisałoby mi szczęście, gwałtowna śmierć.

Dziwne, że w ciągu całego czasu od przekroczenia granicy nigdy nie próbowałem zdać sobie z tego sprawy i w ogóle nie chciałem się nad tym zastanawiać. Wpływałyoby to na mnie hamująco, a właśnie tkwiło we mnie coś takiego, co się temu sprzeciwiało. Ponadto pamięć odtwarza przeszłość w sposób fałszywy, by umożliwić nam przetrwanie. Próbuje przesłonić okropność życia patyną zapomnienia.

— Czy pan to zna? — zwrócił się do mnie Schwarz.

— Tak, znam to — odpowiedziałem. — Ale to nie jest zapomnienie. Jest to raczej stan półsnu. Wystarczy jakiś bodziec, by wszystko ożyło na nowo.

Schwarz skinął twierdząco głową.

— Stałem więc w ciemnym, przesyconym perfumami kącie wnęki, wśród sukien oplatających mnie niby skrzydła olbrzymich nietoperzy, bez ruchu, i starałem się oddychać tak, by nie spowodować szelestu jedwabiu lub co gorsze nie zakasać lub nie kichnąć. Wówczas to po raz pierwszy uświadomiłem sobie w całej pełni, co uczyniłem. Strach unosił się z podłogi niby trujący gaz — ogarnął mnie lęk, że się uduszę. W obozie nie przeżywałem rzeczy najokrutniejszych. Byłem traktowany zwyczajnie, jak wszyscy, brutalnie, ale mnie wypuszczono, i może to właśnie przyczyniło się, że moje wspomnienia zostały zmaćcone. Teraz stanęło to znów przede mną, co widziałem i słyszałem, co inni przeżyli i na co miałem dowody. Nie mogłem zrozumieć szaleństwa i bezmyślności mego kroku, tego, że opuściłem kraje, gdzie za fakt istnienia karano mnie tylko więzieniem i wygnaniem. Obecnie wydawało mi się, że są to istne przystanki humanitaryzmu.

Słyszałem krzątanie Georga w łazience. Ściana była cienka, a Georg — jak przystało na członka rasy panów — nie zachowywał się spokojnie. Odrzucił z trzaskiem pokrywę muszli i załatwił swoją potrzebę. To, że musiałem słyszeć jego siusianie, wydało mi się potem szczytem poniżenia, jakkolwiek to właśnie wskazywało, że czuł się swobodnie i niczego nie podejrzewał. Przypomniały mi się wypadki kradzieży i rabunku, kiedy złodzieje, zanim uciekli, zanieczyszczali mieszkanie. Robili to częściowo na urągowisko, częściowo ze wstydu, gdyż fakt ten był objawem strachu, jaki przeżyli.

Usłyszałem szum spuszczonej wody i w chwilę potem Georg wyprężony i pewny siebie opuścił łazienkę i przemaszerował przez sypialnię. Wkrótce do uszu moich doszedł odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Ktoś szarpnął drzwiami od szafy i na tle wpadającego światła zobaczyłem ciemną sylwetkę Heleny.

— Już poszedł — szepnęła. Po wydostaniu się z szafy czułem się tak zażenowany, jak niegdyś — jeżeli można posłużyć się zbyt odległym porównaniem — Achilles przyłapanym w szatach niewieścich. Przejście od strachu do śmieszności, i zakłopotania było tak nagłe, że wszystkie te uczucia zlały się ze sobą i wystąpiły jednocześnie. Byłem przy-

zwyczajony do szybkich zmian nastrojów; nie jest jednak wszystko jedno, czy nagłe schwytnie za gardło ma oznaczać banicję czy śmierć.

— Musisz uciekać — powiedziała Helena.

Spojrzałem na nią. Nie wiem dlaczego, ale spodziewałem się, że dojrzę w jej twarzy coś w rodzaju pogardy. Musiało się to łączyć z tym, że ja sam w chwilę po przeżytych strachu poczułem się poniżony w mej męskiej godności. Było to coś, czego nie odczuwałbym wobec żadnej innej istoty poza Heleną.

Nic prócz szczerego lęku nie wyczytałem z jej twarzy.

— Musisz uciekać — powtórzyła. — To było szaleństwo, żeś się odważył tu przyjechać.

To samo myślałem przed chwilą. Teraz jednak zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Jeszcze nie teraz — powiedziałem. — Za godzinę. Może się kręcić jeszcze gdzieś w pobliżu na ulicy. Nie przypuszczasz, że mógłby wrócić?

— Nie sędzę. Niczego nie podejrzewał.

Helena weszła do pokoju bawialnego i przekręciła kontakt, po czym rozsunawszy zasłony zaczęła obserwować ulicę. Przez uchylone drzwi sypialni światło w kształcie złotego rombu padało na podłogę. Helena stała poza nim, pochylona i czujna, jak gdyby podpatrywała dzikie zwierzę.

— Nie możesz iść na dworzec — wyszeptwała. — Mogą cię poznać. Musisz uciekać! Wezmę wóz od Eli i odwozę cię do Münster. Jacy niemądry byliśmy obydwój! Nie możesz tu dłużej zostać!

Widziałem, jak stała przy oknie, oddalona ode mnie zaledwie o szerokość pokoju, ale przecież już daleka, i szarpnął mną ostry ból. Zdawało się, że Helena dopiero teraz po raz pierwszy uprzytomniła sobie, że musimy się znowu rozstać.

W obliczu grożącego mi niebezpieczeństwa, oglądanego z bliska, znikły wszystkie nękające nas w ciągu dnia zastrzeżenia i urazy. Helena wydała mi się nagle uosobieniem lęku i miłości, a jednocześnie rozstania i niepowetowanej straty. Uświadomiłem to sobie, podobnie jak ona, ostro, bezlitośnie, i tym razem bez jakichkolwiek zawoalowań i ostrożności. Nieznośna ta świadomość w jakiś szczególny sposób przerodziła się naraz w niepohamowane pożądanie. Pragnąłem jej, pragnąłem trzymać ją w ramionach, rzuciłem się ku niej, chciałem ją mieć jeszcze raz, całą, już zrezygnowany, liczący się z jej utratą, wówczas gdy ona zastanawiała się jeszcze nad planami, nie traciła nadziei, nie kapitulowała.

— Nie, nie teraz! — szeptała broniąc się. — Muszę zadzwonić do Eli! Nie teraz! Musimy przecież...

„Nic nie musimy — pomyślałem. — Mam przed sobą jeszcze godzinę, a potem niech się zawali świat.” Dlaczego nie odczuwałem tego tak mocno wcześniej? A jeżeli odczuwałem, to dlaczego w takim razie nie zbiłem szklanej ściany wzniesionej między mną

a moim uczuciem? Jeżeli mój powrót był pozbawiony sensu, tamto jeszcze bardziej nie miało sensu! Powinienem coś otrzymać od Heleny i zabrać w beznadziejną pustkę, do której — jeżeli dopisze mi szczęście — znów powrócę. Otrzymać coś więcej aniżeli wspomnienie nurtujących nas wątpliwości, wzajemnych nieudomówień i ostatniego zespolenia między jednym a drugim snem. Chciałem mieć Helenę bez reszty, z jej wszystkimi zmysłami, jej czołem, oczami, jej myślami, całą, nie tylko jak zwierzę między nocą a świtem.

Helena broniła się. Szeptala, że Georg może wrócić — nie wiem, czy rzeczywiście tak przypuszczała. Zbyt często bywałem w opałach, by nie zapominać o nich natychmiast, gdy tylko się z nich wydostałem. Teraz, w tym pokoju pachnącym jej perfumami, z jej sukniami, łóżkiem i mrokiem, pragnąłem tylko jednego: posiadać ją całym sobą i wszystkim, na co mnie było stać, a jedyne, co odczuwałem dotkliwie i co sprawiało mi udrękę, była niezdolność jeszcze pełniejszego jej posiadania.

Chciałbym ogarnąć ją sobą jak płaszczem, mieć tysiące rąk i ust, być ukształtowany niby najdoskonalsza jej forma, by przylgnąć do niej szczelnie, przywrzeć ciałem do ciała i mimo to doznawać bólu, że byłoby to ciało obok ciała, lecz nie krew we krwi — zwarcie, lecz nie przeniknięcie się.



## 7.

Słuchałem Schwarza, nie przerywając mu. Zwracał się wprawdzie do mnie, lecz wiedziałem, że byłem dla niego tylko ścianą, od której czasem odbijało się echo. Sam też tak to traktowałem — w przeciwnym razie nie mógłbym go słuchać bez zażenowania. Byłem przekonany, że i on nie mógłby snuć swego opowiadania, gdyby było inaczej. Pragnął raz jeszcze ożywić przeszłość, zanim będzie musiał pogrzebać to wszystko w niezmiernym piasku wspomnień. Byłem obcym człowiekiem, który tej nocy znalazł się na jego drodze i przed którym nie potrzebował czuć się skrępowany.

Otulony w anonimowy płaszcz dalekiego zmarłego o nazwisku Schwarz, spotkał mnie, a kiedy płaszcz tego się pozbędzie, pozbędzie się także swojej osobowości i zniknie w bezimiennym tłumie, zdążającym ku czarnym wrotom na krańcowej granicy, gdzie nie potrzeba żadnych dokumentów i skąd nie ma wygnania ani powrotu.

Kelner poinformował nas, że prócz angielskiego dyplomaty znajduje się na sali także dyplomata niemiecki. Wskazał go nam. Przedstawiciel Hitlera siedział o pięć stolików przed nami z trojgiem innych gości, wśród nich dwie okazałe, hoże niewiasty w niebieskich jedwabnych sukniach o kłócących się ze sobą odcieniach. Pan, którego pokazał nam kelner, odwrócił się do nas tyłem, co przyjąłem z uczuciem ulgi.

— Przypuszczałem, że zainteresuje to panów — powiedział kelner. — Wszak panowie rozmawiają również po niemiecku.

Mimo woli zamieniliśmy ze Schwarzem spojrzenie charakterystyczne dla emigrantów — szybkie uniesienie powiek na twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu. Zdawało się, że nic nie jest nam bardziej obojętne. Spojrzenie emigrantów jest całkiem inne niż spojrzenie Niemców żyjących pod władzą Hitlera: rozglądają się przezornie na wszystkie strony, by szepnąć coś sobie potem na ucho. Jedno i drugie jest charakterystyczne dla kultury naszego stulecia, podobnie jak przymusowa wędrówka ludów, poczynając od niezliczonych pojedynczych panów Schwarzów w Niemczech aż do przesunięć całych rejonów. Za sto lat, kiedy przebrzmi już krzyk rozpacz, jakiś dociekliwy historyk uświetni to wszystko jako fakty niezbędne dla kultury, użyźniające i postępowe.

Schwarz spojrzał obojętnie na kelnera.

— Wiemy, kto to jest — powiedział. — Proszę nam przynieść jeszcze trochę wina.

— Helena udała się do przyjaciółki po samochód — podjął spokojnie swoją opowieść Schwarz.

— Ja zostałem w mieszkaniu i czekałem na jej powrót. Przez otwarte okna napływało do wnętrza orzeźwiające powietrze wieczoru. Wszystkie światła zgasilem, by nikt nie mógł dojrzeć, że jestem w mieszkaniu. Gdyby ktoś zadzwonił, po prostu nie otworzyłbym. W przypadku, gdyby to był Georg, w ostateczności uciekłbym przez drzwi kuchenne.

Przez pół godziny siedziałem przy oknie i słuchałem ulicznego gwaru. W pewnej chwili zaczęło narastać we mnie uczucie niepowetowanej straty. Nie było to nawet bolesne. Podobne raczej do zmierzchu posuwającego się wciąż dalej i dalej i ogarniającego swym cieniem wszystko aż po linię horyzontu. Na szalach widmowej wagi balansowały naprzeciw siebie zagubione: przeszłość i przyszłość, a w środku stała Helena, uginając się pod ciężarem wagi, także już zagubiona. Zdawało mi się, że znalazłem się w punkcie szczytowym mego życia, a mój następny krok przechyli szalę przyszłości, która odtąd zacznie powoli i stale opadać, napełniana bez przerwy koszmarem, i nigdy już nie wróci do równowagi.

Warkot nadjeżdżającego samochodu obudził mnie i przywołał do rzeczywistości. W świetle ulicznej latarni zobaczyłem Helenę wysiadającą z wozu i znikającą po chwili w wejściu na klatkę schodową. Ruszyłem przez ciemne, martwe mieszkanie do drzwi, w których usłyszałem zgrzyt przekręcanego klucza. Weszła Helena i zapaliła światło.

— Możemy jechać — powiedziała.

— Czy koniecznie musisz wracać do Münster?

— Zostawiłem tam walizkę, a poza tym jestem zameldowany pod nazwiskiem Schwarz. Dokąd zresztą miałbym iść?

— Zapłać za hotel i zamieszkaj gdzie indziej.

— Gdzie?

— Tak, gdzie? — Helena zastanawiała się. — W Münster — powiedziała wreszcie.

— Masz słusność. Rzeczywiście, gdzie? To jest najbliżej.

Zapakowałem do walizki trochę rzeczy, które mogły mi się przydać. Postanowiliśmy, że nie wsiądę do samochodu przed domem, lecz nieco dalej, na placu Hitlera. Walizkę zabierze Helena ze sobą.

Niepostrzeżony wyszedłem na ulicę. W twarz powiał mi ciepły wieczorny wiatr. Chłonałem w siebie unoszący się w ciemnościach zapach młodego listowia. Wkrótce po moim przybyciu na plac nadjechała Helena.

— Wsiadaj! — szepnęła. — Szybko!

Był to zamknięty kabriolet. Na twarz Heleny padał blask przyrządów umieszczonych na desce rozdzielczej. Jej oczy błyszczały.

— Muszę jechać bardzo ostrożnie — powiedziała. — Jakiś wypadek, policja... tego by nam tylko brakowało!

Nie odpowiedziałem. Takiego tematu lepiej na ulicy nie poruszać. Po co wywoływać wilka z lasu. Helena roześmiała się i ruszyła wzdłuż wałów. Przejawiała gorączkową niemal energię, jakby to wszystko było tylko przygodą. Przy omijaniu lub wyprzedzaniu innych samochodów mówiła coś do siebie i do wozu. W chwilach gdy zatrzymywał ją policjant i musiała czekać na skrzyżowaniach, szeptała gorące zaklęcia. Kiedy przeszkodziło jej czerwone światło, popędzała je słowami: „Nuże! Szybciej! Stań się zielone!”

Co do mnie, nie wiedziałem, jak na to reagować. Dla mnie były to nasze ostatnie chwile. Nie domyślałem się, że ona również mogła coś postanowić.

Gdy pozostawiliśmy miasto za sobą, Helena stała się spokojniejsza.

— Kiedy chcesz wyjechać z Münster? — spytała.

Nie zastanawiałem się nad tym, gdyż nie miało to żadnego celu. Wiedziałem, że nie wolno mi zatrzymywać się tu dłużej. Los tylko raz pozwala korzystać z lekkomyślnej swobody, potem ostrzega i karze. Należy wyczuć odpowiednią chwilę. Czułem, że taka chwila nadeszła.

— Jutro — odpowiedziałem.

Przez moment milczała.

— Jak chcesz to zrobić?

Przemyślałem to wówczas, gdy siedziałem sam w ciemnym mieszkaniu. Projekt zabrania się pociągiem i normalnego legitymowania na granicy posiadany paszportem wydał mi się zbyt ryzykowny. Urzędnicy celni mogliby zażądać ode mnie dalszych papierów, zezwolenia na wyjazd, zaświadczenia o uiszczeniu odpowiednich opłat, odpowiednich adnotacji w paszporcie — wszystkiego tego nie miałem.

— Wrócę tą samą drogą — powiedziałem. — Przez Austrię. Nocą przez Ren do Szwajcarii. — Odwróciłem się do Heleny. — Przestańmy o tym mówić — poprosiłem. — W każdym razie jak najmniej.

Skinęła głową.

— Zabrałam ze sobą pieniądze — powiedziała. — Będą ci potrzebne. Jeśli masz zamiar nielegalnie przekroczyć granicę, możesz je wziąć z sobą. I czy zdołasz je wymienić w Szwajcarii?

— Tak, oczywiście. Ale czy ty sama ich nie potrzebujesz?

— Ja nie będę mogła tyle zabrać. Przecież na granicy muszę przejść przez kontrolę. Można mieć przy sobie tylko kilka marek.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Co też ona wygaduje? Musiała się przejęzyczyć.

— Ile masz tego? — spytałem.

Helena zerknęła na mnie.

— Nie tak mało, jak może ci się zdawać. Gromadziłam je od dłuższego czasu. Zobacz,

są tam. — Wskazała na niewielką skórzaną torebkę. — Przeważnie stumarkowe banknoty. Jest również paczka dwudziestek na wypadki w Niemczech, żebyś nie potrzebował wymieniać większego banknotu. Nie licz. Weź wszystko. To są zresztą twoje pieniądze, Józefie.

— Czy partia nie zasekwestrowała mego konta?

— Tak, ale trochę za późno. Zdążyłam podjąć gotówkę, zanim to nastąpiło. Znalazł się ktoś w banku, kto mi dopomógł. Przechowywałam to dla ciebie i zamierzałam nawet przekazać za granicę, ale nigdy nie wiedziałam, gdzie jesteś.

— Nie pisałem, gdyż byłem przekonany, że jesteś pod obserwacją. Nie chciałem, by cię też zamknięto w obozie.

— Nie tylko z tego powodu.

— Nie, nie tylko dlatego.

Przejeżdżaliśmy przez jakąś wieś: białe westfalskie domki o dachach krytych słomą i czarnym belkowaniu. Tu i ówdzie paradowali w mundurach młodzi ludzie. W jakiejś knajpie śpiewano „Horst Wessel Lied”.

— Szykuje się wojna — zauważyła nagle Helena. — Czy dlatego przyjechałeś, Józefie?

— Skąd wiesz, że szykuje się wojna?

— Georg mi powiedział. Czy dlatego przyjechałeś?

Nie wiedziałem, dlaczego i to jeszcze chciała wiedzieć. Czyż nie widziała, że uciekam znów z powrotem?

— Tak — odrzekłem. — To był jeden z powodów, Heleno.

— Czy chciałeś mnie ze sobą zabrać?

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem.

— Ależ na Boga, Heleno — odezwałem się wreszcie. — O czym ty mówisz? Czy masz pojęcie, jak to wygląda? To nie jest taka sobie przygoda, a w wypadku wojny jest to w ogóle nie do pomyślenia. Zamkną wówczas wszystkich Niemców.

Musieliśmy zatrzymać się przy przejeździe kolejowym. Przed domkiem dróżnika w ogródku kwitły dale i róże. Wiatr brzdąkał na prętach szlabanu, jak na harfie. Obok nas zatrzymało się kilka innych samochodów. W pierwszym niewielkim oplu siedzieli czterej otyli poważni panowie, w następnym dwuosobowym i otwartym — jakaś starsza pani. Wreszcie przysunął się bezgłośnie i zatrzymał tuż obok nas wielki niby karawan, czarny mercedes. Przy kierownicy siedział szofer w czarnym uniformie SS, a w głębi dwaj oficerowie, również SS, o bardzo bladych twarzach. Samochód stanął tak blisko, że mogłem dosięgnąć go ręką.

Dość długo czekaliśmy do nadejścia pociągu. Helena siedziała obok mnie milcząca. Mercedes połyskując chromem posunął się jeszcze bardziej do przodu, tak że chłodnicą dotykał niemal szlabanu. Doprawdy robił wrażenie wozu pogrzebowego, w któ-

rym transportowano dwóch nieboszczyków. Mówiliśmy właśnie o wojnie i oto obok nas znalazł się jej symbol: czarne mundury, twarze umarłych, srebrne trupie głowy, czarny wóz i cisza zalatująca nie różami już, lecz gorzkim zapachem nieśmiertelników i zgnilizny.

Pociąg przemknął z hałasem, niby uosobienie życia. Był to pociąg pospieszny z wagonami sypialnymi i rzęście oświetlonym wagonem restauracyjnym ze stolikami nakrytymi białymi obrusami. Gdy tylko szlaban uniósł się w górę, czarny mercedes wyskoczył przed wszystkie inne wozy w ciemność, niby upiorna torpeda rzucająca przed siebie blade światło, w którym przydrożne drzewa robiły wrażenie czarnych szkieleatów.

— Ucieknę razem z tobą — szepnęła Helena.

— Co? Coś powiedziała?

— A dlaczegoż by nie?

Helena zatrzymała samochód. Uderzyła nas niesamowita cisza, dopiero po chwili do uszu naszych zaczęły dobiegać szmery nocy.

— A dlaczegoż by nie? — zapytała podrażniona. — Czy chcesz znowu zostawić mnie samą?

W niebieskawym świetle tablicy rozdzielczej wydawała się tak blada jak twarze SS-manów w samochodzie — i tak jak oni robiła wrażenie napiętnowanej przez śmierć włóczącą się po świecie owej czerwcowej nocy. I nagle uświadomiłem sobie, że najbardziej lękałem się, iż wojna stanie między nami — gdyby do tego doszło, nie odnaleźlibyśmy się już nigdy. Nie można bowiem liczyć, nawet przy największej pewności siebie, na zachowanie tak wielkiego osobistego szczęścia po kataklizmie, który zniszczy wszystko.

— Jeżeli nie przyjechałeś po to, żeby mnie stąd zabrać, to twój przyjazd jest karygodnym przestępstwem! Czy nie rozumiesz tego? — mówiła dygocąc z gniewu.

— Owszem, rozumiem.

— Dlaczego więc uchylasz się?

— Ja się nie uchylam. Ale nie wiesz, co to znaczy.

— A ty wiesz tak dobrze? Po co w takim razie przyjechałeś? Nie kłam! Czy po to, by jeszcze raz się pożegnać?

— Nie.

— A więc po co? Żeby zostać i popełnić samobójstwo?

Pokręciłem głową. Zrozumiałem nagle, że dla Heleny istniała tylko jedna odpowiedź. Odpowiedź, którą była w stanie przyjąć, gdyby nawet nie odpowiadała prawdzie.

— Żeby cię stąd zabrać — powiedziałem. — Czy tego nie widzisz?

Twą jej od razu się zmieniła. Gniew znikł. Rozpromieniła się, wypiękniała.

— Tak — wyszeptała. — Ale chciałam, żebyś sam to powiedział. Czy wciąż jeszcze

nie domyślasz się tego?

Zdobyłem się na odwagę.

— Heleno! Chciałbym ci to powtarzać setki razy i mówię ci to w każdej chwili, a najczęściej wówczas, kiedy twierdzę, że jest to niemożliwe.

— To nie jest niemożliwe, mam paszport.

Na chwilę zaniemówiłem. Był to błysk piorunu wśród posępnych chmur moich rozważań.

— Ty masz paszport? — powtórzyłem. — Zagraniczny paszport?

Helena otworzyła torebkę i wyjęła z niej paszport. A więc nie tylko go posiadała, lecz miała go nawet przy sobie. Oglądałem dokument z takim namaszczeniem, jakby to był co najmniej Święty Graal. Ważny paszport był rzeczywiście czymś takim. Był dowodem i prawem jednocześnie.

— Od kiedy go masz? — spytałem.

— Od dwóch lat. Jest ważny jeszcze trzy lata. Korzystałam z niego trzykrotnie. Raz, kiedy wyjeżdżałam do Austrii, gdy była jeszcze niepodległa, i dwukrotnie do Szwajcarii.

Przewracałem kartki paszportu. W tym stanie rzeczy trzeba było zastanowić się, jak postępować dalej. Książeczka szeleściła w moim ręku. Już nie miałem wątpliwości, że Helena w każdej chwili może opuścić Niemcy. Dotychczas myślałem, że jest to możliwe tylko w wypadku, gdyby chciała iść ze mną przez zieloną granicę — i to właśnie uważałem za niewykonalne.

— Proste, prawda? — powiedziała Helena obserwując reakcję na mojej twarzy.

Skinałem głowę. Czułem się jak skończony idiota.

— Możesz więc wsiąść do pociągu i po prostu odjechać — powiedziałem przyglądając się wciąż trzymanej w ręku książeczce. O tym nie pomyślałem. — Ale nie masz wizy do Francji.

Helena uśmiechnęła się.

— Mogę jechać do Szwajcarii i tam postarać się o dalszą wizę. A do Szwajcarii jest mi niepotrzebna.

— To prawda. — Wciąż jeszcze byłem oszołomiony. — A jak rodzina? — spytałem.

— Czy zgodzi się na twój wyjazd?

— Nie będę jej o to pytać. I nic im nie powiem. Oznajmię, że jadę do Zurychu, do lekarza. Już tak nieraz robiłam.

— Czyżbyś była chora?

— Ależ nie — odpowiedziała Helena. — Robiłam to po to, żeby otrzymać paszport. Chcę po prostu wydostać się stąd. Duszę się tu.

Przypomniało mi się, że Georg chciał wiedzieć, czy była u lekarza.

— Nie jesteś chora? — spytałem po raz drugi.

— Co za nonsens. To tylko moja rodzina utrzymuje, że jestem chora. Wmówiłam im to, żeby mieć spokój. Dlatego mogłam wyjechać. Martens mi pomógł. Nie było to takie łatwe przekonać prawdziwego Niemca, że w Szwajcarii mogą być specjaliści, którzy posiadają większą wiedzę niż uznane autorytety w Berlinie. — Roześmiała się nagle. — Nie doszukuj się dramatu! Tu nie chodzi o śmierć czy życie ani o ucieczkę po kryjomu. Jutro pojedę po prostu na kilka dni do Zurychu, by dać się zbadać, tak jak dawniej. Może więc tam się zobaczymy, jeżeli ty również w tamte strony się wybierasz. Czy tak nie będzie lepiej?

— Tak — odpowiedziałem. — Ale jedźmy dalej. Czuję się wciąż jak ktoś, komu głowę na przemian pogrążano raz w gotującej się, raz w lodowatej wodzie, tak że w końcu nie odczuwa różnicy temperatur. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślałem? Wszystko stało się nagle takie proste, że aż się boję, by z najbliższego lasu nie wyskoczyła nagle brygada SS.

— Wszystko, mój miły, staje się na pozór proste, gdy się wychodzi ze stanu rozpaczony — powiedziała Helena łagodnie. — Tak to się jakoś dziwnie kompensuje! Ale czy zawsze tak jest?

— Mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni więcej nad tym się zastanawiać.

Samochód wydostał się nareszcie z kurzu podmiejskiej drogi na szosę.

— Co do mnie, jestem przygotowana na wszelką ewentualność — powiedziała Helena i uśmiechnęła się. Twarz jej nie zdradzała żadnych oznak rozpaczony.

Poszliśmy razem do hotelu. Zdziwiająco, jak szybko przystosowała się do mojej sytuacji.

— Wejść z tobą do holu — powiedziała. — Mężczyzna w towarzystwie kobiety wydaje się mniej podejrzany.

— Robisz szybkie postępy, Heleno — zauważyłem.

Pokręciła głową.

— Nauczyłam się tego, jeszcze zanim wróciłeś. W latach donosicielstwa. Hasła nacjonalistyczne są jak kamienie, spod których, gdy się je poruszy, wypęłza robactwo. Szermuje się wielkimi słowami, by przesłonić nimi ordynarne chamstwo.

Portier wydał mi klucze. Udałem się do mojego pokoju. Helena została na dole, aby poczekać na mnie.

Moja waliza stała na specjalnym stołku przy drzwiach. Rozejrzałem się po pokoju, który nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był jak wszystkie pokoje, w których zdarzało mi się mieszkać. Próbowałem przypomnieć sobie, jak się tu znalazłem po raz pierwszy. Jednakże wspomnienia rozplywały się jak mgła. Wiedziałem, że tym razem już nie stoję na brzegu i nie przyglądam się z ukrycia przepływającemu strumieniowi, uczepiwszy się deski płynąłem z prądem.

Postawiłem przyniesioną walizkę obok zakupionej poprzednio. Potem zszedłem na dół do Heleny.

— Jak długo możesz tu zostać? — spytałem.

— Muszę jeszcze dziś w nocy oddać wóz.

Patrzyłem na nią. Pragnąłem jej tak bardzo, że przez chwilę nie mogłem mówić. Wzrok mój ślizgał się po brunatnych i zielonych obiciach krzeseł, po kabinie portiera i jasno oświetlonym drewnianym oszalowaniu z mnóstwem przegródek na listy. Wiedziałem, że nie mogę jej zaprowadzić do swego pokoju.

— A więc możemy jeszcze pójść razem na kolację — powiedziałem. — Zachowujmy się tak, jakbyśmy jutro mieli się znowu zobaczyć.

— Jutro nie, ale pojutrze — odpowiedziała Helena.

Pojutrze mogło mieć dla niej określone znaczenie. Dla mnie było to niemal równoznaczne z nigdy — tak jak niepewna szansa wygranej na loterii. Wiele już takich „pojutrze” przeżyłem i wszystkie przynosiły mi co innego, aniżeli się spodziewałem.

— Pojutrze — powiedziałem. — Popojutrze albo dzień później. Zależy, jak wiatr powieje. Nie myślmy dziś o tym.

— O niczym innym nie myślę — odpowiedziała Helena. Weszliśmy do piwnicy katedralnej, do restauracji urządzonej w staroniemieckim stylu. Znaleźliśmy stolik, przy którym mogliśmy być całkiem swobodni. Zamówiłem butelkę wina i zaczęliśmy omawiać, co było do omówienia. Helena już jutro chciała wyjechać do Szwajcarii. Tam czekałaby na mnie. Ja zaś zamierzałem przedostać się tam przez Austrię i Ren, tą samą znaną już mi drogą i jeżeli wszystko dobrze pójdzie, w Zurychu do niej zatelefonować.

— A jeżeli coś się stanie? — spytała Helena.

— Napiszę ze szwajcarskiego więzienia. Czekaj na mnie tydzień. Jeżeli w ciągu tego czasu nie odezwę się, ruszaj z powrotem.

Popatrzyła na mnie. Wiedziała, co mam na myśli. Gdybym trafił do niemieckiego więzienia, nie napisałbym już do niej więcej.

— Czy granica jest bardzo strzeżona? — wyszeptła.

— Nie — odpowiedziałem. — I nie myśl o tym. Jeżeli udało mi się przekraść w tę stronę, dlaczego nie miałyby się udać w drodze powrotnej?

Usiłowaliśmy zbagatelizować nasze rozstanie, ale nie wychodziło to nam. Niby olbrzymi, czarny filar stało ono między nami — mogliśmy się jedynie zdobyć na to, by spoza niego rzucić czasem ukradkiem spojrzenie na nasze zmieszane twarze.

— I znów, jak przed pięciu laty — powiedziałem. — Tylko że tym razem uciekamy oboje.

Helena pokiwała głową.

— Tylko bądź ostrożny! — powiedziała. — Na miłość boską, bądź ostrożny! Ja będę czekała. Dłużej niż tydzień! Jak długo zechcesz. Ale nie ryzykuj!



— Będę ostrożny. Nie mówmy o tym. Ostrożność nie znosi, gdy się o niej mówi za wiele, i może zawieść.

Jej dłoń spoczęła na mojej.

— Dopiero teraz zrozumiałam, że przyjechałeś! Teraz, kiedy znowu odchodzisz! Za późno!

— Ja również — odpowiedziałem. — Dobrze, że teraz już wiemy o tym.

— Tak późno — szepnęła. — Dopiero teraz, gdy odchodzisz.

— Nie dopiero teraz. Wiedzieliśmy o tym zawsze. W przeciwnym wypadku czyżbym był tutaj? Czy czekałabyś na mnie? Rzecz w tym, żeśmy po raz pierwszy sobie o tym powiedzieli.

— Ja nie zawsze czekałam — powiedziała Helena.

Milczałem. Ja również nie. Ale wiedziałem, że jej nigdy o tym nie będę mógł powiedzieć. Tym bardziej teraz. Byliśmy wobec siebie szczerzy i bezbronni. Jeżeli będziemy żyli, to do tej chwili — do pełnej zgiełku restauracji w Münster — jeszcze nieraz powrócimy myślami, by zaczerpnąć w niej siłę i potwierdzenie. Stanie się dla nas zwierciadłem, w którym będziemy mogli się przejrzeć. Ujrzymy w nim dwa obrazy: to, czego chciał od nas los, i to, co z nami uczynił. Byłoby to wiele, gdyż błędy powstają zawsze przez to, że się zatracą pierwszy obraz.

— Musisz już jechać — powiedziałem.

— Bądź ostrożna. Nie jedź zbyt szybko.

Jej wargi zadrżały. O ironio losu! Spostrzegłem się, zanim zdążyłem to powiedzieć. Staliśmy na wietrznej ulicy wśród starych domów.

— Ty bądź ostrożny — szepnęła. — Tobie to więcej potrzebne.

W hotelu nie zabawiłem długo — nie mogłem wytrzymać. Poszedłem na dworzec, kupiłem bilet do Monachium i przejrzałem rozkład jazdy pociągów. Jeden odjeżdżał jeszcze tego samego wieczoru. Postanowiłem nim jechać.

W mieście panowała cisza. Minałem plac przed katedrą i zatrzymałem się. W ciemności widziałem tylko część starej świątyni. Myśli moje krążyły wokół Heleny i tego, co nas czeka. Przyszłość była tak mglista i przytłaczająca, jak wysokie okna katedry pogrążone w mroku. Nie wiedziałem w końcu, czy słusznie robię, że ciągnę Helenę z sobą. Czy nie narażam jej zbyttnio? Czy jest to przestępstwo z mojej strony, czy też los wyświadcza mi nieocenioną łaskę — a może jedno i drugie?

W pobliżu hotelu usłyszałem przytłumioną rozmowę. Z bramy wypadli dwaj SS-mani popychając przed sobą jakiegoś mężczyznę. W blasku latarni zobaczyłem jego twarz, wąską, koloru wosku, z sinych ust z prawej strony spływała na brodę strużka czarnej krwi. Był łysy, jedynie skronie osłaniały ciemne włosy. Oczy szeroko rozwarte pełne były przerażenia, jakiego dawno już nie widziałem. Mężczyzna milczał.

Prześladowcy szarpali go i popychali brutalnie naprzód, również nie wydając głosu. Cała ta scena miała w sobie coś przygniatającego, makabrycznego. Przechodząc obok SS-mani obrzucili mnie wściekłym, wyzywającym spojrzeniem, a aresztowany utkwił we mnie swój osłupiały wzrok, wyrażający nieme błaganie o pomoc. Wargi mężczyzny poruszały się bezgłośnie. Razem tworzyliśmy odwieczny obraz ludzkości: przemoc i jej pachołkowie, ofiara i ten trzeci, wieczny obserwator, który nie ruszy palcem, by wystąpić w obronie pokrzywdzonego z obawy o swe własne bezpieczeństwo, właśnie dlatego stale zagrożone.

Zdawałem sobie sprawę, że w niczym nie mogę mu pomóc. Uzbrojeni SS-mani obezwładniliby mnie bez trudu. Przypomniałem sobie, że ktoś opowiadał mi o podobnej scenie. Chodziło o Żyda, którego aresztował SS-man i pastwił się nad nim. Ten ktoś przyszedł Żydowi z pomocą, zbił SS-mana do utraty przytomności, a ofierze kazał uciekać. Aresztant obrzucił swego wybawcę przekleństwami, uważał, że teraz dopiero jest zgubiony, gdyż wprowadzono go w sytuację, za którą on będzie odpowiadał. Z płaczem poszedł po wodę, by przywrócić SS-mana do życia i pozwolić się zaprowadzić na śmierć.

Przypomniałem sobie tę historię, ale to, co zobaczyłem, wstrząsnęło mną do głębi i wywołało taki sprzeciw i strach, i pogardę dla samego siebie za dążenie do szczęścia, wówczas, gdy innych się morduje, że czym prędzej udałem się do hotelu, zabrałem rzeczy i ruszyłem na dworzec, mimo że jeszcze miałem sporo czasu do odejścia pociągu. Zdawało mi się, że bardziej wypada czekać na dworcu aniżeli ukrywać się w pokoju hotelowym. Minimalne ryzyko takiego postępowania miało w jakiś dziecinny sposób przynajmniej w niewielkim stopniu poprawić moje samopoczucie.

## 8.

Jechałem noc i następny dzień, aż wreszcie bez przeszkód znalazłem się w Austrii. Dzienniki pełne były żądań, ubolewań i komunikatów o zajściach na granicy, które zawsze poprzedzają wojnę i w których jakimś dziwnym sposobem zawsze naród słabszy oskarżany jest o agresję wobec silniejszego. Widziałem pociągi pełne wojska, ale większość ludzi, z którymi rozmawiałem, nie wierzyła, by miała wybuchnąć wojna. Oczekiwali nowego Monachium, które zapobiegnie katastrofie. Zbyt słaba dekadenska Europa nie odważy się rozpocząć wojny z Niemcami. Inaczej wyglądało we Francji, gdzie każdy był przekonany, że wojna jest nieunikniona. Ale tak już jest — zagrożony zawsze wie więcej i wcześniej niż napastnik.

Przyjechałem do Feldkirch i wynająłem pokój w niedużym pensjonacie. Było lato, okres wycieczek turystycznych, dlatego też moja osoba nie mogła zwracać niczyjej uwagi. Moje dwie walizy dodawały mi powagi. Postanowiłem je zostawić i wziąć ze sobą tylko bagaż, który by mi nie przeszkadzał. Spakowałem więc w plecak najniezbędniejsze rzeczy. Komorne zapłaciłem za miesiąc z góry.

Następnego dnia wyszedłem. Do północy czekałem ukryty na polance w pobliżu granicy. Pamiętam, że z początku dokuczały mi okropnie komary i że widziałem salamandrę poruszającą się w czystej wodzie bajorka. Miała grzebień na grzbiecie i od czasu do czasu wyskakiwała, by zaczerpnąć powietrza. Widać było wówczas jej czerwono-żółty nakrapiany brzusek. Pomyślałem sobie, że jej świat w tej sadzawce również ma swoje granice. Niewielki dół z wodą był dla niej Szwajcarią, Niemcami, Francją, Afryką i Jokohamą. Radośnie zanurzała się i wypływała z wody, w pełnej harmonii z pogodnym nastrojem wieczornym.

Spałem przez kilka godzin, po czym przygotowałem się do przeprawy. Byłem przekonany, że mi się uda. W dziesięć minut później wyrósł jak spod ziemi, tuż obok mnie, urzędnik celny.

— Halt! Co pan tu robi? — usłyszałem.

Musiał stać w cieniu i od dłuższego czasu mnie obserwować.

— Co pan tu robi? — powtórzył.

Moje tłumaczenie się, że odbywam normalną przechadzkę, nie trafiało mu do przekonania.

— Wyjaśni pan to wszystko w komorze celnej — powiedział i odbezpieczywszy broń kazał mi iść przed sobą z powrotem do najbliższej miejscowości. Szedłem przybity, zdrętwiały i tylko gdzieś w zakamarkach mózgu kołatała ukryta myśl: „Jak uciec?” Niestety nie było to możliwe; celnik zbyt gorliwie spełniał swój obowiązek. Szedł za mną w takiej odległości, że nie było mowy, bym mógł napaść go zniemacka, do przodu również skoczyć nie mogłem, gdyż już po pięciu krokach dałby natychmiast do mnie ognia.

W komorze celnej otworzył jakiś mały pokoik.

— Proszę, niech pan wejdzie. Musi pan tu poczekać.

— Jak długo?

— Aż zostanie pan przesłuchany.

— Czy nie mógłby pan tego zaraz zrobić? Przecież nic takiego nie uczyniłem, by mnie zamykano.

— A więc niech się pan nie martwi.

— Ja się nie martwię — powiedziałem i zdjąłem swój plecak. — Może w takim razie zaczniemy?

— Zaczniemy, gdy będziemy do tego gotowi — powiedział urzędnik szczerząc w ironicznym uśmiechu wyjątkowo mocne, białe zęby. Miał wygląd myśliwego i zachowywał się jak myśliwy.

— Jutro rano przyjdzie kompetentny urzędnik. Tymczasem może się pan tutaj prześpać na krześle. Zostało już tylko kilka godzin. Heil Hitler!

Rozejrzałem się dokoła. Okno było okratowane; drzwi mocno zamknięte z zewnątrz. Żadnej możliwości ucieczki. Słyszałem gdzieś obok rozmowy ludzi. Siedziałem i czekałem. Sytuacja była beznadziejna. Wreszcie niebo poszarzało przechodząc stopniowo w coraz jaśniejszy błękit. Znów usłyszałem głosy i poczułem zapach kawy. Ktoś otworzył drzwi. Udałem, że dopiero się obudziłem, i ziewnąłem. Wszedł jakiś urzędnik. Był czerwony na twarzy, gruby, lecz wyglądał na bardziej ludzkiego niż „myśliwy”.

— No, nareszcie! — powiedziałem. — Cholernie niewygodnie było mi spać!

— Czego pan szukał w pobliżu granicy? — zapytał urzędnik i zaczął grzebać w moim plecaku. — Chciał pan uciec, coś przeszmugłować?

— Używanych spodni nikt nie wiezie na szmugiel — odpowiedziałem — ani znośzonej koszuli.

— Pięknie. Co więc u licha robił pan tam w nocy? — Odsunął mój plecak na bok.

Przypomniały mi się nagle pieniądze, które miałem przy sobie. Jeżeli je znajdzie, będę zgubiony. Prawdopodobnie nie badałby mnie już więcej.

— Przyszło mi do głowy popatrzeć na Ren w nocy — odpowiedziałem uśmiechając się. — Jestem turystą, trochę romantykiem.

— Skąd pan przybył?

Wymieniłem nazwę mojego pensjonatu i miejscowość, z której przyjechałem.

— Chciałem dziś rano wrócić — powiedziałem. — Moje walizki są tam dotychczas. Zapłaciłem komorne, z góry za cały miesiąc. To wszystko chyba nie wskazuje na szmugiel, jak pan sądzi?

— No, no — odpowiedział. — Wszystko to jeszcze sprawdzimy. Za godzinę będziemy na miejscu. Pójdziemy razem. Zobaczymy, co pan ma w tych walizkach.

Było dość daleko. Grubas również okazał się czujny i strzegł mnie jak pies owczarski. Prowadził obok siebie rower i palił. Wreszcie przyszlismy na miejsce.

— Patrzcie, idzie, znalazł się! — zawołał ktoś z okna pensjonatu.

Za chwilę stanęła przede mną gospodyni. Była czerwona jak indyk ze zdenerwowania.

— Mój Boże, a myśmy już myśleli, że się panu co przytrafiło! Gdzie pan przepadł na całą noc?

Zobaczyła z rana moje nie rozesłane łóżko i pomyślała, że mnie zamordowano. W okolicy grasował rzekomo jakiś bandyta, który miał już na sumieniu kilka napadów rabunkowych. Dlatego powiadomiła o moim zniknięciu policję. Jeden z policjantów wyszedł właśnie z pensjonatu. Wyglądał jak myśliwy.

— Zabłądziłem — odpowiedziałem możliwie spokojnie. — A że noc była piękna, postanowiłem po raz pierwszy od czasów mego dzieciństwa przespać się na łonie natury. To było wspaniałe! Bardzo przepraszam, że sprawiłem pani tyle kłopotu. Niestety przez pomyłkę znalazłem się za blisko granicy. Proszę, niech pani wyjaśni urzędnikowi celnemu, że tu mieszkam.

Wyjaśnienie gospodyni zdawało się trafiało celnikowi do przekonania, natomiast policjant okazał się bardziej nieufny.

— Skąd pan przybył? — zapytał. — Od granicy? Czy ma pan dokumenty? Kto pan jest?

Na moment zabrakło mi tchu. W wewnętrznej kieszeni marynarki miałem pieniądze wręczone mi przez Helenę. Jeżeli wyjdzie to na jaw, zostanę posądzony o chęć przeszmuglowania ich do Szwajcarii, oddadzą mnie pod sąd. Co mogło potem nastąpić, lepiej nie myśleć.

Wymieniłem nazwisko, dowodu jeszcze na razie nie pokazałem. Niemcy i Austriacy nie potrzebują go w swoim kraju.

— A kto nam udowodni, że pan nie jest tym bandytą, którego szukamy? — zapytał policjant o fizjonomii myśliwego.

Roześmiałem się.

— Nie ma się czego śmiać — powiedział rozzłoszczony i razem z celnikiem zaczęli grzebać w moich walizkach.

Potraktowałem to jako kiepski żart. Jednocześnie zastanawiałem się, jak wytłumaczyć się z posiadanych pieniędzy, jeżeli dojdzie do osobistej rewizji. Postanowiłem powiedzieć, że chcę kupić w pobliżu niewielką posiadłość.

Ku mojemu zdumieniu policjant w jednej z przegródek drugiej walizki znalazł jakiś list. Była to walizka, którą przywiozłem z Osnabrück i do której Helena zapakowała moje stare rzeczy, a potem zabrała ze sobą. Policjant otworzył list i zaczął czytać. Przyglądałem mu się w największym napięciu. Nic o tym liście nie wiedziałem i łudziłem się jeszcze, że jest to jakaś stara, zapomniana i nic nie znacząca korespondencja.

Policjant chrząknął i spojrzał na mnie.

— Pan się nazywa Józef Schwarz?

Przytaknąłem.

— Dlaczego nie powiedział pan tego od razu? — zapytał.

— Powiedziałem to panom przedtem — odrzekłem, starając się jednocześnie przeczytać nagłówek listu z odwrotnej strony.

— Tak, to prawda — przyświadczył celnik.

— A więc to pismo dotyczy pana? — powiedział policjant.

Wyciągnąłem rękę. Policjant chwilę namyślał się, potem podał mi je. Spojrzałem na druk. Był to adres partii narodowosocjalistycznej w Osnabrück. Powoli odczytywałem, że Parteigenosse Józef Schwarz znajduje się w celu wykonania poufnych zadań w podróży i że władze partyjne w Osnabrück proszą o udzielenie mu wszelkiej potrzebnej pomocy. Pod tekstem widział napis: Georg Jürgens Obersturmbannführer — wykonany ręką Heleny. Trzymałem list w ręku.

— Zgadza się? — zapytał policjant tym razem z widocznym respektem.

Wyciągnąłem paszport, pokazałem mu nazwisko i schowałem z powrotem.

— Sprawy poufne państwowej wagi — odpowiedziałem.

— W związku z tym? — policjant wskazał na pismo.

— W związku z tym — powiedziałem z powagą, chowając list do kieszeni. — Mam nadzieję, że to panom wystarczy?

— Tak jest, oczywiście. — Policjant przymrużył bladoniebieskie oko. — Rozumiem. Lustracja granicy.

Podniosłem rękę.

— Proszę, ani słowa o tym. To jest ściśle poufne. Dlatego właśnie nie mogłem nic powiedzieć. Jednak rozszyfrowaliście mnie. Jesteście członkami partii?

— Oczywiście — odpowiedział policjant. Zobaczyłem teraz, że jest rudy, i poklepałem go po plecach wilgotnych od potu.

— Doskonale! Proszę, to dla panów na wino. Należy się wam za trudy i dobrą służbę.

Schwarz uśmiechnął się melancholijnie.

— Zdumiewające, jak łatwo dają się wywieść w pole ludzie, którzy z racji swych obowiązków powinni być nieufni. Czy miał pan okazję przekonać się o tym?

— Nie, o ile nie miałem papierów — odpowiedziałem. — Ale muszę wyrazić uznanie pańskiej żonie! Przewidziała, że list może być panu potrzebny.

— Helena przewidywała, że nie wziąłbym tego listu, gdyby mi go zaproponowała. Ze względów zasadniczych i dlatego że uważałbym to za niebezpieczne. Przede wszystkim dlatego. A jednak list ten mnie uratował.

Słuchałem Schwarza ze wzrastającym zainteresowaniem. Rzuciłem wzrokiem dookoła. Dyplomaci angielski i niemiecki byli na parkiecie. Tańczyli fokstrota. Anglik był lepszym tancerzem. Niemiec potrzebował więcej miejsca i zachowywał się agresywnie; posuwał swoją partnerkę do przodu niczym armatę. W panującym półmroku odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą szachownicę z poruszającymi się na niej żywymi figurami. Obaj królowie, angielski i niemiecki, zbliżali się do siebie chwilami na niebezpieczną odległość, jednak Anglik potrafił zawsze zręcznie tamtego wyminąć.

— No i co pan zrobił potem? — zagadnąłem mojego rozmówcę.

— Wszedłem do mojego pokoju — powiedział Schwarz. — Czułem się wyczerpany i pragnąłem w ciszy i spokoju zastanowić się nad dalszym swym losem. Helena uratowała mnie w tak nieprzewidziany sposób, że fakt ten zaskoczył mnie niczym deus ex machina — trik teatralny, dzięki któremu rozpaczliwa sytuacja kończy się nagle szczęśliwie. Musiałem jednak stąd zmykać, zanim policjant nie zacznie za wiele rozpowiadać o tej całej historii i zastanawiać się nad nią. W końcu zdecydowałem się zaufać memu szczęściu. Poinformowałem się o terminie odejścia pociągu pośpiesznego do Szwajcarii. Miał jechać za godzinę. Właścicielkę pensjonatu powiadomiłem, że wyjeżdżam na jeden dzień do Zurychu, jedną walizkę zabieram ze sobą i proszę, by mi drugą przechowała. Za kilka dni będę z powrotem. Potem poszedłem na dworzec.

Czy nawiedzało pana uczucie nagłego wyzbycia się zachowywanej przez całe lata ostrożności?

— Tak — odpowiedziałem. — Ale często mylimy się przy tym. Wydaje się nam, że los winien nam jest rewanz. Tymczasem los nikomu nie jest nic winien.

— Tak, to prawda — przyznał Schwarz. — Ale niekiedy przestaje się polegać na stosowanej dotychczas technice działania i postanawia się oprzeć na nowej. Helena namawiała mnie, bym jechał z nią razem przez granicę. Nie usłuchałem i byłbym zgubiony, gdyby nie jej przezorność — pomyślałem więc, że tym razem postąpię tak, jak ona sobie tego życzyła.

— I zrobił pan tak?

Schwarz potwierdził skinieniem głowy.

— Kupiłem bilet pierwszej klasy w przekonaniu, że luksus wzbudza zawsze większe zaufanie. Dopiero gdy znalazłem się w pociągu, przypomniałem sobie o pieniądzach,

które miałem przy sobie. Nie mogłem ukryć ich w przedziale, nie byłem sam. Prócz mnie siedział jeszcze jakiś człowiek, bardzo blady i niespokojny. Próbowałem schować je w toalecie, obie jednak były zajęte. Tymczasem pociąg zbliżał się do granicy.

Kierowany instynktem, wszedłem do wagonu restauracyjnego. Usiadłem przy stoliku i poprosiłem o butelkę drogiego wina i jadłospis.

— Czy posiada pan bagaż? — zwrócił się do mnie kelner.

— Tak. W najbliższym wagonie pierwszej klasy.

— Czy wobec tego nie zechciałby pan przedtem załatwić formalności celnych? Zarezerwuję dla pana to miejsce.

— To może długo potrwać. Myślę, że zdąży mi pan przynieść coś do zjedzenia. Jestem głodny. Zapłacę z góry.

Nikła nadzieja, że mógłbym zostać w wagonie restauracyjnym nie zauważony, nie spełniła się. Kelner właśnie stawiał na stole wino i talerz z zupą, gdy do wagonu wkroczyli dwaj urzędnicy. Wsunąłem pieniądze pod sukno na stole przykrytym poza tym serwetą, zaś list Heleny włożyłem między kartki paszportu.

— Pański paszport! — zwrócił się ostro jeden z urzędników.

Podąłem paszport.

— Czy bagażu pan nie ma? — zapytał, zanim otworzył książeczkę.

— Jedną podręczną walizkę — odpowiedziałem. — Znajduje się w najbliższym wagonie pierwszej klasy.

— Musi pan ją otworzyć — powiedział drugi.

Wstałem.

— Proszę zatrzymać dla mnie to miejsce — rzekłem do kelnera.

— Naturalnie! Przecież zapłacił pan z góry.

Urzędnik popatrzał na mnie.

— Opłacił pan już z góry?

— Tak. W przeciwnym razie nie mógłbym sobie pozwolić na jedzenie i wino. Za granicą trzeba płacić dewizami. A tych niestety nie mam.

Urzędnik roześmiał się.

— Niezły pomysł! — rzekł. — Ciekawe, że tak mało osób na to wpada. Proszę, niech pan przejdzie do siebie. Muszę zrewidować jeszcze cały wagon.

— A mój paszport?

— Zwrócimy go panu.

Poszedłem do przedziału. Mój towarzysz podróży siedział tam, jeszcze bardziej niespokojny niż przedtem. Pocił się i co chwila wycierał ręce i twarz mokrą chusteczką. Patrzyłem na dworzec, otworzyłem okno. Nie było sensu wyskakiwać przez nie, gdyby chcieli mnie schwytać, i tak bym nie mógł uciec. Ale otwarte okno działało uspokajająco.



W drzwiach stanął drugi urzędnik.

— Pańskie walizki!

Sięgnąłem po moją i otworzyłem ją. Zlustrował zawartość wzrokiem, a potem przeszedł walizkę mego sąsiada.

— W porządku — odpowiedział i zasalutował.

— A paszport? — upomniałem się.

— Jest u kolegi.

Kolega zjawiał się w tej samej chwili. Ale nie ten, którego widziałem poprzednio. Był to członek partii, w mundurze, szczupły, w okularach i w wysokich butach. — Schwarz uśmiechnął się. — Jakże Niemcy kochają buty!

— Nie mogą się bez nich obejść — powiedziałem. — Nurzają się przecież w takim gnoju.

Schwarz wychylił szklankę wina. Przez całą noc pił niewiele. Spojrzałem na zegar. Było wpół do czwartej. Schwarz to zauważył.

— Już nie będę pana długo męczył — powiedział. — Będzie pan miał jeszcze sporo czasu na statek i wszystko inne. To, co teraz opowiem, będzie okresem szczęścia. A o szczęściu nie można opowiadać wiele.

— I jak pan z tego wybrnął? — spytałem.

— Hitlerowiec przeczytał list Heleny. Oddał mi paszport i zapytał, czy mam znajomych w Zurychu. Przytaknąłem ruchem głowy.

— Kogo?

— Panów Ammera i Rotenberga.

Były to nazwiska dwóch nazistów działających w Szwajcarii. Każdy emigrant przebywający w tym kraju znał ich i nienawidził.

— A poza tym?

— Naszych ludzi w Bernie. No, ale chyba nie ma potrzeby wymieniać wszystkich? Hitlerowiec zasalutował.

— Życzę powodzenia! Heil Hitler!

Mój towarzysz nie miał tyle szczęścia. Musiał wyciągać wszystkie dokumenty i odpowiadać na coraz to nowe pytania. Nieborak pocił się i jękał. Nie mogłem dłużej na to patrzeć.

— Czy mogę wrócić do wagonu restauracyjnego? — zapytałem.

— Ależ naturalnie! — odpowiedział hitlerowiec. — Smacznego!

Wagon restauracyjny był już pełny. Mój stolik okupowała grupa Amerykanów.

— Gdzie jest moje miejsce? — spytałem kelnera.

Wzruszył ramionami.

— Nie zdołałem go utrzymać. Kto sobie może dać radę z tymi Amerykanami! Niemieckiego nie rozumieją i siadają, gdzie im się podoba! Proszę zająć miejsce z tam-

tej strony. Czy nie wszystko jedno, gdzie się siedzi? Pańskie wino już tam przeniosłem.

Nie wiedziałem, co zrobić. Amerykańska rodzina, jak gdyby nigdy nic, zajęła wszystkie cztery fotele przy zarezerwowanym przeze mnie stoliku. Tam gdzie były ukryte pieniądze, siedziała bardzo ładna, może szesnastoletnia panienka z aparatem fotograficznym. Jeżeli będę uparcie polował na to miejsce, zwrócę na siebie uwagę, byliśmy jeszcze na ziemi niemieckiej.

Kiedy stałem tak niezdecydowany, podszedł kelner.

— Dlaczego nie zajmie pan chwilowo tamtego miejsca? Wróci pan tu, jak tylko się zwolni. Amerykanie szybko jedzą, kanapki i sok pomarańczowy. Będę mógł wówczas podać panu coś konkretnego.

— Dobrze.

Usiadłem tak, by mieć swoje pieniądze na widoku. Tak to jest z nami; przed chwilą oddałbym wszystko, byleby stąd się wydostać — teraz siedziałem i myślałem tylko o jednym: muszę te pieniądze mieć z powrotem, zwłaszcza w Szwajcarii, nawet gdyby mi przyszło zaatakować amerykańską rodzinę. Potem zobaczyłem, jak wyprowadzono z wagonu małego, pocącego się człowieka, i doznałem uczucia głębokiego, niewytłumaczonego zadowolenia, że to nie jestem ja, połączonego z obrzydliwym, fałszywym współczuciem, które nie jest niczym innym jak próbą wykpienia się losowi tanią litością. Wydałem się wstrętny sam sobie, nie mogłem jednak i nie chciałem temu przeciwdziałać. Pragnąłem się uratować i pragnąłem odzyskać moje pieniądze. To nie były tylko ot tak po prostu pieniądze — to było bezpieczeństwo, Helena, nasza wspólna przyszłość. Mimo wszystko były to jednak pieniądze, była to moja własna skóra i moje własne egoistyczne szczęście. Nigdy nie wyzwolimy się z tego. Ale nasze drugie ja, którego nie możemy kontrolować, niechaj skończy z tą komedią...

— Panie Schwarz — przerwałem — i jak w końcu odzyskał pan swoje pieniądze?

— Ma pan słuszość — odpowiedział. — Dość tej głupiej tyrady. A więc do wagonu restauracyjnego weszli urzędnicy szwajcarscy. Amerykanie, jak się okazało, posiadali nie tylko walizki podręczne, lecz także kufry w wagonie bagażowym. Musieli wyjść. Dzieci również. Zjedli już swoje kanapki. Sprzątnięto ze stołu. Przesiadłem się na moje poprzednie miejsce i dotknąłem ręką powierzchni stolika. Wyczułem nieznaczące wzniesienie.

— Czy z ocleniem wszystko w porządku? — zapytał kelner przynosząc mi butelkę wina.

— Naturalnie — odpowiedziałem. — A teraz proszę mi podać rozbratel. Czy jesteśmy już w Szwajcarii?

— Jeszcze nie. Dopiero, gdy stąd ruszymy.

Kelner odszedł, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie pociąg ruszy. Szalałem, byłem już u kresu mej cierpliwości. Pan chyba też coś takiego przeżywał. Z okna po-

ciągu przyglądałem się ludziom na peronie. Jakiś karzeł w smokingu i przykrótkich spodniach sprzedawał na niklowanym wózku wino z Gumpoldskirchen i czekoladę, wtykając niemal siłą swój towar podróżnym. Potem spostrzegłem spoconego mężczyznę z mego przedziału. Był sam i pędził do swego wagonu.

— Świetnie umie pan pociągać — odezwał się za mną kelner.

— Co?

— Ciągnie pan wino niczym strażak wodę, kiedy spieszy do pożaru.

Spojrzałem na butelkę. Była prawie pusta. Opróżniłem ją, sam nie wiedząc kiedy. W tej chwili szarpnęło wagonem, butelka zachwiała się i zleciała ze stołu. Złapałem ją w locie. Pociąg ruszył w dalszą drogę.

— Niech mi pan przyniesie jeszcze jedną — powiedziałem.

Kelner zniknął.

Wyciągnąłem pieniądze spod sukna i schowałem do kieszeni. Zaraz po tym nadeszli Amerykanie. Usadowili się dookoła stolika zajmowanego poprzednio przez mnie i zamówili kawę. Dziewczyna zaczęła fotografować mijane okolice. Pomyślałem, że ma rację — to jest jeden z najpiękniejszych krajobrazów na świecie.

Kelner wrócił z butelką.

— Teraz jesteśmy w Szwajcarii.

Zapłaciłem za wino i dałem mu suty napiwek.

— Niech pan zatrzyma to wino — powiedziałem. — Ja już mam dosyć. Chciałem coś uczcić, ale widzę, że już nieco przeholowałem z pierwszą butelką.

— Wypił pan na pusty żołądek — wyjaśnił kelner.

— Tak, rzeczywiście.

Podniosłem się.

— Czy obchodzi pan dziś urodziny? — zainteresował się.

— Gody — odpowiedziałem. — Złote gody.

Mały człowieczek w przedziale siedział jakiś czas w milczeniu. Już się nie oblewał potem, ale widziałem, że jego ubranie i koszula były wilgotne.

— Czy jesteśmy w Szwajcarii? — zapytał nareszcie.

— Tak — odpowiedziałem.

Zamilkł znowu i patrzył przez okno. Mijaliśmy jakąś miejscowość o nazwie szwajcarskiej. Naczelnik stacji kiwał ręką, a dwaj szwajcarscy policjanci stali obok wyładowanego bagażu i o czymś rozmawiali. W kiosku można było kupić szwajcarską czekoladę i szwajcarską kielbasę. Mój sąsiad wychylił się i kupił szwajcarską gazetę.

— Czy to już Szwajcaria? — zapytał chłopaka.

— A cóż by innego! Dziesięć rapp.

— Co takiego?

— Dziesięć rapp! Dziesięć centów! Za gazetę!

Mężczyzna zapłacił. Wyglądał, jakby wygrał wielki los na loterii. To, że żądano od niego innych pieniędzy, przekonało go ostatecznie. Mnie nie uwierzył. Rozłożył gazetę, prześliznął się wzrokiem po jej szpaltach i odłożył na bok. Dopiero po jakiejś chwili zorientowałem się, że coś do mnie mówi. Byłem tak przejęty znów odzyskaną wolnością, że nie słyszałem nic prócz rytmicznego stukotu kół pociągu. Dopiero gdy zobaczyłem poruszające się wargi, usłyszałem jego głos.

— No, nareszcie się wydostałem — powiedział i utkwiał we mnie wzrok. — Z pańskiego przeklętego kraju, Herr Parteigenosse! Z kraju, który zamieniliście w koszary i obozy koncentracyjne! Wy świnię! Nareszcie w Szwajcarii, w kraju wolności, gdzie nie macie nic do rozkazywania! Nareszcie można otworzyć usta bez obawy, że waszymi bucioremi wybijecie oponentowi zęby! Coście zrobili z Niemiec, wy złodzieje, bandyci, oprawcy!

W kącikach jego ust utworzyły się drobne pęcherzyki.

Patrzył na mnie ze wstrętem, jak historyczna kobieta patrzy na żabę. Byłem dla niego hitlerowcem. Po tym, co słyszał, miał prawo mnie za takiego uważać.

Słuchałem go z niezmaconym spokojem, jaki mi dawała świadomość, że jestem uratowany.

— Pan jest dzielnym człowiekiem — powiedziałem.

— Jestem przynajmniej o dwadzieścia funtów cięższy od pana i piętnaście centymetrów wyższy. Ale proszę, niech się pan wygada. To panu ulży.

— Co to? Kpiny! — zawołał ze wzrastającą wściekłością.

— Pan pozwala sobie jeszcze na kpiny? Skończyło się! Skończyło raz na zawsze! Coście zrobili z moimi rodzicami? Co wam zawinił mój stary ojciec? A teraz! Teraz chcecie wtrącić świat w otchłań wojny.

— Czy wierzy pan w to, że będzie wojna? — spytałem.

— Kpij pan, kpij pan dalej! Jakby pan o tym nie wiedział! Zresztą, jakie macie inne możliwości z tą waszą tysiącletnią Rzeszą i waszym przeklętym uzbrojeniem? Wy, zawodowi mordercy! Jeżeli byście nie wywołali wojny, diabli wzięliby wasz bluff o dobrobycie i was razem z nim!

— Ja również tak myślę — powiedziałem i niby pieszczotę poczułem na swojej twarzy ciepło popołudniowego słońca. — Ale co będzie, jeżeli Niemcy wygrają?

Człowiek w wilgotnej od potu marynarce patrzył na mnie tępym wzrokiem, przełykając ślinę.

— Jeżeli wy wygracie... to nie ma Boga na niebie — wykrztusił w końcu z trudem.

— Ja również tak sądzę.

Wstałem.

— Niech mnie pan nie dotyka! — wysyczał. — Pójdzie pan do więzienia! Jeden krok, a pociągnę za hamulec! Zaraz pana oskarżę, że jest pan szpiegiem! Słyszałem, co pan

mówił!

„Tego mi jeszcze brakowało!” — pomyślałem.

— Szwajcaria jest krajem wolności — powiedziałem. — Tu się nie aresztuje ludzi tak zaraz, na podstawie denuncjacji. Jak się zdaje, nieźle się pan wyszkolił tam, po tamtej stronie.

Wziąłem walizkę i poszedłem do innego przedziału. Nie chciałem się wdawać w wyjaśnienia z rozhisteryzowanym pasażerem: mógłby potem ze złości mnie zdradzić. Ale siedzieć naprzeciw niego również nie chciałem. Nienawiść to kwas, który przeżera duszę, niezależnie od tego, czy sama nienawidzi, czy też jest znieawidzona. Przekonałem się o tym podczas mojej tułaczki.

Tak dojechałem do Zurychu.

## 9.

Muzyka na chwilę urwała się. Na parkiecie słychać było podniesione głosy. Orkiestra zagrała znowu, tym razem głośniejszą, a jakaś dama w kanarkowo-żółtej sukni i z fałszywymi diamentami we włosach zaczęła śpiewać. Nastąpiło to, co było do przewidzenia. W tańcu zderzył się członek partii hitlerowskiej z Anglikiem. Jeden zarzucał drugiemu, że go umyślnie potrącił. Kierownik i dwaj kelnerzy niby Liga Narodów starali się zajście załagodzić, jednakże bez powodzenia.

Orkiestra okazała się mądrzejsza i po prostu zmieniła rytm. Zamiast fokstrota zagrała tango i dyplomaci musieli albo się zatrzymać i narazić na śmieszność, albo tańczyć dalej. Okazało się jednak, że tango nie należało do mocnych stron Niemca, podczas gdy Anglik z miejsca zmienił takt. Ponieważ wkrótce potem zaczęły ich poszturchiwać inne pary, pozbawieni zasadniczego pretekstu, powrócili z błyskiem wściekłości w oczach do swoich stolików.

— Niech się pojedynkują — powiedział Schwarz pogardliwie.

— Dlaczego ci bohaterzy nie pojedynkują się?

— Dojechał pan do Zurychu? — spytałem.

Uśmiechnął się lekko.

— Może pójdziemy stąd?

— Dokąd?

— Są tu na pewno jeszcze zwykłe knajpy czynne przez całą noc. Ta wydaje mi się grobem, w którym tańcem i muzyką zagłusza się wojnę.

Schwarz zapłacił i zapytał kelnera o jakiś inny lokal. Kelner napisał adres na kartce wydartej z notesu i poinformował, w jakim kierunku mamy się udać.

Wyszliśmy i stanęliśmy przed drzwiami oczarowani urokiem cudownej nocy. Gwiazdy jeszcze świeciły, lecz morze i nadciągający poranek spoczywały już na horyzoncie w pierwszym błękitnym uścisku. Niebo wydawało się wyższe, a zapach soli i kwiatów mocniejszy niż przedtem. Zapowiadał się pogodny dzień. Lizbona za dnia ma w sobie coś naiwnie teatralnego, coś, co urzeka i zniewala — nocą natomiast jest to miasto z bajki, spadające tarasami ze wszystkimi swymi światłami ku morzu, niby odświętne

ubrana dziewczyna pochylająca się ku swemu ciemnolicemu kochankowi.

Staliśmy jakiś czas w milczeniu.

— Tak wyobrażaliśmy sobie kiedyś życie, prawda? — odezwał się w końcu Schwarz pośepnie. — Tysiące świateł i ulice prowadzące w nieskończoność...

Nie odpowiedziałem. Dla mnie życie to był statek stojący tam w dole na kotwicy i odpływający wkrótce nie w nieskończoność, lecz do Ameryki. Przygód znalazłem do syta. Niby zgniłymi jajami obrzucił nas nimi nieludzki czas. Największą z przygód było posiadanie ważnego paszportu, wizy i biletu okrętowego. Dla nas, przymusowych wędrowców, powszedniość stała się fantasmagorią, a przygoda plagą.

— Zurych wydał mi się tym, czym panu wydaje się tej nocy Lizbona — powiedział Schwarz.

— Tam zaczęło się to, co w moim przekonaniu minęło bezpowrotnie. Wiadomo, że czas jest niczym napój śmiertelny, który zabija nas powoli jak łagodna trucizna. Na początku ożywia nas i pozwala nawet wierzyć, że jesteśmy nieomal nieśmiertelni. Ale oto kropla po kropli, dzień za dniem, każda kropla z każdym dniem zmienia się w coraz mocniejszy jad, który sączy się do naszej krwi, zatruwając ją coraz bardziej. Gdybyśmy chcieli nawet za cenę lat, które nam pozostały jeszcze, przywołać na powrót naszą młodość — na nic by się to nie zdało. Jad czasu zmienia nas nieodwracalnie, ale i zachodzące w nas procesy chemiczne nie są te same. Chyba że zdarzy się jakiś cud. I cud się zdarzył.

Schwarz przystanął i patrzył na mieniące się światła miasta.

— Chciałem, żeby ta noc zachowała się w moim wspomnieniu jako najszczęśliwsza w życiu — wyszeptał. — Jest najokropniejsza. Czy nie sądzi pan, że wspomnienie może tego dokonać? Powinno przecież! Rzeczy cudowne w naszym życiu nigdy nie posiadają tej pełni, jaką uzyskują we wspomnieniu — szczęście, jeżeli umrze, nie może się przecież zmienić, nie wywołuje rozczarowania. Pozostaje zachowując swój pełny kształt. Czy jeżeli teraz jeszcze raz je przywołam, nie pozostanie ono takim, jakim je widzę? Czy nie powinno istnieć wraz ze mną, jak długo istnieję?

Schwarz zachowywał się prawie jak lunatyk. Gdy stał tak na schodach, w nocy ustępującej już przed wdzierającym się wszechwładnie przedświtem, mizerny, zapomniany, zrobiło mi się nagle okropnie go żal.

— To prawda — zauważyłem oględnie. — Istotnie, skąd możemy wiedzieć, czy i w jakim stopniu, jesteśmy szczęśliwi, jak długo nie wiemy, co zostaje i w jaki sposób zostaje?

— Zdając sobie sprawę każdej chwili z tego, że nie jesteśmy w stanie go utrzymać i nawet próbować tego — wyszeptał Schwarz. — Jeżeli więc nie usiłujemy go przytrzymać i ująć naszymi rękami i naszymi prostackimi chwykami, czy nie pozostaje ono wówczas bez obawy gdzieś, za naszymi oczami? I czy nie żyje tam dalej, dopóki żyją

oczy?

Schwarz wciąż jeszcze spoglądał w dół na miasto, tam gdzie stała jodłowa trumna i znajdował się zakotwiczony statek. Przez chwilę zdawało mi się, że zamiast jego twarzy widzę skamieniałe w przerażającym bólu poszczególne jej części. Potem życie przywróciło jej znowu normalny wygląd. Usta nie robiły wrażenia rozwartej czeluści, oczy utraciły swój zastygły, martwy wyraz.

Schodziliśmy dalej w kierunku portu.

— Niech mi pan powie — odezwał się po chwili. — Kim my jesteśmy? Kim jest pan, ja, kim są inni i kim byli ci, których już nie ma? Co jest prawdziwe — odbicie w lustrze czy istota, która przed nim stoi? Żyjący czy wspomnienie, obraz pozbawiony bólu? Czy stopiliśmy się w jedno, zmarła i ja? A może dopiero teraz jest ona w całości moją, w tej rozpaczliwej alchemii, z której udziela mi już tylko odpowiedzi, wtedy, kiedy zechcę, i takiej, jakiej zechcę, nawiedzająca mnie, lecz tylko w fosforyzującej małej cząstce, tu, w czaszce? A może, mimo że ją utraciłem, tracę ją stopniowo nadal każdej chwili, ponieważ z wolna, z każdą sekundą coraz bardziej wygasają wspomnienia? Panie, ja muszę ją zatrzymać, czy pan tego nie rozumie? — Uderzył się w czoło.

Doszliśmy do jakiejś ulicy, która długim ciągiem schodów prowadziła ze wzgórza na dół. Poprzedniego dnia obchodzono tu prawdopodobnie jakąś uroczystość. Na żelaznych prętach między domami zwisały girlandy, zwiędłe już i pachnące cmentarzem, rozciągnięte były też sznury z żarówkami poprzedzielanymi dużymi lampionami o kształtach tulipanów. Wysoko nad nimi, w odstępach mniej więcej dwudziestometrowych, kołysały się pięcioramienne gwiazdy z małych elektrycznych żarówek. Widocznie wszystko to zostało urządzone z powodu procesji lub jednego z wielu świąt religijnych. Teraz ozdoby te wisiały chłodne i bezużyteczne w rozpoczynającym się poranku i tylko w jednym miejscu, na dole, zdawało się coś nie dostrajać do całości — paliła się tam jeszcze jedna gwiazda wyjątkowo ostrym białym światłem, które posiadają lampy wczesnym wieczorem lub rankiem.

— To tutaj — powiedział Schwarz i otworzył drzwi do jakiejś knajpy, w której paliło się jeszcze światło. Zobaczyliśmy idącego naprzeciw krzepkiego, opalonego mężczyznę. Wskazał nam stolik. W niskiej izbie stało kilka beczek i przy jednym ze stołów siedzieli kobieta i mężczyzna. Gospodarz nie miał nic prócz wina i zimnej smażonej ryby.

— Czy pan zna Zurych? — zwrócił się do mnie Schwarz.

— Tak. Czterokrotnie byłem tam aresztowany przez policję. Szwajcaria ma dobre więzienia. O wiele lepsze niż Francja. Szczególnie w zimie. Niestety zamykają tam najwyżej na czternaście dni. Potem lokator zostaje usunięty i zabawa z przrzucaniem przez granicę zaczyna się od nowa.

— Decyzja, by jawnie przekroczyć granicę, coś we mnie wyzwoliła — powiedział



Schwarz.

— Od tej chwili przestałem się bać. Policjant na ulicy nie wywoływał już we mnie uczucia, że serce mi zamiera. Doznawałem jeszcze tylko łagodnego wstrząsu, lecz wystarczająco silnego, bym w następnej sekundzie mógł jeszcze bardziej odczuwać radość wolności.

Skinałem głową.

— Wzmózona świadomość życia wobec istniejącego niebezpieczeństwa. Zdajemy sobie z tego doskonale sprawę dopóty, dopóki to niebezpieczeństwo majaczy na horyzoncie — wtrąciłem.

— Tak pan sądzi? — Schwarz spojrział na mnie jakoś szczególnie. — To trwa znacznie dłużej — powiedział. — Do chwili, którą nazywamy śmiercią, i po niej także. Czy należy mówić o stracie, jeżeli możemy zachować uczucie? Czyż miasto przestaje istnieć, kiedy je opuszczamy? Czy nie istniałoby w panu nawet wówczas, gdyby zostało zniszczone? Alboż ktokolwiek wie, co to jest śmierć? Czy tylko promień światła nie przesuwają się powoli po naszych zmieniających się obliczach? Czy nie otrzymujemy ich, zanim przychodzimy na świat, wcześniej niż wszystko inne, oblicze, które pozostaje po zniszczeniu tamtych, przemijających?

Jakiś kot węszył pomiędzy krzesłami. Rzuciłem mu kawałek ryby. Zadarł ogon i odwrócił się.

— Czy w Zurychu spotkał się pan z żoną? — spytałem ostrożnie.

— Spotkałem się z nią w hotelu. Ani śladu skrępowania, wyczekiwania, chęci zadawania cierpienia, które wyczułem w Osnabrück. Wszystko to gdzieś znikło, nie istniało. Ujrzałem kobietę, której nie znałem i którą kochałem, z którą łączyła mnie dziewięćdziesięcioletnia przeszłość i nad którą przeszłość ta nie sprawowała już swojej nieograniczonej, przemożnej władzy. Jad czasu wyparował, z chwilą gdy Helena przekroczyła granicę. Przeszłość należała do nas, lecz my już nie należeliśmy do niej. Zamiast przytłaczającego obrazu ubiegłych lat ujrzałem w niej teraz, niby w lustrze, jedynie odbicie nas samych. Podjęcie decyzji wyrwania się i wykonanie jej odgrodziło nas w sposób rozstrzygający od tego, co było. To, co wydawało się nam niemożliwe, stało się rzeczywistością; rozpoczęliśmy nowe życie bez rekwizytów przeszłości.

Schwarz spojrział na mnie. I znów twarz jego przybrała na chwilę ów dziwny wyraz.

— I tak to pozostało. Helena podtrzymywała tę iluzję. Ja nie mogłem, szczególnie pod koniec. Wystarczało mi jednak, że ona się z tym godziła. O to przecież chodziło. Nie wierzy pan? Ja również muszę zdobyć się na to! Przecież dlatego panu to opowiadam! Tak, dlatego!

— Czy zostaliście państwo w Zurychu? — spytałem.

— Zabawiliśmy tam tydzień — odpowiedział Schwarz wracając do poprzedniego tonu.

— Mieszkaliśmy w tym mieście i kraju, jedynym w Europie, gdzie świat jeszcze się nie chwia! Pieniędzy mieliśmy na kilka miesięcy, a poza tym Helena zabrała ze sobą kosztowności, które mogliśmy sprzedać. Ponadto we Francji były jeszcze rysunki zmarłego Schwarza.

Pamiętne lato 1939 roku! Zdawało się, że sam Stwórca chciał jeszcze raz pokazać światu, czym jest pokój i jaką poniesie stratę. Dni były po brzegi wypełnione pięknem tego niezwykłego lata, pięknem, które nam, gdy opuszczaliśmy Zurych, udając się na południe Szwajcarii nad Lago Maggiore, wydawało się wprost nierealne.

Helena otrzymywała od rodziny listy z wezwaniami do powrotu. Mimo że nie zostawiła żadnej wiadomości, prócz tej, że udaje się znowu po poradę lekarską do Zurychu, rodzina, dzięki świetnie zorganizowanemu w Szwajcarii systemowi meldunkowemu, odszukała jej adres. Zasypywała ją teraz pytaniami i wymówkami. Mogła jeszcze wrócić. Trzeba było powziąć decyzję.

Mieszkaliśmy w tym samym hotelu, ale nie razem. Byliśmy małżeństwem, lecz dokumenty nasze opiewały na różne nazwiska, a ponieważ decydował przede wszystkim papierek, nie było mowy, byśmy mogli rzeczywiście żyć razem. Sytuacja była dziwaczna, niemniej wzmocniała ona uczucie, że czas cofnął się dla nas raz jeszcze. Według jednego prawa byliśmy mężem i żoną, według innego fakt ten nie istniał. Nowe otoczenie, długotrwała rozłąka, a przede wszystkim Helena, która tak bardzo się zmieniła, odkąd znalazła się tutaj — wszystko to sprawiało wrażenie stanu jakiejś nieuchwytniej iluzji, a jednocześnie nie bardzo jasnej, konkretnej rzeczywistości, osnutej jeszcze resztkami rozpraszającej się mgły marzenia, którego nie było się już w stanie zachować w pamięci. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, co jest tego przyczyną — przyjąłem to jako niespodziewany dar, jako udzielone mi zezwolenie na powtórzenie źle przeżytego fragmentu istnienia i zamienienie go w pełnię życia. Z kreta, który bez paszportu przemyca się przez granicę, przedzierzgnąłem się w ptaka nie znającego granic.

Któregoś dnia, gdy przyszedłem po Helenę, zastałem u niej niejakiego pana Krause, którego przedstawiła mi jako kogoś z niemieckiego konsulatu. Przemówiła do mnie, gdym wchodził, po francusku. Zostałem zaprezentowany jako monsieur Lenoir. Krause źle ją zrozumiał i spytał mnie w podłej francuszczyźnie, czy nie jestem synem słynnego malarza.

Helena roześmiała się.

— Monsieur Lenoir jest z Genewy — wyjaśniła. — Ale mówi też po niemiecku. Z Renoirem łączy go tylko wielki podziw dla tego artysty.

— Czy lubi pan dzieła impresjonistów? — zwrócił się do mnie Krause.

— Posiada nawet własny zbiór — powiedziała Helena.

— Mam kilka rysunków — odpowiedziałem.

Uważanie spadku po zmarłym Schwarzu za zbiór wydało mi się nowym wyskokiem

ze strony Heleny. Ale że jeden z jej wyskoków ustrzegł mnie przed obozem koncentracyjnym, włączyłem się do jej gry.

— Czy zna pan zbiory Oskara Reinharta z Wintershur? — spytał mnie uprzejmie Krause.

— Owszem — odpowiedziałem.

— Reinhart posiada jednego van Gogha, za którego oddałbym miesiąc życia.

— Który miesiąc? — spytała Helena.

— Któryż to van Gogh? — zainteresował się Krause.

— Ogród przy szpitalu wariatów. Krause uśmiechnął się.

— Wspaniały obraz!

Gość zaczął rozprawiać o innych obrazach, a kiedy wkroczył na teren Luwru, nie pozostałem mu dłużny dzięki szkole nieboszczyka Schwarza. Zrozumiałem nareszcie taktykę Heleny; chciała uniknąć tego, bym został rozpoznany jako jej mąż lub emigrant. Konsulaty nie wzdrygały się przed donosami do miejscowych władz policyjnych. Zauważyłem, że Krause usiłował zbadać, co mnie łączy z Heleną. Ona, spostrzegłszy to, zanim Krause wystąpił z tego rodzaju pytaniami, wyjaśniła, że mam żonę Lucienne i dwoje dzieci, a starsza córka doskonale gra na fortepianie.

W trakcie rozmowy oczy Krausego myszkowały po całym pokoju. Rozmowę wykorzystał, by zaproponować nam serdecznie nowe spotkanie. Na przykład maleńki lunch w jednej z niewielkich restauracji nad jeziorem? Tak mało spotyka się dziś ludzi, którzy naprawdę znają się na obrazach.

Wyraziłem zgodę równie serdecznie — ale za następnym pobylem w Szwajcarii. To znaczy za około czterech do sześciu tygodni. Zaskoczyło go to. Przypuszczał, że mieszkam w Genewie. Wyjaśniłem, że jestem genewczykiem, ale że obecnie moim stałym miejscem pobytu jest Belfort. Miasto to, jako że leży we Francji, było poza jego zasięgiem. Przy pożegnaniu Krause nie omieszkał jednak zakończyć swego przesłuchania pytaniem, gdzie wobec tego poznaliśmy się z Heleną. Tak rzadko przecież można spotkać na swej drodze sympatycznych ludzi.

Helena spojrzała na mnie.

— U lekarza, panie Krause. Ludzie chorzy są bardzo często sympatyczniejsi od — uśmiechnęła się drwiąco — zdrowych bufonów, którym nawet w mózgu wyrastają bicepsy zamiast nerwów.

Krause odpowiedział na aluzję wymownym spojrzeniem.

— Rozumiem, łaskawa pani.

— Czy według pana już nawet Renoir nie jest reprezentantem sztuki zdegenerowanej? — rzuciłem pytanie, by nie zostać zdystansowanym przez Helenę.

— Bo co do van Gogha nie ma przecież wątpliwości.

— Nie dla nas znawców — odpowiedział Krause, spojrzawszy znów na nas tajemni-

czo, wysliznął się za drzwi.

— Po co on tu przyszedł? — zwróciłem się do Heleny.

— Szpiclować. Chciałam cię przestrzec, żebyś nie przychodził, ale byłeś już w drodze. To mój braciszek go nasłał. Jak ja nienawidzę tego wszystkiego!

Upiorne ramię gestapo sięgnęło poza granice, by nam przypomnieć, że nie uszliśmy jeszcze dość daleko. Krause zaproponował Helenie, żeby przy okazji wstąpiła do konsulatu. W błahej sprawie — chodzi o nową pieczęć w paszporcie, w związku z zezwoleniem na wyjazd. Po prostu przeoczono dopełnienia tej formalności.

— Powiedział, że takie są nowe przepisy — wyjaśniła Helena.

— On łże — odrzekłem. — Wiedziałbym o tym. Emigranci dowiadują się o czymś takim natychmiast. Jeżeli tam pójdziesz, urządzią cię tak, że zostaniesz bez paszportu.

— Czy wówczas stałabym się emigrantką, jak ty?

— Tak, jeżeli odmówisz powrotu.

— Pozostanę — odpowiedziała. — Nie pójdę do konsulatu i nie chcę wracać.

Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy na ten temat. Zapadła decyzja. Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na nią, na niebo i drzewa poza jej plecami, na wąski, lśniący skrawek jeziora. Było tak wiele światła, że jej twarz wydawała się ciemna.

— Nie ponosisz za to żadnej odpowiedzialności — rzekła zniecierpliwiona. — Nie namawiałeś mnie do tego i nie masz z tym nic wspólnego. Nawet gdyby ciebie nie było, i tak bym nie powróciła. Wystarczy?

— Tak — odpowiedziałem zaskoczony i nieco skonsternowany. — Ale nie to miałem na myśli.

— Wiem dobrze, Józefie. Pozwól jednak, że nie będziemy więcej o tym mówić. Nigdy.

— Krause tu znów przyjdzie — powiedziałem. — Albo ktoś inny. Skinęła głową.

— Mogliby wysledzić, kim jesteś, i robić trudności. Jedźmy dalej, na południe.

— Do Włoch nie możemy. Gestapo jest zbyt blisko zaprzyjaźnione z policją Mussoliniego.

— Czy nie ma innego południa?

— Owszem. Tessin szwajcarski, Locarno, Lugano.

Po południu odjechaliśmy. W pięć godzin później siedzieliśmy na Piazza w Asconie przed „Locanda Svizzera”, w miejscowości, która nie o pięć, lecz o pięćdziesiąt godzin jazdy była oddalona od Zurychu. Krajobraz włoski, wszędzie pełno turystów. Zdawało się, że nikt tu o niczym innym nie myśli, jak o pływaniu, wylegiwaniu się na słońcu i o tym, by jak najwięcej wziąć z życia, dopóki jest to możliwe. Osobliwy nastrój panował w owych miesiącach w Europie. Przypomina pan sobie? — zwrócił się do mnie Schwarz.

— Tak — odpowiedziałem. — Spodziewano się cudu. Drugiego Monachium. Potem trzeciego. I tak dalej.

— Była to mieszanina nadziei i zwątpienia. Czas wstrzymał oddech. Wydawało się, że nic nie rzuca cienia poza mglistym i nierealnym widmem wielkiego zagrożenia. Wyglądało to tak, jak gdyby na jasnym niebie pojawiła się obok słońca olbrzymia, średniowieczna kometa. Wszystko się rozprężyło i wszystko było możliwe.

— Kiedy wyjechaliście do Francji? — spytałem.

Schwarz skinął głową.

— Ma pan rację. Wszystko inne było przejściowe. Francja była niespokojną ojczyzną ludzi bez ojczyzny. Wszystkie drogi prowadziły w końcu zawsze tam. Po tygodniu Helena otrzymała list od pana Krause, w którym domagał się, by niezwłocznie stawiła się w konsulacie w Zurychu albo w Lugano. Sprawa jest bardzo ważna.

Należało uciekać. Szwajcaria była za mała i za dobrze zorganizowana. Tutaj można było nas zawsze odszukać. Każdego dnia mogłem wpaść z moim fałszywym paszportem i być wydalonym z kraju. Pojechaliśmy do Lugano. Tam zgłosiliśmy się w konsulacie, nie niemieckim, lecz francuskim — po wizę. Przypuszczałem, że natkniemy się na trudności, ale wszystko poszło gładko. Otrzymaliśmy wizę turystyczną na rok. Liczyłem, że najwyżej na trzy miesiące.

— Kiedy pojedziemy? — spytałem Helenę.

— Jutro.

Ostatniego wieczoru zjedliśmy kolację w ogrodzie „Albergo della Posta” w Ronco, wiosce, która jak jaskółcze gniazdo wisiała na stoku górskim, wysoko nad jeziorem. Między drzewami połyskiwały światła, po murach skradały się koty, a z tarasu poniżej ogrodu unosił się zapach róż i dzikiego jaśminu. Jezioro i wyspa, na której za czasów rzymskich miała się wznosić świątynia Wenery, spoczywały nieporuszone, a góry na tle jasnego nieba były błękitne jak kobalt. Jedliśmy spaghetti i piccato popijając do tego wino nostrano z tych okolic. Wieczór tchnął trudną niemal do zniesienia słodyczą i melancholią.

— Jaka szkoda, że musimy odjechać — westchnęła Helena. — Zostałabym tu chętnie na całe lato.

— Jeszcze nieraz tak powiesz.

— Czy jest coś lepszego niż to, co powiedziałam? Dotychczas mówiłam przeważnie coś wręcz odwrotnego.

— Co?

— Jaka szkoda, że muszę tu pozostać.

Ująłem jej rękę. Miała cerę mocno opaloną przez słońce, które potrzebowało na to nie więcej niż dwa dni, jej oczy wydawały się przez to jaśniejsze.

— Kocham cię, Heleno — powiedziałem. — Kocham cię i tę chwilę, i to lato, które

przemianie, i ten pejzaż, i to pożegnanie, i po raz pierwszy w moim życiu siebie samego, ponieważ we mnie, jak w lustrze, widzę twoje odbicie i w ten sposób jesteś podwójnie moja. Niech będzie błogosławiony ten wieczór i ta godzina!

— Niech będzie błogosławione wszystko! Wypijmy za to. I bądź błogosławiony za to, że odważyłeś się wreszcie wyznać coś, z powodu czego przedtem zaczerwieniłbyś się ze wstydu.

— Ja czerwienię się jeszcze — powiedziałem. — Ale wewnętrznie i nie ze wstydu. Zostaw mi trochę czasu. Muszę się przyzwyczaić. Nawet pędrak potrzebuje tego, w chwili gdy po wegetacji w ciemności wydostaje się na światło i spostrzeża, że ma skrzydła. Jak szczęśliwi są tutaj ludzie! I jak pachnie dziki jaśmin. Kelnerka mówi, że tutaj całe lasy są pełne tego.

Wypiliśmy wino i wśród wąskich uliczek poszliśmy do góry starym szlakiem prowadzącym do Ascony. Cmentarz w Ronco wisiał nad drogą pełen kwiatów i krzyży. Południe, jak uwodziciel, gmatwa myśli, a fantazję przyobleka w szaty królewskie. O wiele z nią łatwiej obracać się wśród palm i oleandrów aniżeli wśród koszar i butów wojskowych. Niebo jak ogromny, szumiący sztandar pochylało się nad nami przetykane coraz większą ilością gwiazd. Zdawało się, że jest ono sztandarem rozrastającej się z każdą minutą Ameryki wszechświata. Daleko w jeziorze połyskiwały ognie kawiarni Ascony, a z dolin powiewał chłodny wiatr.

Wróciliśmy do wynajętego przez nas domku. Leżał nad jeziorem i posiadał dwa pokoje sypialne; to czyniło zadość wymogom moralności.

— Jak długo jeszcze będziemy mogli tak żyć? — spytała Helena.

— Jeżeli będziemy rozsądni, rok, a może nawet o pół roku dłużej.

— A jeżeli nie będziemy żyć rozsądnie? — powiedziała.

— Tylko to lato.

— Żyjmy zatem nierozsądnie — szepnęła.

— Lato jest krótkie.

— Właśnie! — zawołała nagle z pasją. — Lato jest krótkie. Życie jest krótkie! Ale co je skraca? Nasza świadomość, że jest krótkie. Czy koty na podwórzu wiedzą, że życie jest krótkie? Czy wie o tym ptak? Motyl? Dla nich jest ono wieczne. Bo nikt im o tym nie mówił. Dlaczego nam to powiedziano?

— Na to jest wiele odpowiedzi.

— Daj mi jedną!

Staliśmy w ciemnym pokoju. Drzwi i okna były otwarte.

— Życie stałoby się nie do zniesienia, gdyby miało trwać wiecznie.

— Sądzisz więc, że byłoby nudne? Jak życie Boga? Ależ to nieprawda. Daj następną!

— Życie przynosi więcej nieszczęść niż szczęścia i los wyświadcza nam miłosierdzie, że nie trwa ono wiecznie.

Helena jakiś czas milczała.

— Wszystko to nieprawda — rzekła wreszcie. — Tolerujemy ją, ponieważ wiemy, że ani pozostać, ani nic zatrzymać nie możemy i nikt żadnego miłosierdzia nam nie wyświadcza. Wymyśliliśmy ją. Wymyśliliśmy ją, aby mieć jakieś złudzenie.

— Czyż mimo wszystko nie wierzymy w to? — zapytałem.

— Ja nie wierzę!

— I nie masz żadnej nadziei?

— Nie! Na każdego przychodzi kolej — powiedziała z mocą i cisnęła swoje ubranie na łóżko. — Na każdego! Również na skazańca z jego nadzieją, jeżeli nawet za pierwszym razem od tego się wykręcił! Następnym razem kolej przypadnie na niego!

— Właśnie na to liczył. Tylko na to.

— Otóż to. To jest wszystko, co potrafimy! Podobnie jak świat, który łudzi się nadzieją, że wojna wybuchnie następnym razem! Ale nikt nie jest w stanie temu przeszkodzić.

— Co do wojny, tak. Co do śmierci, nie!

— Nie śmieję się! — zawołała.

Podszedłem do niej. Cofnęła się do tyłu, przez drzwi na zewnątrz.

— Co się z tobą dzieje, Heleno? — spytałem zaniepokojony.

Na dworze było jaśniej niż w mieszkaniu. Zobaczyłem, że ma twarz zalaną łzami. Nie odpowiedziała mi. Ja też nie pytałem już dalej.

— Upiłam się — odpowiedziała nareszcie. — Czy nie widzisz tego?

— Nie.

— Wypiłam za wiele wina.

— Raczej za mało. Tu jest jeszcze butelka.

Postawiłem flaszkę nostrano na kamiennym stole, stojącym na łące poza domem, i poszedłem do mieszkania po kieliszki. Kiedy wróciłem, Helena schodziła łąką w kierunku jeziora. Nie ruszyłem od razu za nią. Nalałem kieliszki do pełna; wino w bladym odblasku nieba i wody wydawało się czarne. Potem poszedłem wolno przez łąkę w dół, w kierunku palm i oleandrów rosnących nad brzegiem. Zaniepokoiłem się nagle o Helenę i odetchnąłem, gdy ją ujrzałem. Stała pochylona nad wodą, pogrążona w dziwnej rezygnacji. Zdawało się, że na coś oczekiwała, na czyjeś wołanie lub na coś, co się przed nią wynurzy z jeziora. Przystanąłem cicho w pewnej odległości, nie, żeby ją obserwować, lecz żeby jej nie przestraszyć. Po chwili głośno westchnęła i wyprostowała się. Potem weszła do wody.

Zaczęła pływać, a ja czym prędzej pobiegłem do domu po ręcznik i płaszcz kąpielowy. Potem przysiadłem na jakimś granitowym głazie i czekałem. Widziałem jej głowę z wysoko upiętymi włosami, bardzo małą na rozległej tafli wody, i pomyślałem, że była wszystkim, co posiadałem, najchętniej bym ją zawołał, by zawróciła. Jednocześnie jed-

nak miałem uczucie, że Helena walczy ze sobą o coś, co bliżej nie jest mi znane, że czyni to w tej chwili; woda była dla niej losem, pytaniem i odpowiedzią. Musi uporać się z tym sama, jak musi każdy; to niewiele, co może w takiej chwili wyświadczyć ktoś drugi, polega na tym, by być obok i okazać nieco ciepła.

Helena zatoczyła łuk, skręciła i popłynęła z powrotem wprost na mnie. Szczęśliwy ujrzałem, że się zbliża; najpierw jej ciemną głowę na fioletowym tle jeziora, a potem całą, wiotką i jasną, wynurzającą się z wody i szybko nadbiegającą ku mnie.

— Zimno i jakoś nieswojo. Pokojówki opowiadały, że na dnie jeziora pod wyspą żyje olbrzymi potwór morski.

— Największymi drapieżnikami w tym jeziorze są stare szczupaki — powiedziałem i owinąłem ją ręcznikiem. — Potworów nie ma tu żadnych. Są tylko w Niemczech, od 1933 roku. Woda w nocy jest zawsze tajemnicza.

— Jeżeli przypuszczamy, że istnieją potwory, musi coś w tym być — tłumaczyła Helena. — Przecież nie możemy myśleć o czymś, co nie istnieje.

— To byłoby najprostszym dowodem istnienia Boga.

— Nie wierzysz w to?

— Tej nocy jestem gotów uwierzyć we wszystko.

Oparła się o mnie. Odrzuciła mokry ręcznik, a ja podałem jej płaszcz kąpielowy.

— Czy wierzysz, że żyjemy kilka razy? — spytała.

— Tak — odpowiedziałem bez wahania.

Westchnęła.

— Bogu dzięki! Nie mogłabym teraz sprzeczać się z tobą na ten temat. Jestem zmęczona i zmarznięta. Zapomina się, że to jest górskie jezioro.

Miałem prócz wina butelkę grappy z „Albergo della Posta”. Była to czysta wódka z wytłocznin winogronowych, coś jak marc we Francji. Była aromatyczna, mocna, doskonała w takich wypadkach. Poszedłem po nią i nalałem pełny kieliszek. Wypiła powoli.

— Niechętnie stąd odjeżdżam — powiedziała.

— Jutro zapomnisz — odrzekłem. — Jedziemy do Paryża. Nigdy jeszcze tam nie byłaś. To jest najpiękniejsze miasto świata.

— Najpiękniejszym miastem świata jest to, w którym czujemy się szczęśliwi. Czy uważasz, że to banalne?

Roześmiałem się.

— Do diabła ze stylistyczną oględnością! — zawołałem. — Nam wciąż jeszcze brak banałów! Zwłaszcza takich. Nalać ci jeszcze?

Skinęła głową. Sobie również napełniłem szklanekę. Siedzieliśmy przy kamiennym stole na łące, dopóki nie zauważyłem, że Helena jest śpiąca. Zaniósłem ją do łóżka. Usnęła obok mnie. Patrzyłem przez otwarte drzwi na łąkę, która powoli przybierała



barwę niebieską, a potem srebrzystą. Po upływie godziny Helena obudziła się i poszła do kuchni po wodę. Wróciła z listem, który nadszedł, gdy byliśmy w Ronco. Leżał prawdopodobnie w jej pokoju.

— Od Martensa — powiedziała. Przeczytała go i odłożyła.

— Czy on wie, że jesteś tutaj? — spytałem.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Wyjaśnił mojej rodzinie, że to on doradził mi ten wyjazd do Szwajcarii w celu przebadania się i że muszę pozostać tu przez kilka tygodni.

— Czyś się u niego leczyła?

— Od czasu do czasu.

— Co to było?

— Nic szczególnego — powiedziała i schowała list do torebki, nie dając mi go do przeczytania.

— Skąd masz tę bliznę? — spytałem wskazując cienką, ledwie widoczną białą rysę biegnącą wzdłuż brzucha. Zauważyłem ją już przedtem, ale teraz na tle opalonej skóry bardziej była widoczna.

— Taka sobie niewielka operacja. Nic ważnego.

— Jaka operacja?

— Taka, o której się nie mówi. Kobiety mają niekiedy coś takiego. — Zgasiła światło.

— Jak to dobrze, że przyjechałeś po mnie — szeptała. — Nie mogłam już wytrzymać. Kochaj mnie! Kochaj i o nic nie pytaj. O nic. Nigdy!

## 10.

Szczęście — powiedział Schwarz — jakże się kurczy we wspomnieniu! Niby bielizna z lichego materiału. Tylko nieszczęście zachowuje tę właściwość, że daje się zbilansować. Po przyjeździe do Paryża wynajęliśmy pokój w małym hoteliku na lewym brzegu Sekwany przy Quai des Grands Saugustins. Hotel nie miał windy, tylko sfatygowane wiekiem schody. Pokoje były małe, lecz miały okna z widokiem na Sekwanę, na stragany z książkami na bulwarze, na Conciegerie i katedrę Notre Dame. Mieliśmy paszporty.

Byliśmy zatem normalnymi ludźmi — aż do września 1939 roku. Byliśmy ludźmi do września, obojętnie, czy paszporty nasze były autentyczne, czy fałszywe. To przestało jednak być obojętne, gdy rozpoczęła się zimna wojna.

— Z czego się tu utrzymywałeś? — zapytała mnie Helena któregoś dnia w lipcu, niedługo po przybyciu do Paryża. — Czy wolno ci było pracować?

— Oczywiście że nie. Przecież nie wolno mi było tu mieszkać. Jak więc mogłem uzyskać zezwolenie na pracę?

— Z czego więc żyłeś?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Pracowałem w różnych zawodach. I zawsze bardzo krótko. We Francji nie wszystko jest dokładnie ujęte. Stwarza to możliwość wykonywania czegoś nielegalnie. Zwłaszcza jeżeli się pracuje za psi pieniądz. Załadowywałem i wyładowywałem skrzynie w hali targowej, byłem kelnerem, handlowałem pończochami, krawatami i koszulami, dawałem lekcje niemieckiego, niekiedy coś niecoś otrzymywałem z Refugie Comite, wyprzedawałem to, co jeszcze miałem, byłem szoferem, pisałem krótkie artykuły do gazet szwajcarskich.

— Nie mogłeś pracować jako redaktor?

— Nie. Na to potrzeba zezwolenia na pobyt i na pracę. Moim ostatnim zajęciem było przepisywanie adresów. Potem zjawił się Schwarz, a z nim moje anonimowe istnienie.

— Dłaczego anonimowe?

— To było życie podsunięte mi, wypożyczone, w cieniu zmarłego i pod obcym nazwiskiem.

— Chciałabym, żebyś nazywał to inaczej — powiedziała Helena.

— Możemy nazywać to, jak się nam podoba. Podwójne życie, ukryte albo drugie. Raczej drugie. Tak to czuję. Jesteśmy jak rozbitkowie, którzy utracili pamięć o przeszłości. Nie mają więc czego żałować, bo wspomnienie zawsze zawiera w sobie mniejszą czy większą dozę żalu — albo po utracie tego, co było dobre, albo po utracie możliwości naprawienia zła w odpowiednim czasie.

Helena śmiała się.

— Kim jesteśmy obecnie? Oszustami, nieboszczykami czy duchami?

— Legalnie jesteśmy turystami. Możemy tu żyć, ale nie możemy pracować.

— Świetnie — powiedziała. — W takim razie nie pracujemy. Chodźmy na Ile St-Louis, usiądźmy w słońcu na ławce, a potem wstąpimy do „Cafe de la France” i będziemy jeść na ulicy. Czy taki program odpowiada ci?

— Bardzo dobry program — powiedziałem.

I tak zostało. O pracę już się nie ubiegałem. Byliśmy wciąż razem. Od świtu do świtu, w ciągu tygodni nierozdzielni. Czas rwał niby potok, ale tam na zewnątrz, razem z dodatkami nadzwyczajnymi i nadzwyczajnymi konferencjami, nie było go jednak w nas. Myśmy nie żyli nim. Nie było go, a więc co było? Wieczność! Jeżeli uczucie wypełnia wszystko, nie może być miejsca dla czasu. Przybiło się do innego brzegu, po tamtej stronie czasu. Czy nie wierzy pan? — Na twarzy Schwarza znowu ukazał się wyraz napięcia i rozpaczy, który zauważyłem już wcześniej. — Czy nie wierzy pan? — spytał.

Byłem znużony i wbrew mojej woli zniecierpliwiony. Wysłuchiwanie relacji o szczęściu nie jest zajmujące, tak samo jak zawiłych wywodów Schwarza na temat wieczności.

— Nie wiem — odpowiedziałem nie zastanawiając się.

— Może rzeczywiście osiąga się szczęście lub wieczność, jeżeli w tym przekonaniu następuje śmierć. W takim bowiem wypadku czas nie podlega kalendarzowym wymiarom i musi się z tym pogodzić. Jeżeli jednak życie trwa, czas nadal wbrew pozorom zachowuje w całej pełni swoje prawa.

— To nie może umrzeć? — odrzekł nagle z naciskiem Schwarz. — To musi trwać jak pomnik z marmuru! Nie jak zamek z piasku, którego z każdym dniem ubywa! Inaczej cóż by się działo ze zmarłymi, których kochamy? Proszę, niech mi pan odpowie. Przecież nie mogą ginąć po raz drugi? Gdzież mogą istnieć, jak nie w naszej pamięci? Czy nie stajemy się wówczas mimo woli mordercami. Czy mam zniszczyć jej wizerunek, zostawić go na pastwę czasu, wizerunek znany tylko mnie jednemu? Wiem, że może się rozchwiać, ulec wypaczeniu, jeżeli nie wydobędę go z siebie, nie przekażę tak, by kłamstwa mego funkcjonującego wciąż mózgu nie mogły go opleść jak bluszcz i zniszczyć! Aż w końcu pozostanie sam bluszcz i stanie się mierzwą dla pasożytniczego czasu. Wiem o tym! Muszę bronić go nawet przede mną, przed egoistycznym pragnie-

niem pozostania przy życiu, które chce go zniszczyć! Czy pan tego nie rozumie?

— Tak, panie Schwarze, rozumiem — odpowiedział ostrożnie. — To jest przecie powód, dla którego pan ze mną rozmawia... by ratować je przed samym sobą...

Złościłem się na siebie, że przedtem odpowiedziałem mu tak nieuważnie. Ten człowiek był w jakiś logiczny i poetycki sposób szalony — donkiszot, który chciał walczyć z wiatrakami czasu — zbyt wiele miałem szacunku dla jego cierpienia, by móc stwierdzić, co z tego wyniknie.

— Jeżeli mi się to uda — rzekł Schwarze i zająknął się — jeżeli mi się uda, wówczas będzie ono zabezpieczone przede mną. Wierzy pan mi przecież?

— Tak, panie Schwarze. Nasza pamięć nie jest skrzynią z kości słoniowej w jakimś zakurzonym muzeum. Jest zwierzęciem, które żyje, żre i trawi. Ona pożera siebie jak baśniowy feniks, żebyśmy mogli żyć dalej i nie zostali przez nią zniszczeni. Pan chce temu przeszkodzić.

— O to właśnie chodzi! — Schwarze spojrzał na mnie z wdzięcznością. — Pan powiedział, że trzeba umrzeć, żeby wspomnienie zostało utrwalone. A więc umrę.

— To, co powiedziałem, jest nonsensem — rzekłem znużony.

Nie znoszę podobnych rozmów. Miałem za dużo do czynienia z neurastenikami. Rozplenili się na emigracji niczym grzyby po deszczu.

— Nie będę odbierał sobie życia — odpowiedział Schwarze i raptem uśmiechnął się, jakby wiedział, o czym myślę. — Jest ono dziś potrzebne dla innych celów. Umrę tylko jako Józef Schwarze. Dziś rano, kiedy pożegnamy się, przestanie on istnieć.

Nagle zaświtała mi pewna myśl, a jednocześnie dzika nadzieja.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytałem.

— Zniknąć.

— Jako Józef Schwarze?

— Tak.

— W sensie nazwiska?

— W sensie wszystkiego, co było we mnie Józefem Szwarzem. I także tego, kim byłem poprzednio.

— A co pan chce zrobić z paszportem?

— Nie będę go już potrzebował.

— Czy ma pan inny?

— Nie, nie jest mi już potrzebny.

— Czy ma pan w nim amerykańską wizę?

— Tak.

— Czy zechciałby pan mi go odsprzedać? — spytałem, mimo że nie miałem pieniędzy.

Schwarze pokręcił przecząco głową.

— Dlaczego nie?

— Nie mogę go sprzedać — odpowiedział. — Otrzymałem go sam w prezencie, ale mogę go panu darować. Jutro rano. A pan, czy go pan potrzebuje?

— Mój Boże! — wykrztusiłem. — Czy potrzebuję! Ależ to tylko może mnie uratować. W moim nie mam amerykańskiej wizy i nie miałem pojęcia, jak ją do jutrzejszego popołudnia zdobędę.

Schwarz uśmiechnął się melancholijnie.

— Jak wszystko się powtarza. Pan przypomina mi chwile, gdy siedziałem w pokoju umierającego Schwarza i tylko myślałem o paszporcie, który miał mnie uczynić znowu człowiekiem. Dobrze, dam panu mój paszport. Będzie pan musiał zmienić fotografię. Wiek mniej więcej odpowiada.

— Trzydzieści pięć — powiedziałem.

— Będzie pan o rok starszy. Czy zna pan kogoś, kto ma do czynienia z paszportami?

— Jest tu ktoś taki — odpowiedziałem. — Zmiana fotografii nie jest rzeczą trudną. Schwarz skinął głową potakująco.

— Łatwiejsza aniżeli osoby. — Patrzył przez chwilę przed siebie. — Czy nie byłoby to zastanawiające, gdyby pan zaczął teraz raptem kochać obrazy? Tak jak zmarły Schwarz, a potem ja?

Nic na to nie poradzę, ale poczułem, jak lekki dreszcz przebiegł mi po skórze.

— To nie jest czarna magia — powiedziałem. — Po prostu paszport, kawałek papieru.

— Nie? — spytał.

— Może — odpowiedziałem. — Ale nie tak. Jak długo był pan w Paryżu?

Byłem tak wstrząśnięty obietnicą otrzymania paszportu, że nie słyszałem, co Schwarz odpowiedział. Zastanawiałem się tylko nad tym, jak zdobyć wizę również dla Ruth. Może przedstawię ją w konsulacie jako moją siostrę. Mało prawdopodobne, żeby to się udało, gdyż konsulaty amerykańskie były bardzo rygorystyczne. Musiałem jednak spróbować, chyba że znów zdarzy się jakiś cud. Po chwili doszedł do mojej świadomości głos Schwarza.

— Nagle zobaczyłem go w drzwiach naszego mieszkania w Paryżu — kontynuował swoją opowieść. — Stracił na to sześć tygodni, ale w końcu nas znalazł. Tym razem zrezygnował z pomocy urzędnika konsulatu niemieckiego i zjawił się sam przed nami w małym pokoju hotelowym, ozdobionym rycinami o tematyce miłosnej według obrazów z osiemnastego wieku... Georg Jürgens, Obersturmbannführer, brat Heleny, wielki, o szerokich barach i wadze dwustu funtów, po trzykroć tak niemiecki jak w Osnabrück, chociaż ubrany był po cywilnemu. Mierzył nas wzrokiem.

— A więc to wszystko kłamstwo — powiedział. — Domyślałem się, że coś tu mocno

śmierdzi!

— I pan się dziwi? — odpowiedziałem. — Wszędzie, gdzie się pan pokaże, zaczyna śmierdzieć. Obrzydliwie! Ponieważ pan przyszedł.

Helena roześmiała się.

— Przestań się śmiać! — warknął Georg.

— Niech pan przestanie krzyczeć — odpowiedziałem. — Bo każę pana wyrzucić!

— A dlaczego nie spróbuje pan sam tego zrobić?

— Czy wciąż jeszcze struga pan bohatera — odparłem — gdy nic panu nie grozi? Jest pan o czterdzieści funtów cięższy ode mnie. Nikt bezstronny nie zakwalifikowałby takiej pary bokserów. Czego pan sobie życzy?

— Gównu to pana, zdrajcę ojczyzny, obchodzi. Precz mi stąd! Chcę pomówić z moją siostrą!

— Zostaniesz tutaj! — powiedziała, dygocząc z gniewu, Helena. Powoli podniosła się i wzięła do ręki ciężką popielniczkę z marmuru. — Jeszcze jedno takie powiedzenie i wylądujesz to na twojej głowie! — powiedziała bardzo spokojnie.

— Tu nie Niemcy.

— Niestety, na razie nie! Ale jeszcze trochę i Niemcy tu będą.

— Niemcy tu nigdy nie będą — odparła Helena. — Co najwyżej uda się wam, chomom, zająć ją przejściowo, ale Francja pozostanie Francją. Czy przyjechałeś, by dyskutować o tym?

— Przyjechałem, by cię zabrać do domu. Czy zdajesz sobie sprawę, co cię czeka, jeżeli zastanie cię tu wojna?

— Nie za bardzo.

— Wpakują cię do więzienia.

— Spojrzałem na Helenę. Zdawało mi się, że zrobiło to na niej wrażenie.

— Może się zdarzyć, że zabiorą nas do obozu — wtrąciłem. — Będzie to jednak obóz dla internowanych, a nie koncentracyjny jak w Niemczech.

— Co się pan na tym zna! — warknął Georg.

— Wystarczająco — odrzekłem. — Siedziałem w waszym, dzięki pańskiej przysłudze.

— Glista! Był pan przecież w obozie wychowawczym — wyjaśnił Georg z pogardą. — Ale nie na wiele się to przydało. Zdezercerował pan natychmiast po wyjściu na wolność.

— Nie dbam o pańskie wyzwiska — powiedziałem. — Jeżeli ktoś wam się wymknie, popełnia dezercję.

— A cóż by innego? Miał pan przecież rozkaz nie opuszczać Niemiec!

Nie odpowiedziałem. Miałem z nim dość rozmów tego rodzaju, zanim zdobył władzę i kazał mnie za to zamknąć.

— Georg był i pozostał głupcem — powiedziała Helena. — Słabeusz z bicepsami, któremu brutalny światopogląd przemocy jest potrzebny jak gorset grubej kobiecie, gdyż inaczej by się rozplątał. Nie kłóć się z nim. Jest wściekły, bo wie, że jest słaby.

— Przestań! — odezwał się Georg bardziej pojednawczo, niż się spodziewałem. — Spakuj swoje rzeczy, Heleno. Sytuacja jest poważna. Dziś wieczorem odjeżdżamy.

— Czy aż tak poważna?

— Wojna wisi na włosku. Inaczej nie byłbym tutaj.

— Byłbyś tutaj tak czy inaczej — powiedziała Helena. — Tak samo jak przed dwoma laty w Szwajcarii, gdy nie chciałam wracać do domu. Nie odpowiada ci to, że ty, wierny członek partii, masz siostrę, która nie chce żyć w Niemczech. Wówczas dopiąłeś tego, że wróciłam. Teraz nic mnie nie skłoni do powrotu i nie chcę więcej o tym mówić.

Georg spojrział na nią zaskoczony.

— To sprawka tego nędznego łotra! To on znów cię namówił!

Helena zaśmiała się.

— Łotr... jak dawno już nie słyszałam tego. Macie rzeczywiście przedpotopowy słownik! Nie, ten łotr, mój mąż, do niczego mnie nie namówił. Wprost przeciwnie, robił wszystko, by mnie odesłać z powrotem. I miał lepsze argumenty.

— Muszę pomówić z tobą sam na sam — powiedział Georg.

— To nic nie pomoże.

— Jesteśmy przecież rodzeństwem.

— Jestem mężatką.

— To nie jest związek krwi — wyjaśnił Georg. — Ale tyś mi nawet nie zaproponowała, żebym usiadł — upomniał się, raptem obrażony niby małe dziecko. — Przyjeżdżam aż z Osnabrück, taki kawał drogi, a ty mnie tak oto przyjmujesz.

Helena roześmiała się.

— To nie jest mój pokój. Komorne płaci mój mąż.

— Proszę, niech pan usiądzie, panie Obersturmbannführer, sługo Hitlera — powiedziałem. — I niech pan idzie stąd jak najszybciej.

Georg spojrział na mnie ze złością i usiadł ciężko na kanapie cierpiącej na uwiad starczy.

— Chciałbym pomówić z siostrą w cztery oczy. Czy pan tego nie może zrozumieć? — spytał.

— A czy pan pozwolił mi mówić z nią na osobności, gdy kazał mnie pan aresztować? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— To było zupełnie co innego — warknął.

— Georg i jego Parteigenossen mają zawsze specjalne określenia dla swoich czynów — rzekła sarkastycznie Helena. — Zamykając lub zabijając ludzi o innych niż oni przekonaniach... bronią wolności myśli; wsadzając ciebie do obozu koncentracyjnego, bro-

nili zbezczeszczonego honoru ich ojczyzny... Czy nie tak, Georg?

— Jak najbardziej!

— Poza tym on ma zawsze rację — mówiła dalej. — Nigdy nie trapiły go wątpliwości ani wyrzuty sumienia. Stoi zawsze po właściwej stronie, po stronie siły. Podobnie jak jego Führer jest najspokojniejszym człowiekiem, o ile tylko inni postępują, tak jak on uważa za słuszne. Burzycielami pokoju są zawsze inni. Czy nie tak, Georg?

— Co to ma wspólnego z nami?

— Nic — powiedziała Helena. — I wszystko. Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak śmiesznie wyglądają tutaj twoje poczynania? Ty, filarze pruskiej buty, w tym mieście tolerancji? Nawet po cywilnemu nie możesz rozstać się z butami, by móc deptać innych. Ale tu nie masz władzy, na razie! Tu nie możesz nakazać mi, bym się zapisała do twojej cuchnącej potem Partei Frauenschaft! Tu nie możesz traktować mnie jak jeńca. Tu mogę oddychać i chcę oddychać swobodnie.

— Masz niemiecki paszport! Zacznie się wojna. Wtrąca cię do więzienia!

— Na razie nie! Ale i tak zawsze wolę tu aniżeli u was! Wy musielibyście mnie także zamknąć! Już nie zachowałam się jak niemowa, teraz kiedy zaczęłam oddychać słodkim powietrzem wolności, kiedy uciekałam od was, od waszych koszar, wylęgarni hołoty i od waszego okropnego wrzasku!

Podniosłem się. Nie chciałem, żeby Helena narażała się wobec tego narodowosocjalistycznego gbura, który nigdy jej nie zrozumie.

— To on jest wszystkiemu winien! — wyszczał Georg. — Ten przekłety kosmopolita! On cię tak urobił! Czekaj, chłopcze, my się jeszcze policzymy!

Podniósł się również. Mógł mnie bez trudności zwalić z nóg. Był znacznie silniejszy, w dodatku moje prawe ramię było nieco sztywne w stawie łokciowym, od czasu gdy pewnego dnia w obozie zbyt gorliwie udzielano mi lekcji patriotycznego wychowania.

— Nie waż się go tknąć! — powiedziała Helena cicho.

— Czy musisz bronić tego tchórza? — zapytał Georg. — Sam nie potrafi?

Schwarz odwrócił się do mnie.

— W przewadze fizycznej jest coś zastanawiającego. Jest ona czymś najbardziej prymitywnym i nie ma nic wspólnego z męskością i odwagą. Pistolet w ręku kaleki może ją w jednej chwili zlikwidować. Kwestia kilogramów i mięśni — nic poza tym. A mimo to czujemy się upokorzeni, spotkawszy się z brutalną siłą. Wiadomo, że prawdziwa odwaga polega na czymś innym, że w wypadku, gdyby istotnie o nią chodziło, pyszałkowaty osiłek stchórzyłby nędznie — kiedy jednak pragniemy uniknąć zmasakrowania nas na miazgę, szukamy niezręcznych i zbędnych wymówek. Czyż nie jest tak?

Kiwnąłem potakująco głową.

— Niedorzeczne, a przecież właśnie dlatego tak wyjątkowo przykre.

— Broniłbym się — powiedział Schwarz. — Oczywiście nie pozwoliłbym...



Podniosłem rękę.

— Panie Schwarz, po co to? Nie potrzebuje mnie pan o tym przekonywać!

Uśmiechnął się lekko.

— To prawda. Ale widzi pan, jak głęboko to w nas tkwi, jeżeli nawet teraz chcę się tłumaczyć. Jak zakrzywiony hak w naszym ciele. Gdzie kończy się ta odrobina męskiej próżności?

— No i co dalej? — spytałem. — Czy doszło do tego?

— Nie. — Helena raptem zaczęła się śmiać.

— Spójrz tylko na ten zakuty łeb! — zawołała. — Jemu się zdaje, że jeżeli cię po-  
bije, zwątpię do tego stopnia w twoją męskość, że ze skruchą wrócę do kraju, gdzie  
o wszystkim decyduje prawo pięści. Czy ty masz jakieś pojęcie o odwadze i tchórz-  
stwie! — zwróciła się do Georga. — On — wskazała na mnie — okazał więcej odwagi,  
niż możesz sobie w ogóle wyobrazić! Wywiózł mnie. Wrócił i wy dostał mnie stamtąd.

— Co? — Georg wlepił we mnie wzrok. — Do Niemiec?

Helena zreflektowała się.

— Mniejsza z tym. Jestem tu i nigdzie się stąd nie ruszę.

— On? Wywiózł cię? — dopytywał się Georg. — Kto mu dopomógł?

— Nikt — powiedziała Helena. — Już ci spieszo? Już znowu chciałbyś zamknąć  
kogoś, tak?

Nie widziałem jej jeszcze takiej. Pełna była odrazy, nienawiści i radosnego triumfu  
z udanej ucieczki, do tego stopnia, że drżała na całym ciele. Ze mną działo się coś po-  
dobnego. Spojrzenie tego człowieka, który wpakował mnie do obozu, spowodowało, że  
nagle niby błyskawica nawiedziło mnie co innego — gwałtowna myśl o zemście. Georg  
nie miał tu żadnej władzy. Nie mógł przywołać swojego gestapo. Był sam. Myśl ta tak  
mnie zafrapowała, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co mam robić. Nie mogłem i nie  
chciałem się bić; chciałem unicestwić istnienie — przeciąć jego egzystencję. Uosobienie  
zła nie wymaga wyroku, by je niszczyć; tym uosobieniem był Georg. Zniszczyć go  
— znaczyło nie tylko zaspokojenie zemsty, znaczyło także uratowanie wielu dziesiąt-  
ków nie znanych mi przyszłych ofiar. Poszedłem, nie myśląc o tym, co robię, w kierunku  
drzwi. Dziwiłem się, że się nie zataczam. Musiałem być sam. Musiałem się zastanowić.  
Helena obserwowała mnie bacznie. Nie mówiła nic. Georg przeglądał mi się z pogardą  
i znowu usiadł na kanapie.

— No, nareszcie! — warknął, gdy zamykałem za sobą drzwi.

Schodziłem na dół schodami. Powietrze przesiąknięte było zapachami kuchennymi  
— przyrządzano rybę na obiad. Na dole stała skrzynia włoska. Często przechodziłem  
obok, lecz nigdy dotychczas jej nie zauważyłem. Teraz oglądałem snycerskie upięsze-  
nia skrzyni tak dokładnie, jakbym miał zamiar ją kupić. Za chwilę ruszyłem jak lunatyk  
dalej. Na drugim piętrze drzwi były otwarte. W pomalowanym na jasnozielony kolor

pokoju, z otwartymi oknami, pokojówka przewracała na łóżku materace. Zadziwiająco, wszystko to widziałem dokładnie, choć jesteśmy przekonani, że w zdenerwowaniu nic się nie widzi!

Zapukałem do drzwi pewnego znajomego, który mieszkał na pierwszym piętrze. Nazywał się Fischer i kiedyś pokazywał mi rewolwer, który, jak mówił, czynił jego życie bardziej znośnym. Posiadanie broni stwarzało złudzenie, że dobrowolnie wie, gdzie on nędzny i tragiczny żywot emigranta, mogąc przecież każdej chwili położyć kres temu wszystkiemu.

Fischera nie było, ale jego pokój był otwarty. Nie miał nic do ukrywania. Wszedłem do środka, by na niego poczekać. Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, o co mi chodzi, jakkolwiek wiedziałem, że muszę pożyczyć od niego rewolwer. Oczywiście, że było nonsensem zabijać Georga w hotelu, jasno to widziałem. Naraziłbym wtedy na niebezpieczeństwo Helenę, siebie i wszystkich emigrantów, którzy mieszkali w hotelu. Usiadłem na krześle i próbowałem się uspokoić. Nie udało mi się jednak. Siedziałem i patrzyłem martwym wzrokiem przed siebie.

Naraz zaczął śpiewać kanarek w drucianej klatce zawieszony między oknami. Przestraszyłem się — nie zauważyłem go przedtem. Skoczyłem na równe nogi. Po chwili weszła Helena.

— Co tu robisz? — spytała.

— Nic. Gdzie jest Georg?

— Poszedł.

Nie wiedziałem, jak długo byłem w pokoju Fischera. Zdawało mi się, że bardzo krótko.

— Czy przyjdzie znowu? — spytałem.

— Nie wiem. Jest uparty. Dlaczego wyszedłeś z pokoju? Chciałeś zostawić nas samych?

— Nie — powiedziałem. — Nie dlatego, Heleno. Po prostu nie mogłem go już dłużej znieść. Stała w otwartych drzwiach i przyglądała mi się.

— Czy nienawidzisz mnie?

— Ja ciebie nienawidzę? — spytałem zdziwiony. — Dlaczego?

— Tak sobie pomyślałam, kiedy Georga już nie było. Gdybyś się ze mną nie ożenił, nie wycierpiałbyś tyle.

— Spotkałoby mnie to samo. Albo jeszcze coś gorszego. Możliwe, że Georg ze względu na ciebie na swój sposób liczył się ze mną. Nie pędzono mnie na przykład na naelektryzowane druty kolczaste i nie zawieszano na haku rzeźniczym... Ja miałbym cię nienawidzić! Jak mogłaś coś takiego przypuszczać!

Naraz zobaczyłem za oknami lato w całej jego zielonej krasie. W podwórzu rósł olbrzymi kasztan. Przez jego liście prześwitywało słońce. Ucisk w mózgu ustąpił nagle, jak

kociokwik w późne popołudnie. Poczułem się znów sobą. Znowu wiedziałem, że do-koła jest lato, że jestem w Paryżu i że nie można strzelać do ludzi jak do zajęcy.

— To ja raczej mógłbym pomyśleć, że mnie znienawidzisz — powiedziałem. — Lub wzgardzisz mną.

— Ja?

— Tak. Bo nie potrafiłem zapobiec twemu spotkaniu z bratem. Ponieważ ja... Zamilkłem. Przeżyte dopiero chwile wydały się nagle bardzo odległe.

— Co my tu robimy? — spytałem. — W tym pokoju?

Pobiegliśmy schodami do góry.

— Wszystko, co mówił Georg, jest prawdą — rzekłem. — Ty również powinnaś zda-wać sobie z tego sprawę. Jeżeli wybuchnie wojna, będziemy traktowani jak obywatele wrogiego państwa, ty nawet bardziej niż ja.

Helena otworzyła okna i drzwi.

— Jeszcze czuć tu żołnierskimi butami i terrorem — powiedziała. — Wpuśćmy trochę sierpnia do mieszkania. Otworzymy szeroko okna i wyjdziemy. Czy już czas na obiad?

— Tak. I czas już, byśmy opuścili Paryż.

— Dlaczego?

— Georg będzie próbował mnie zadenuncjować.

— Tak dalece nie jest domyślny. Nie wie przecież, że mieszkasz tu pod innym nazwi-kiem.

— Tak, ale w końcu zorientuje się. On wróci tu jeszcze.

— Możliwe. Wyrzucę go za drzwi. Chodźmy wreszcie.

Poszliśmy do małej restauracyjki za Palais de Justice i zajęliśmy miejsca przy jednym ze stolików ustawionych na chodniku. Zamówiliśmy Pâte de foie gras, boeuf a la mode, sałatę i camembert. Potem wypiliśmy likier i kawę. Pamiętam to wszystko dokładnie, nawet złotawą skórkę chleba i grube, poobtlukiwane spodki do kawy. Tego dnia czułem się niemal wyczerpany wypełniającą mnie głęboką, anonimową wdzięcznością. Miałem takie uczucie, jak gdybym wydostał się z ciemnego, brudnego kanału, do którego nie miałem odwagi już spojrzeć, ponieważ sam byłem częścią tego brudu, nie zdając sobie z tego przedtem sprawy. Wydostałem się i oto siedziałem przy stole przykrytym serwetą w białą i czerwoną kratę, i czułem się oczyszczony i uratowany. Słońce skąpane w winie rzucało bursztynowe refleksy, wróble ćwierkały zapamiętałe nad kupą końskiego nawo-zu, a kot właściciela przyglądał się im, syty i obojętny. Łagodny wietrzyk wiał nad spo-kojnym placem i życie wydawało się tak piękne, jak tylko można sobie wymarzyć.

Potem poszliśmy z Heleną w to letnie popołudnie paryskie koloru miodu i stanęli-śmy przed wystawą małego salonu mód. Niejeden raz zatrzymywaliśmy się już tutaj.

— Powinnaś sobie kupić nową sukienkę — powiedziałem.

— Teraz? — zdziwiła się Helena. — Tuż przed wojną? Czy to nie ekstrawagancja?

— Właśnie dlatego teraz. I właśnie dlatego, że jest to ekstrawagancja.

Ucałowała mnie.

— No dobrze!

Usiadłem spokojnie obok drzwi wiodących do przymierzalni.

Krawcowa zaprezentowała suknie i Helenę tak bardzo zaabsorbowały te sprawy, że zapomniała nieomal o mnie. Słyszałem kobiece głosy i widziałem poprzez szparę nie domkniętych drzwi, jak na brązowych nagich ramionach Heleny suknie zmieniały się jedna po drugiej — i z wolna, niepostrzeżenie ogarnęło mnie znużenie mające w sobie coś z bezbolesnej śmierci. Uprzytomniłem sobie z pewnym zażenowaniem, skąd ta chęć kupienia sukni. Rzucałem wyzwanie chwili, Georgowi, władnej bezbronności — dziecinna, nikła próba jeszcze bardziej dziecinnego pragnienia usprawiedliwienia się.

Obudziłem się, gdy nagle zjawiła się przede mną Helena w szerokiej kolorowej spódnicy i w czarnym krótkim i obcisłym swetrze.

— Jak ułał! — zawołałem. — Bierzmy to.

— Ten komplet jest bardzo drogi — zawahała się Helena.

Krawcowa zapewniała, że jest to model jakiejś wielkiej firmy — urocze kłamstwo — ale doszliśmy do porozumienia i odeszliśmy zabierając od razu ze sobą suknię. „Dobrze się stało, że kupiliśmy coś, na co nie możemy sobie pozwolić” — pomyślałem. Lekkomysłność ta rozproszyła resztki wspomnień o Georgu. Helena nie rozstawała się z nową spódnicą i bluzką przez cały wieczór. Miała je na sobie nawet w nocy, gdy podniósłszy się, staliśmy przy oknie i podziwiali miasto w księżycowym świetle, wciąż nie-nasytzeni, wciąż skąpiący sobie snu, świadomi, że niedługo już pozwolą nam się tym wszystkim zachwycać.

## 11.

Co z tego pozostało? — rzekł Schwarz. — Skurczyło się to i zszarzało jak koszula, z której wyprano krochmal. Zabrakło perspektywy czasu. To co było życiem, stało się obecnie obrazem o padających nań zmiennych światłach. To już nie jest nawet obraz, lecz płynne wspomnienie, z którego wyłaniają się luźne fragmenty — okno hotelu, nagie ramiona, przyciszone namiętne słowa, światło nad zielonymi dachami, zapach wody w nocy, księżyc na szarym murze katedry i twarz zwrócona ku nam z oddaniem, a potem inna w Prowansji, inna w Pirenejach i w końcu ta ostatnia, zastygła, której nie znaleźmy i która nagle wszystkie inne chce wyprzeć, jak gdyby wszystko, co się zdarzyło przedtem, było złudzeniem.

Podniósł głowę. Twarz jego znowu wyrażała głębokie cierpienie, daremnie próbował wywołać na niej uśmiech.

— To jest jeszcze tu — powiedział wskazując na głowę. — Ale nawet i tu jest zagrożone, jak ubranie zamknięte w szafie pełnej moli. Dlatego panu przekazuję wszystko. Pan to przechowa i zabezpieczy lepiej niż ja. Pańska pamięć nie będzie usiłowała zniszczyć tych wspomnień, by ratować pana, jak moja. Ja nie potrafię tego zachować — już teraz to ostatnie oblicze o zastygłych rysach rozrasta się, niby rak, kosztem innych, tych wcześniejszych, a przecież tamte istniały — głos Schwarza przybierał na sile — one były, to obce okropne, ostatnie...

— Jak długo mieszkał pan jeszcze w Paryżu? — spytałem.

— Georg przyszedł raz jeszcze — powiedział Schwarz. — Tym razem próbował grać na uczuciach i grozić. Nie byłem przy tym obecny. Spotkałem go wychodzącego z hotelu. Zatrzymał się przede mną.

— Ty, nędzniku! — rzekł bardzo cicho. — Doprowadzasz do zguby moją siostrę! Ale czekaj no! Już my cię złapiemy! Za kilka tygodni będziemy mieli was oboje! A wtedy, mój ptaszku, ja osobiście zatroszczę się o ciebie. Będziesz jeszcze na klęczkach mnie błagał, bym zrobił z tobą koniec... jeżeli w ogóle będziesz w stanie wydobyć z siebie głos!

— Doskonale to sobie wyobrażam — odpowiedziałem.

— Wcale sobie tego nie wyobrażasz! W przeciwnym wypadku wiałbyś stąd, gdzie

pieprz rośnie. Daję ci jeszcze jedną szansę. Jeżeli siostra moja znajdzie się za trzy dni w Osnabrück, gotów jestem niejedno zapomnieć. Za trzy dni! Zrozumiałeś?

— Pana nietrudno zrozumieć — odpowiedziałem.

— Nie? A więc zapamiętaj sobie, że moja siostra ma być z powrotem! Ty przecież także wiesz o tym, ty łotrze przekłety! Albo chcesz może twierdzić, że nic ci nie wiadomo o jej chorobie? Nie nabierzesz mnie na to!

Wytrzeszczyłem oczy. Nie wiedziałem, zmyśla czy rzeczywiście tak jest. A może bierze serio, co mu naopowiadała Helena, kiedy chciała jechać do Szwajcarii.

— Nie — odrzekłem. — Nic o tym nie wiem!

— Nie? Popatrz no! Niewygodnie, co? Ona powinna pójść do lekarza, ty łgarzu! Natychmiast! Napisz do Martensa i spytaj go! On wie dobrze!

Zobaczyłem ciemne sylwetki dwóch mężczyzn wchodzących z jasnego dnia w otwartą bramę.

— W ciągu trzech dni — szepnął Georg. — Lub wytrzęsę z ciebie twoją przekłętą duszę, centymetr po centymetrze! Wkrótce znów będę tutaj! W mundurze!

Wsunął się między tamtych dwóch, stojących już w korytarzu, i wybiegł. Obaj nieznanymi przeszli obok mnie i zaczęli wspinać się schodami do góry. Poszedłem za nimi. Helena stała w swoim pokoju przy oknie.

— Spotkałeś go jeszcze? — spytała.

— Tak. Powiedział, że jesteś chora i musisz wracać!

Pokiwała głową.

— Co mu też przyszło do głowy!

— Jesteś chora? — spytałem.

— Nonsens! Sama to wymyśliłam, by mieć pretekst do wyjazdu.

— Powiedział, że Martens także wie o tym.

Helena śmiała się.

— Oczywiście, że wie. Nie pamiętasz? Przecież pisał do mnie do Ascony. Ukartowałam to wszystko z nim razem.

— A więc nie jesteś chora, Heleno?

— Czy wyglądam na chorą?

— Nie — odrzekłem. — Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Twierdzisz więc, że nie jesteś chora?

— Nie — odpowiedziała zniecierpliwiona. — Czy mówił jeszcze o czymś z tobą?

— To, co zawsze. Znów mi groził. Czego chciał od ciebie?

— Tego samego. Nie sądzę, by chciał przyjść tu jeszcze raz.

— Po co on w ogóle tu przyjechał?

Helena uśmiechnęła się. Ale jakoś zagadkowo.

— Sądzi, że należą do niego. Muszę być mu posłuszna. Taki był zawsze. Już w dzie-

ciństwie. Bracia są często tacy. Sądzi, że powinien tak postępować z uwagi na rodzinę. Nienawidzę go.

— Z tego powodu?

— Nienawidzę go. To wystarczy. Powiedziałam mu o tym. Ale on wie, że zbliża się wojna.

Zapadło milczenie. Zgiełk samochodów na Quai des Grands Augustins, zdawało się, rósł coraz bardziej. Na tyłach Conciergerie pięła się strzeliście ku niebu iglica Sainte Chapelle. Słysząc było nawoływania gazeciarzy. Ich głosy górowały nad warkotem motorów jak krzyki mew nad szumem morza.

— Nie potrafię cię obronić — powiedziałem.

— Wiem o tym.

— Będziesz internowana.

— A ty?

Wzruszyłem ramionami.

— Prawdopodobnie również. Możliwe, że nas rozdzielią. — Kiwnęła głową.  
— Więzienia we Francji to nie sanatoria.

— W Niemczech tym bardziej.

— W Niemczech ciebie nie zamkną.

Zareagowała gwałtownie.

— Ja tu zostanę! Zrobiłeś, co do ciebie należało, ostrzegłeś mnie. Nie zaprzataj sobie tym więcej głowy. Zostanę. To nie ma nic wspólnego z tobą. Ja już nie wrócę.

Spojrzałem na nią.

— Do diabła z ostrożnością — powiedziała. — Do diabła z wystrzeganiem się! Od dawna mam tego dość.

Objąłem ramieniem jej plecy.

— To się tak lekko mówi, Heleno...

Odrzuciła mnie od siebie.

— A więc uciekaj! — krzyknęła nagle. — Uciekaj i nie obarczaj się odpowiedzialnością! Zostaw mnie samą! Odejdź! Poradzę sobie bez ciebie!

— Zmierzyła mnie wzrokiem, jak gdybym był Georgiem.

— Nie trzęś się nade mną jak kwoka nad kaczątkiem. Bo czy ty wiesz cokolwiek? Nie zdręczaj mnie swoją troską i strachem przed odpowiedzialnością! Nie wyjechałam wcale z twojego powodu. Zrozum to nareszcie. Nie z twojego powodu! Ze względu na siebie!

— Rozumiem to.

Wróciła do mnie.

— Powinieneś mi wierzyć — powiedziała łagodnie. — Nawet jeżeli wygląda to inaczej. Chciałam wyrwać się stamtąd. To przypadek, że ty przyjechałeś. Zrozum to naresz-

cie! Bezpieczeństwo to jeszcze nie wszystko.

— To prawda — przyznałem. — Ale pragnie się go, kiedy się kogoś kocha. Dla tego kogoś.

— Nie można się zabezpieczyć. Nie można — powtórzyła. — Nie zaprzeczaj. Wiem o tym lepiej niż ty. Wszystko przemyślałam. Mój Boże, jak długo myślałam nad tym! Nie mówmy już na ten temat, najmilszy. Na świecie jest wieczór i czeka na nas. Niewiele ich zostało już nam w Paryżu.

— Czy nie możesz pojechać do Szwajcarii, skoro nie chcesz wracać?

— Georg twierdzi, że hitlerowcy przemaszerują przez Szwajcarię jak przez Belgię podczas pierwszej wojny światowej.

— Georg nie jest nieomylny.

— Zaczekajmy jeszcze. A może on w ogóle kłamał? Skąd może tak dokładnie wiedzieć, co się stanie? Już raz tak było; wszyscy spodziewali się wojny, a tymczasem przyszło Monachium. Dlaczego tym razem nie może się zdarzyć jakieś drugie Monachium?

Nie wiedziałem, czy sama wierzyła w to, co mówiła, czy chciała tylko odwrócić moją uwagę. Tak chętnie przecież wierzymy w to, czego pragniemy. Tak też zrobiłem tego wieczoru. Jak mogła Francja wdawać się w wojnę? Przecież nie była uzbrojona. Musi ustąpić. Dlaczego ma walczyć z powodu Polski? Przecież o Czechosłowację nie walczyła wcale.

W dziesięć dni później granice zostały zamknięte. Wojna się rozpoczęła.

— Czy został pan natychmiast aresztowany, panie Schwarz? — spytałem.

— Pozostał nam jeszcze tydzień. Ale już nie wolno nam było opuszczać miasta. Co za ironia losu! W ciągu pięciu lat wciąż mnie wyganiano — teraz nagle nie chciano mnie wypuścić. Gdzie pan był wówczas?

— W Paryżu — odpowiedziałem.

— Czy pana również zamknięto na Velodromie?

— Oczywiście.

— Nie przypominam sobie pańskiej twarzy.

— Na Velodromie znajdowały się tłumy emigrantów, panie Schwarz.

— Czy pamięta pan ostatnie dni przed wojną, gdy w Paryżu obowiązywało już zaciemnienie?

— Tak, naturalnie. Zdawało się, że cały świat pogrążył się w ciemnościach.

— Pamięta pan — ciągnął Schwarz — małe, niebieskawe latarki. Migotały na rogach ulic jak przyciemnione szkła okularów werandujących gruzlików. Miasto nie tylko tonęło w ciemnościach, ale stało chore w tej zimnej, błękitnawej czerni, która przyprawiała o dreszcze, mimo że było lato.

Sprzedałem wówczas jeden z rysunków odziedziczonych po Schwarzu. Wołałem



mieć przy sobie więcej gotówki. Nie był to odpowiedni czas do tego rodzaju transakcji. Handlarz, do którego z tym poszedłem, zaproponował mi bardzo niską cenę. Nie zgodziłem się i zażądałem zwrotu rysunku. Sprzedałem go w końcu bogatemu filmowcowi, również emigrantowi, który uważał, że taka lokata jest lepsza niż gotówka. Ostatni rysunek złożyłem w depozycie u właściciela hotelu. Potem zjawiła się policja. Przyszli po południu, by mnie zabrać. Dwóch mężczyzn. Powiedzieli, że mam się pożegnać z Heleną. Stała przede mną pobladła, z błyszczącymi oczami.

— To niemożliwe — wyjąkała.

— Niestety — odrzekłem. — Możliwe. Po ciebie również przyjdą. Będzie lepiej, jeżeli każde z nas zachowa swój paszport przy sobie.

— Oczywiście, że tak będzie lepiej — odezwał się jeden z policjantów w doskonałej niemieczyźnie.

— Dziękuję — odpowiedziałem. — Czy mógłbym pożegnać się z żoną sam na sam? Policjant obejrzał się na drzwi.

— Gdybym zamierzał uciec, mógłbym to już uczynić dużo wcześniej — powiedziałem.

Skinął przyzwalająco głową. Wszedłem z Heleną do jej pokoju.

— Inaczej to wygląda w rzeczywistości, niż wówczas gdy rozmawialiśmy o tym, czy nie tak? — powiedziałem i wziąłem Helenę w ramiona.

Oderwała się.

— W jaki sposób będę mogła cię odnaleźć?

Rozmawialiśmy o zwykłych w takich wypadkach sprawach. Mieliśmy dwa adresy: hotelu i pewnego Francuza. Policjant zapukał do drzwi. Otworzyłem.

— Niech pan weźmie koc z sobą — powiedział. — To potrwa jeden lub dwa dni, radzę więc wziąć koc i coś do jedzenia.

— Nie mam koca.

— Ja ci przyniosę — powiedziała Helena. Zapakowała mi szybko, co było z żywności, i zwracając się do policjanta spytała: — Czy naprawdę jeden lub dwa dni?

— Najwyżej — oświadczył przedstawiciel władzy. — Sprawdzenie personaliów i coś tam jeszcze. C'est la guerre, madame. Wojna!

— Mieliśmy potem okazję jeszcze nieraz to usłyszeć. — Schwarz wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił. — Zna pan to zapewne... czekanie w komisariacie, przybycie innych emigrantów, tropionych, jak gdyby byli niebezpiecznymi nazistami, jazda w zakratowanym wozie do prefektury i wreszcie trwające w nieskończoność oczekiwanie. Czy był pan także w Salle Lepine?

Skinąłem głową. Salle Lepine było to duże pomieszczenie w prefekturze, w którym normalnie wyświetlano filmy oświatowe dla policjantów. Było tam paręset krzeseł i płócienny ekran.

— Przesiedziałem w tej sali dwa dni — powiedziałem. — Na noc odprowadzano nas do piwnicy z węglem, w której znajdowały się ławki do spania. Wyglądaliśmy rano jak kominiarze.

— Spędziliśmy wśród tych krzeseł wiele dni — ciągnął dalej Schwarz. — Byliśmy brudni i wkrótce wyglądaliśmy rzeczywiście jak przestępcy, za których nas brano. Zemsta Georga, choć spóźniona i nieprzewidywana, dosięgła nas tutaj. Adres nasz otrzymał wówczas w prefekturze. Ktoś wymyszkował to z jego polecenia. Georg nie robił tajemnicy ze swej przynależności do partii hitlerowskiej. I oto teraz wzywano mnie po cztery razy każdego dnia jako szpiega hitlerowskiego i wypytywano o moje powiązania z Georgiem i partią narodowosocjalistyczną. Z początku śmiałem się z tego, tak absurdalnie to wyglądało. Potem stwierdziłem jednak, że i absurdy mogą stać się niebezpieczne. Że tak działo się w Niemczech, dowodziło tego istnienie tam partii, ale wydawało się, że teraz i Francja, kraj rozsądku, podporządkowana sojuszowi biurokracji i wojny, również nie była pod tym względem bezpieczna. Georg, nie wiedząc o tym, pozostawił bombę zegarową; podczas wojny być podejrzanym o szpiegostwo — to nie żarty.

Każdego dnia przyprowadzano nową grupę wystraszonych ludzi. Od chwili wypowiedzenia wojny nie zginął na froncie jeszcze ani jeden człowiek — była to la drole guerre, jak określali ją dowcipnisie, a już ciążyła nad wszystkim upiorna atmosfera niechęci do indywidualności i życia ludzkim. Wojna niosła ją ze sobą jak zarazę. Ludzie nie byli już ludźmi. Zostali sklasyfikowani według kategorii wojskowych na: żołnierzy zdatnych, niezdatnych i wrogów.

Już trzeci dzień siedziałem wyczerpany w Salle Lepine. Część zatrzymanych została gdzieś odesłana. Pozostali prowadzili szeptem rozmowy, spali, jedli; warunki naszej egzystencji zostały zredukowane do minimum. To nam nie przeszkadzało; w porównaniu z niemieckim obozem koncentracyjnym mieliśmy wspaniałą komfort. Co najwyżej dostawaliśmy kopniaki lub szturchańce, jeżeli byliśmy za powolni przy wychodzeniu. Władza jest władzą, a policja policją. W każdym kraju na całym świecie.

Byłem bardzo zmęczony przesłuchiwaniami. Na podium pod ekranem siedzieli w uniformach — z bronią między rozstawionymi kolanami — nasi wartownicy. Na wpół ciemna sala, brudny, pusty ekran i my u dołu; wszystko to stanowiło jak gdyby posępny symbol życia, w którym było się tylko więźniem albo wartownikiem, i w którym co najwyżej decydowało się, jaki film chciałoby się oglądać na pustym ekranie — oświatowy, komedię czy tragedię. W końcu jednak zawsze pozostawało tylko puste płótno ekranu, spragnione serce i tępa przemoc, która działała, jak gdyby miała trwać wieki i była prawem, wówczas gdy wszystkie ekrany dawno opustoszały. „Tak już będzie zawsze — myślałem. — Nic się nie zmieni. I przyjdzie czas, kiedy się zniknie i nikt tego nie zauważy”. Była to jedna z tych godzin, które i pan zna, kiedy umiera nadzieja.

Przytaknąłem ruchem głowy.

— Godzina cichych samobójstw. Człowiek już się nie broni i prawie automatycznie, bezmyślnie, wykonuje się ostatni krok.

— Drzwi się otworzyły — ciągnął dalej Schwarz — i na salę, wraz z żółtym światłem z korytarza, weszła Helena. Niosła na ręku koszyk, parę koców i lamparci płaszcz zarzucony na ramiona. Poznałem ją po sposobie trzymania głowy i poruszania się. Przystanęła na chwilę; potem szła dalej, przeszukując wzrokiem rzędy. Przeszła tuż obok, nie zauważając mnie. Było prawie zupełnie tak samo jak wówczas w katedrze w Osnabrück.

— Heleno! — powiedziałem.

Odwróciła się. Podniosłem się wówczas i zobaczyła mnie.

— Co oni z wami zrobili? — spytała z gniewem.

— Nic szczególnego. Śpimy w piwnicy z węglem, dlatego tak wyglądamy. Jak trafiłaś tutaj?

— Zostałam uwięziona — odrzekła prawie z dumą. — Podobnie jak ty. I o wiele wcześniej niż inne kobiety. Przypuszczałam, że cię tu znajdę.

— Z jakiego powodu aresztowano cię?

— A z jakiego powodu ciebie?

— Biorą mnie za szpiega.

— Mnie również. Przyczyną był mój ważny paszport.

— Skąd wiesz o tym?

— Dopiero co byłam przesłuchiwana. Powiedziano mi. Nie jestem prawdziwą emigrantką. Kobiety emigrantki są jeszcze na wolności. Wyjaśnił mi to jakiś mały człowieczek z napomadowanymi włosami i zalatujący ślimakiem. Czy ciebie też ten sam przesłuchiwał?

— Nie wiem. Tu wszystko śmierdzi ślimakami. Chwała Bogu, żeś przyniosła koce.

— Przyniosłam, co tylko mogłam. — Otworzyła koszyk. Zadźwięczały dwie butelki. — Koniak — powiedziała. — Nie wino. Zaopatrzyłam się przede wszystkim w coś esencjonalnego. Czy dostajecie tu coś do jedzenia?

— Jak zwykle. Możemy posyłać po chleb z masłem.

Helena pochyliła się ku mnie i przyglądała się mojej twarzy.

— Wyglądacie jak jakieś zgromadzenie Murzynów. Czy nie możecie się umyć?

— Dotąd nie. Nie przez złość. Przez niedbalstwo.

Wyciągnęła koniak.

— Są już odkorkowane — powiedziała. — To ostatni gest uprzejmości naszego właściciela hotelu. Sądził, że tu nikt nie posiada korkociągu. Napij się!

Pociągnąłem porządny łyk i oddałem flaszkę z powrotem.

— Mam nawet kieliszek — powiedziała Helena. — Dopóki będzie to możliwe, bę-

dziemy zachowywać się jak ludzie cywilizowani.

Napełniła kieliszek i wypila.

— Pachniesz latem i wolnością — powiedziałem. — Jak tam na zewnątrz?

— Jak w czasie pokoju. Kawiarnie przepelnione. Niebo błękitne. — Spojrzała na rząd policjantów na podium i zaśmiała się. — Wygląda tu jak w jakiejś strzelnicy. Strzela się do jednej z figur tam u góry i jeżeli się ją przewróci, otrzymuje się w nagrodę butelkę wina lub popielniczkę.

— Tutaj figury mają karabiny.

Helena wyciągnęła z kosza pasztet.

— Od gospodarza — powiedziała — z pozdrowieniami i soczystym epitetem: La guerre, merde. To pasztet z drobiu. Mam także widelce i noże. Jeszcze raz: Niech żyje cywilizacja!

Zrobiło mi się nagle lżej na duszy. Skoro jest Helena, jeszcze nic nie jest stracone. Wojna jeszcze się nie zaczęła i kto wie? Może to prawda, że nas prędko wypuszczą.

Następnego wieczoru dowiedzieliśmy się, że nas rozdzielą. Ja zostanę przeniesiony do obozu w Colombes, a Helena do więzienia La Petite Roquette. Nic by nam nie pomogło, gdyby nawet uwierzono, że jesteśmy mężem i żoną. Małżeństwa również rozdzielano. Przez całą noc siedzieliśmy w piwnicy. Jakiś litościwy strażnik zezwolił nam na to. Ktoś przyniósł kilka świec. Część więźniów została odtransportowana, w tej chwili było nas około stu osób. W tym również emigranci hiszpańscy — oni także zostali aresztowani. Gorliwość, z jaką wyłapywano antyfaszystów w antyfaszystowskim kraju, zakrawała na farsę; można było pomyśleć, że jesteśmy w Niemczech.

— Dlaczego nas rozłączają? — zapytała Helena.

— Nie mam pojęcia. Przez głupotę, nie z okrucieństwa.

— Gdyby mężczyźni i kobiety przebywali razem w tym samym obozie, wynikałaby z tego tylko zazdrość i awantury — pouczał mnie jakiś mały stary Hiszpan.

— Dlatego was rozłączają. C'est la guerre!

Helena stała w swym lamparcim płaszczu obok mnie. Było tam kilka wygodnych wyściełanych ławek, ale oddano je czterem czy pięciu starszym kobietom, które również umieszczono tu na noc. Jedna z nich zaproponowała Helenie, by od drugiej do piątej przespała się na ławce; odmówiła.

— Jeszcze dość będę spała sama — powiedziała.

Dziwna to była noc. Szmer rozmów powoli zamierał. Ustał płacz starych kobiet; niekiedy tylko, gdy się budziły, szlochały. Potem znów zapadały w sen wchłaniający je niby czarny obłok. Świece dogasały. Helena spała oparta o mnie. We śnie objęła mnie ramionami, a kiedy się budziła, szeptała mi słowa wyrażające czułość dziecka, to znów namiętność kochanki. Słowa, których nie mówi się za dnia i które w normalnych warunkach nieczęsto powtarza się nawet w nocy. Były to słowa żalu i słowa rozłąki, które

przeciwstawiała się cała jej natura, słowa ciała i krwi, i skargi, najstarszej skargi świata: że nie możemy być razem, że zawsze jest ktoś tym pierwszym, który musi odejść, i że każdej chwili czyha na nas śmierć. Potem osunęła się z wolna z mojej piersi na kolana. Trzymałem jej głowę w mych rękach i patrzyłem, jak oddychała w blasku ostatniej świecy. Słyszałem, jak ludzie wstawali i przechodzili między zwałami węgla, by ostrożnie oddać urynę. W migotliwym świetle dopalających się świec poruszały się wokół nas wyolbrzymione cienie, tworząc coś w rodzaju dżungli widm, między którymi Helena w postaci zabłąkanego lamparta szukała ratunku przed zaklęciami prześladowających ją czarowników. Potem zgasła ostatnia świeca i zapanowała dławiąca, napełniona westchnieniami i chrapaniem, ciemność. Czułem, jak pod moimi dłońmi bije serce Heleny. Raz zerwała się z krótkim, ostrym krzykiem.

— Jestem tu, przy tobie — uspokajałem ją szeptem. — Nie bój się. Wszystko jest tak, jak było.

Położyła się z powrotem i całowała moje ręce.

— Tak, jesteś przy mnie — szeptała. — Musisz zawsze być ze mną.

— Zawsze będę z tobą — odpowiedziałem. — A jeżeli nawet na krótki czas nas rozłączą, zawsze cię znowu odnajdę.

— Przyjdiesz na pewno? — szeptała już przez sen.

— Przyjdę do ciebie, w każdym wypadku, zawsze. Zawsze! Gdziekolwiek będę, odnajdę cię. Tak jak cię odnalazłem ostatnim razem.

— Dobrze — westchnęła, potem odwróciła się, a twarz jej spoczęła w mych dłoniach jak w czaszy.

Siedziałem nieporuszony, starając się usnąć. Niekiedy czułem jej usta na moich palcach, a raz wydało mi się, że zwilżają je łzy. Lecz nie mówiłem nic. Jak bardzo ją kochałem! Nigdy chyba nie kochałem jej więcej jak owej brudnej nocy, pełnej szmerów, chrapania i charakterystycznego ciurkania spadającej na węgiel uryny. Byłem bardzo spokojny i pogrążony bez reszty w miłości. Potem przyszedł ranek ze swoją płową wczesną szarością, pochłaniającą wszystkie barwy i ukazującą nagi szkielet pod skórą. Nagle wydało mi się, że Helena umiera, i by temu zapobiec, muszę ją obudzić. Ocknęła się i otworzyła jedno oko.

— Jak myślisz, moglibyśmy dostać gorącej kawy z rogalikami? — spytała.

— Spróbuję przekupić któregoś z wartowników — odrzekłem przepełniony szczęściem.

Helena otworzyła drugie oko i zaczęła mi się przyglądać.

— Co się stało? — spytała. — Wyglądasz, jakbyśmy wygrali wielki los na loterii. Czy może chcą nas wypuścić na wolność?

— Nie — odpowiedziałem. — To ja wypuściłem siebie na wolność.

Poruszyła sennie głową, którą trzymałem w mych dłoniach.

— Czy nie mógłbyś przynajmniej przez chwilę zostawić siebie w spokoju?

— Tak — odpowiedziałem. — Będę nawet do tego zmuszony. I obawiam się, że dłużej niż przez chwilę. Nie będę miał wiele okazji do własnych rozstrzygnięć. Gdy się tak na to spojrzy, doznaje się uczucia ulgi.

— Wszystko jest radością — odrzekła Helena i ziewnęła. — Dopóki żyjemy, wszystko jest radością. Czy jeszcze tego nie wiesz? Jak sądzisz, czy mogą nas rozstrzelać jako szpiegów?

— Nie. Natomiast mogą zamknąć.

— Czy emigrantów również zamykają, mimo że nie uważają ich za szpiegów?

— Owszem. Zamykają jednych i drugich. Wszak z mężczyznami już to zrobili.

— Gdzież jest w takim razie różnica? — spytała podnosząc się nieco.

— Być może, że tamci wyjdą wcześniej na wolność.

— Jeszcze nic nie wiadomo. A może właśnie dlatego, że uważają nas za szpiegów, będą się z nami lepiej obchodzić?

— Ależ, Heleno, to nonsens.

Pokręciła głową.

— To nie jest nonsens. Mam już doświadczenie. Czy jeszcze tego nie wiesz, że w naszej epoce niewinność jest przestępstwem, za które karze się najciężej? Czy mimo że więziono cię w dwóch krajach, nie rozumiesz jeszcze tego? Ech, ty marzycielu, obrońco sprawiedliwości! Masz tam jeszcze trochę koniaku?

— Koniak i pasztet.

— Dawaj jedno i drugie. Niezwykłe to co prawda śniadanie. Ale obawiam się, że mamy przed sobą życie pełne przygód!

— Dobrze, że tak to przyjmujesz — powiedziałem i podałem jej koniak.

— Tylko tak trzeba to przyjmować. Czy chcesz umrzeć z nadmiaru żółci i niedoczynności wątroby? Jeżeli potrafisz wyłączyć pojęcie sprawiedliwości, wówczas wcale nie jest tak trudno potraktować to jako przygodę! Czy nie mam racji?

Wspaniały zapach starego koniaku i pysznego pasztetu osnuł Helenę, niby pozdrowienie szczęśliwego życia. Jadła z widocznym zadowoleniem.

— Nie domyślałem się, że może to być dla ciebie takie proste — powiedziałem.

— Nie troszcz się o mnie — rzekła szukając w koszyku białego chleba. — Dam sobie radę. Dla kobiety sprawiedliwość nie zawsze jest tak ważną sprawą.

— A co jest ważne?

— To. — Wskazała na chleb, pasztet i butelkę. — Jedz, mój miły! Przebrniemy i przez to! Po dziesięciu latach będziemy o tej wielkiej przygodzie tak często opowiadali wieczorami naszym gościom, że aż stanie się to nudne. Odżywiaj się, człowieku z fałszywym nazwiskiem. Tego, co teraz zjemy, nie będziemy musieli potem dźwigać z sobą.

— Nie chcę pana nużyć wszystkimi szczegółami — powiedział Schwarz. — Zna pan przecież pielgrzymkę uchodźców. Na stadionie w Colombes byłem tylko kilka dni. Helenę zabrali do Petite Roquette. Ostatniego dnia przyszedł na stadion właściciel naszego hotelu. Mogłem widzieć go tylko z daleka. Nie wolno było rozmawiać z odwiedzającymi. Przekazał mi niewielki torcik i dużą butelkę koniaku. W torcie znalazłem karteczkę: „Madame jest zdrowa i dobrej myśli. Nic jej nie grozi. Oczekuje paszportu do żeńskiego obozu, założonego gdzieś w Pirenejach. Listy przez hotel. Madame est formidable!” Dołączona do tego była maleńka karteczka z pismem Heleny. „Nie martw się, nic mi nie grozi. Traktuj to jako przygodę. Do rychłego... Kochanie!”

A więc udało się jej przedrzeć niedbałą blokadę. Ale w jaki sposób? Potem opowiadała mi, że na jej prośbę pozwolono jej pójść w towarzystwie policjanta do hotelu po rzekomo zostawione tam dokumenty. Tutaj wetknęła gospodarzowi karteczkę i szepnęła, jak ma ją mi dostarczyć. Policjant, który okazał się wyrozumiały dla miłości, udał, że tego nie zauważył. Oczywiście nie zabrała żadnego dokumentu, natomiast zaopatrzyła się w perfumy, koniak i kosz z jedzeniem. Lubiła zjeść. W jaki sposób potrafiła przy tym zachować smukłą sylwetkę, pozostało dla mnie na zawsze tajemnicą.

Często, kiedy byliśmy na wolności, po obudzeniu się w nocy, nie widząc Heleny obok siebie, szukałem jej tam, gdzie przechowywaliśmy nasze zapasy żywności. Stała w świetle księżycy i ogryzała zapamiętałe kość od szynki albo opychała się deserem pozostałym z wieczora. Popijała przy tym wino z butelki. Zachowywała się jak kotka, która w nocy wychodzi na łowy, by zaspokoić głód. Opowiadała mi, że wówczas, kiedy została aresztowana, poprosiła, by policjant zechciał zaczekać, aż pasztet, który właśnie gospodarz wstawił do pieca, upiecze się. Był to jej ulubiony pasztet i chciała go zabrać z sobą. Policjant pogderał, ale w końcu skapitulował. Helena wręcz oświadczyła, że nie ruszy się z miejsca bez pasztetu. Gliny unikały tego, by kogoś gwałtem ciągnąć do wozu policyjnego.

Następnego dnia załadowano nas i wywieziono w kierunku Pirenejów. Zaczęła się posępna i oburzająca odyseja strachu, komedii, ucieczek, biurokracji, zwątpienia i miłości.

## 12.

— Możliwe, że okres, w którym żyjemy, zostanie kiedyś nazwany okresem ironii — rzekł Schwarz. — Oczywiście nie chodzi tu o pełną esprit ironię osiemnastego stulecia, lecz o mimowolną ironię okresu przemocy, złośliwości i głupoty naszego niezdarnego wieku, wieku postępu technicznego i regresji kulturalnej. Hitler nie tylko głosił przed światem, lecz sam w to wierzył, że jest orędownikiem pokoju i że to inni narzucili mu wojnę. Jego wiarę podzielało pięćdziesiąt milionów Niemców. To, że tylko oni jedni w ciągu wielu lat zbroili się po zęby, podczas gdy żaden inny naród nie był przygotowany do wojny, w niczym nie zmienia ich rozumowania. Toteż nic dziwnego, że ratując się przed obozami niemieckimi wylądowaliśmy w obozach francuskich. I cóż tu można powiedzieć — naród, który walczy o swoje istnienie, zajęty jest ważniejszymi sprawami niż wyświadczenie każdemu emigrantowi pełnej sprawiedliwości. Nie byliśmy katowani, uśmierceni gazem ani rozstrzeliwani, byliśmy tylko zamknięci. O cóż więc mogliśmy wnosić pretensje?

— A kiedy spotkał się pan znów ze swoją żoną? — zapytałem.

— Nieprędko. Czy pan był w Le Vernet?

— Nie. Ale wiem, że to był jeden z najgorszych obozów we Francji.

Schwarz uśmiechnął się ironicznie.

— Gorsze czy lepsze możemy ocenić zawsze tylko poprzez porównanie. Czy zna pan historię raków, które wrzucono do garnka z zimną wodą, by je ugotować. Kiedy woda miała pięćdziesiąt stopni, raki podniosły krzyk, że nie mogą wytrzymać, i żałowały tej pięknej chwili, kiedy woda miała tylko czterdzieści stopni! Kiedy woda zagrzała się do sześćdziesięciu stopni, żałowały chwili, gdy miała pięćdziesiąt — potem przy siedemdziesięciu, kiedy miała sześćdziesiąt — i tak dalej. Obóz w Le Vernet był tysiącrotnie lepszy od najlepszego obozu koncentracyjnego w Niemczech; podobnie jak obóz bez komór gazowych jest lepszy od tego, który ma te urządzenia — tak to parabola z rakami znalazła zastosowanie w naszych czasach.

Skinąłem głową.

— Co działo się potem z panem?



— Wkrótce nastały chłody. Nie mieliśmy oczywiście dostatecznej ilości koców ani węgla. Zwyczajne niechlujstwo, ale zmartwienie trudniej się znosi, gdy człowiek marznie. Nie chcę pana zanudzać opisywaniem warunków podczas zimy w obozie. Co za ironia losu! Gdybyśmy z Heleną oświadczyli, że jesteśmy nazistami, niewątpliwie traktowano by nas lepiej. Osadzono by nas w obozie specjalnym. Podczas gdyśmy głodowali i chorowali na biegunkę, w gazetach widziałem zdjęcia internowanych jeńców niemieckich, nie emigrantów. Mieli noże i widelce, krzesła i stoły, łóżka i koce, a nawet własne stołówki. Gazety chełpiły się tym, jak przyzwoicie Francja obchodzi się z wrogami. Z nami tak nie postępowano — myśmy nie byli niebezpieczni.

Przyzwyczailem się. Wyłączyłem pojęcie sprawiedliwości, tak jak to mi doradzała Helena. Co wieczór po pracy siadałem w baraku w mym kącie — miałem trochę słomy na przestrzeni jednego metra szerokości i dwóch metrów długości — i ćwiczyłem się w tym, by traktować ten okres jako przejściowy, nie mogący mieć na mnie żadnego wpływu. Działy się fakty, na które reagowałem jak przemysłne zwierzę. Zmartwienia zabijały tak samo jak biegunka. Na luksus sprawiedliwości można było sobie pozwolić w spokojnych czasach.

— Czy pan rzeczywiście był takiego zdania? — spytałem.

— Nie — odrzekł Schwarz. — Musiałem gwałtem wpajać to w siebie. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Były to drobne niesprawiedliwości, z którymi z największym trudem mogłem się pogodzić. Nie te duże. Ciągłe na nowo trzeba było lekceważyć owe krzywdy codzienne, występujące przy przydzielaniu mniejszych kromek chleba i przy wyznaczaniu do cięższych robót, by przez swe rozgoryczenie nie narazić się na większe kłopoty.

— A więc żył pan jak przemysłne zwierzę?

— Żyłem tak, dopóki nie otrzymałem pierwszego listu od Heleny. Dotarł do mnie za pośrednictwem naszego hotelarza w Paryżu z dwumiesięcznym opóźnieniem. Jakby w dusznym, ciemnym pomieszczeniu rozwarło nagle okno! Życie, które istniało po drugiej stronie, wdarło się także tutaj.

Listy przychodziły nieregularnie. Niekiedy nie otrzymywałem ich przez szereg tygodni. Zadziwiające, jak zmieniał się w nich bądź potwierdzał obraz Heleny. Helena pisała, że powodzi się jej dobrze. Została nareszcie ulokowana w obozie, pracowała w kuchni, potem przeniesiono ją do kantyny. Dwukrotnie udało się jej przesłać mi paczkę żywnościową; jakich użyła forteli i ile ją kosztowały łapówki, nie mam pojęcia. Jednocześnie z listów jej zaczęło wyzierać jakieś inne oblicze. W jakim stopniu wiązało się to z samotnością, moimi własnymi życzeniami i opacnym przedstawieniem mojej fantazji — trudno powiedzieć. Pan wie, jak wszystko urasta niemal do karykaturalnych rozmiarów, gdy się jest więzionym i nie ma się niczego prócz kilku listów. Jedno nieopatrzne zdanie — nic nie znaczące, gdyby zostało przeczytane w innych okolicznościach

— może niby piorun zniszczyć nasze życie, inne znów może sprawić nam radość na całe tygodnie, mimo że było tak samo niezamierzone jak pierwsze. Dręczymy się nieraz miesiącami sprawami, o których ten, co o nich pisał, zapomniał natychmiast po zaklejeniu koperty. Kiedyś nadeszła również fotografia; Helena stała na tle swego baraku z jakąś kobietą i mężczyzną. Pisała, że są to Francuzi należący do dozoru obozowego.

Schwarz spojrział na mnie.

— Gdyby pan wiedział, jak studiowałem twarz tego człowieka! Pożyczyłem szkło powiększające od pewnego zegarmistrza. Nie mogłem zrozumieć, po co mi Helena przysłała to zdjęcie. Ona chyba nie zastanawiała się nad tym. A może? Nie wiem. Czy zna pan podobne uczucie?

— Każdy to przeżywał — odpowiedziałem. — Psychoza więzienna nie należy do wypadków odosobnionych.

Nadszedł właściciel knajpy z rachunkiem. Byliśmy ostatnimi gośćmi.

— Czy jest jeszcze jakiś lokal, gdzie moglibyśmy posiedzieć? — zapytał Schwarz.

Knajpiarz wymienił jakąś nazwę.

— Są tam również kobietki — dodał. — Ładne, pulchne, niedrogie...

— A czegoś innego nie ma?

— Nie, nic innego o tej porze nie znam. — Mężczyzna włożył marynarkę. — Jeżeli panowie pozwolą, mogę im towarzyszyć. Jestem już wolny. Babki tam są cwane. Postarałbym się, żeby nie oszukały panów.

— A czy bez kobiet nie można by?

— Bez kobiet? — Knajpiarz spojrział na nas zdziwiony. Potem wyszczerzył zęby w domyślnym uśmiechu. — Bez kobiet, rozumiem! Oczywiście, moi panowie, oczywiście. Niestety, tam są tylko kobiety.

Spoglądał za nami, gdy wychodziliśmy na ulicę. Był wspaniały, jeszcze bardzo wczesny poranek. Słońce na razie nie weszło, lecz słony zapach morza stał się mocniejszy. Koty przebiegały przez ulicę, a z niektórych okien dolatywał zapach kawy zmieszany z zapachem snu. Wszystkie latarnie były już pogaszone. Jakiś powóz toczył się niewidzialnie o kilka uliczek dalej, a łodzie rybackie kwitły niby czerwone i żółte nenufary na niespokojnej tafli basenu portowego. W dole spoczywał biały i spokojny o tej porze statek, arka, ostania nadzieja. Schodziliśmy w dół ku niemu...

Burdel okazał się dość obskurną budą. Kilka niechlujnych i opasłych kobiet grało w karty i ćmiło papierosy. Próbowaly bez widocznej ochoty nawiązać z nami kontakt, lecz wkrótce dały spokój. Popatrzyłem na zegar. Schwarz zauważył to.

— To już nie potrwa długo — powiedział. — A konsulatów też nie otwierają wcześniej niż przed dziewiątą.

Wiedziałem o tym tak samo jak on. On natomiast nie wiedział, że słuchać i opowiadać to nie jest to samo.

— Rok wydaje się czymś niezmiernie długim — podjął na nowo Schwarz. — A potem nagle nie wydaje się tak długi. Pewnego razu, w styczniu, gdy wysłano nas poza obręb obozu na roboty, próbowałem uciec. Po dwóch dniach odnalazł mnie osławiony porucznik C., zbił szpicrutą po twarzy i wpakował na trzy tygodnie o chlebie i wodzie do pojedynczej celi. Przy następnej próbie schwytano mnie natychmiast. Dałem więc temu spokój; ucieczka była zresztą prawie niemożliwa bez kartek żywnościowych i odpowiednich dokumentów. Każdy żandarm mógł złapać mnie bez trudu. A do obozu Heleny droga była daleka.

Sytuacja zmieniła się, gdy w maju wojna rozpoczęła się na dobre i w cztery tygodnie było już po niej. Znaleźliśmy się na terenie nie okupowanym, ale ktoś doniósł, że za kilka dni przybędzie gestapowska komisja w celu skontrolowania obozu. Domyśla się pan, jaka w związku z tym powstała panika?

— Tak — powiedziałem. — Panika, samobójstwa, petycje o wcześniejsze zwolnienie, opieszałość biurokracji utrudniająca ludziom opuszczenie obozu przed zjawieniem się tamtych. Ale nie zawsze. Zdarzały się obozy, w których rozsądny komendant kazał emigrantom uciekać na własną odpowiedzialność. Niektórzy z nich zostali potem ujęci w Marsylii lub na granicy.

— W Marsylii! Tam byliśmy już z Heleną zaopatrzeni w truciznę — rzekł Schwarz. — Maleńkie pigułki. Posiadanie ich dawało jakiś fatalistyczny spokój. Nabyłem je od aptekarza w obozie. Dwie pigułki. Nie wiem dokładnie, co to było, wierzyłem mu, że po przełknięciu przynoszą natychmiastową i prawie bezbolesną śmierć. Twierdził, że trucizny wystarczy dla dwóch osób. Sprzedał mi, bo obawiał się, że sam ją zażyje przed świtem, kiedy to ogarniała go największa rozpacz.

Czuliśmy się jak zwierzyzna przeznaczona do odstrzału. Klęska przyszła zbyt nagle. Nikt nie spodziewał się tego tak prędko. Nie wiedzieliśmy wówczas, że Anglia nie zgodzi się na zawarcie pokoju. W naszych oczach wszystko było stracone — Schwarz uczynił znużony ruch ręką — a i teraz jeszcze nie jesteśmy pewni, czy nie jest wszystko stracone. Zostaliśmy zepchnięci do skrawka wybrzeża. Przed nami jest tylko morze.

— „Morze — myślałem. — I statki, które wciąż jeszcze po nim pływają.”

W drzwiach ukazał się właściciel knajpy, w której byliśmy przed chwilą. Pozdrowił nas szyderczo w sposób przypominający wojskowe salutowanie. Potem zaczął coś szeptać do opasłych prostytutek. Jedna z nich o potężnym biuście podeszła do nas.

— Jak wy to właściwie robicie? — spytała.

— Co takiego?

— To przecież cholernie musi boleć.

— Ależ co takiego? — pytał Schwarz z roztargnieniem.

— Miłość marynarza na pełnym morzu — odkrzyknął od drzwi opiekun śmiejąc się i szczerząc zęby, tak jakby miały lada moment mu wypaść.

— Ten tam naiwny filozof okłamał panią — powiedziałem do kobiety, która wniosła ze sobą zdrowy zapach oliwy, czosnku, cebuli, potu i życia. — Nie jesteśmy homoseksualistami. Obaj uczestniczyliśmy w wojnie abisyńskiej i zostaliśmy przez krajowców wykastrowani.

— Czy jesteście Włochami?

— Byliśmy — sprostowałem. — Kiedy jest się wykastrowanym, nie należy się do żadnej narodowości. Jest się kosmopolitą.

Jakiś czas zastanawiała się nad tym.

— Tu es comique — powiedziała wreszcie z powagą i ruszyła kołysząc olbrzymim zadem z powrotem do drzwi, gdzie natychmiast została namacalnie uhonorowana przez patrona.

— Dziwny jest stan owej beznadziejności — powiedział Schwarz. — Jak mocno tkwi w nas instynkt życia! Nawet wówczas, gdy znika już świadomość własnego ja, pozostaje uporczywa chęć przetrwania. Ogarnia nas uczucie podobne do tego, jakie przeżywają marynarze dopadnięci przez tajfun: wśród bezwietrznej ciszy tkwią w samym jądrze wiru wodnego. Człowiek poddaje się — jak chrabąszcz, który udaje, że jest martwy — żyje się jednak dalej. Rezygnuje się jedynie z wszelkich dążeń, prócz jednego — dążenia do przetrwania. Jest się czujnym, skoncentrowanym i całkowicie biernym. Bezwietrzna cisza, podczas gdy wokół jakby za okrągłym murem szaleje tajfun. Nagle znika strach i zwątpienie, na ten luksus nie można już sobie pozwolić. Wysilek zużyty na to osłabiłby ostatni szaniec — wolę życia — dlatego musi się go odrzucić. Jest się tylko okiem i świadomą, bierną gotowością. Szczególna, beznamiętna jasność rozświetla nasz umysł. W owych dniach doznawałem niekiedy uczucia, że stan taki jest właściwy chyba jogom indyjskim, którzy również wszystko to, co jest związane z ich własnym „ja”, odtrącają, by...

— Szukać Boga? — spytałem na wpół ironicznie.

Schwarz potrząsnął głową.

— Znaleźć Boga. Szukamy go zawsze. Ale dzieje się to tak, jakbyśmy chcieli pływać i skakali do wody w ubraniu i z różnym innym kramem. Trzeba być nagim. Tak nagim jak wówczas, kiedy ciemnej nocy opuszczałem obcy, bezpieczny kraj, by wrócić do niebezpiecznej ojczyzny; gdy przeprowałem się przez Ren jak przez rzekę losu, wąski, oświetlony księżycem skrawek życia.

Będąc w obozie często wracałem myślą do owej nocy. Nie osłabiało mnie to, wręcz przeciwnie — wzmacniało. Uczyniłem to, czego żądało ode mnie życie. Nie załamałem się. Otrzymałem drugie, darowane mi przez niebiosa, życie z Heleną i jeżeli coś doprowadzało mnie do rozpacz i niekiedy zakłócało mój sen, to było co innego: Paryż, Helena i nieuchwytnie uczucie, że nie jestem sam. Gdziekolwiek by żyła Helena, może nawet z innym mężczyzną — najważniejsze, że żyła. Jest to przeogromne bogac-

two w czasach takich jak nasze, kiedy człowiek ma mniejszą wartość niż mrówka pod butem.

Schwarz umilkł.

— I czy znalazł pan Boga? — zapytałem.

Pytanie było brutalne, ale wydało mi się nagle tak ważne, że mimo to je zadałem.

— Twarz w lustrze — odpowiedział Schwarz.

— Czyja twarz?

— Zawsze ta sama. Czy zna pan swoją? Tę, z którą pan przyszedł na świat?

Spojrzałem na niego zmieszany. Już raz użył tego samego określenia.

— Twarz w lustrze — powtórzył. — I twarz, która spogląda spoza pańskich pleców, a za nią znowu inna — naraz jest pan odbiciem, którego kopie ciągną się w nieskończoność. Nie, nie znalazłem Go. Ale co byśmy z Nim poczęli, gdybyśmy Go znaleźli? Musielibyśmy nie być ludźmi, żeby tego dokonać. Szukać... znaczy zupełnie co innego.

Schwarz uśmiechnął się.

— Zresztą nie miałem później nawet czasu ani sił na to. Byłem za bardzo zgnębiony. Myślałem tylko o tym, co kochałem. Tym żyłem. Nie o Bogu, nie o sprawiedliwości. Krąg się zamknął. Była raz taka sytuacja nad rzeką. Powtórzyła się. I znowu zależało wszystko tylko ode mnie. Nie jest się w stanie prawie nic zrobić, gdy się coś takiego przeżywa. Zresztą nie jest to konieczne; rozważa spowodowałaby tylko zamieszanie. Sprawy toczą się same. Mój powrót do kraju ze śmiechu wartej izolacji nastąpił na zasadzie anonimowego prawa zdarzania się. Wszystko, co się ma zrobić, ogranicza się do tego, by być gotowym do wyruszenia, gdy niewidzialna dłoń trąci cię lekko w plecy. Jeżeli się temu poddasz i nie stawiasz pytań, jesteś bezpieczny. Pan myśli prawdopodobnie, że plotę jakieś mistyczne bzdury.

— Znam to również — odparłem. — Dzieje się tak właśnie w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa. Znałem ludzi, którzy doświadczyli tego podczas wojny. Wyszli nagle bez powodu, ale i bez zastanowienia, ze schronu, który w minutę później stał się masowym grobem. Nie wiedzieli, co nimi kierowało: schron był przecież według wszelkich reguł zdrowego rozsądku sto razy pewniejszy aniżeli nie zabezpieczony kawałek rowu, w którym się znaleźli.

— Dokonałem czegoś niemożliwego — rzekł Schwarz. — Zdawało się, że jest to czymś najnaturalniejszym w świecie. Spakowałem moje rzeczy i pewnego poranku wyszedłem z obozu na gościniec. Nie próbowałem tak jak inni uciec nocą. W pełnym świetle jasnego poranka ruszyłem w kierunku bramy. Wyjaśniłem wartownikom, że zostałem zwolniony, sięgnąłem do kieszeni, dałem obydwu żołnierzom trochę pieniędzy i powiedziałem, żeby wypili po jednym głębszym za moje zdrowie. Zdawało się nie do pomyślenia, by ktoś był aż tak bezczelny i ważył się bez zezwolenia otwarcie opuścić obóz. Toteż obydwaj umundurowani synowie chłopscy byli tak zaskoczeni, że nawet nie

pomyśleli o tym, by mnie zapytać o dowód na piśmie.

Szedłem bez pośpiechu wzdłuż białej drogi. Nie ważyłem się biec, mimo że po dwudziestu krokach miałem wrażenie, że znajdująca się za mną brama zamieniła się w potwornego smoka i lada moment wyciągnie on po mnie swe łapska. Spokojnie schowałem paszport zmarłego Schwarza, którym uprzednio pomachałem przed oczyma wartowników, i poszedłem dalej. Pachniało rozmarynem i tymiankiem. Był to zapach wolności.

Po chwili pochyliłem się, jak gdyby w zamiarze poprawienia sznurowadeł u buta. Spojrzałem poza siebie. Ulica była pusta. Poszedłem szybciej.

Nie posiadałem ani jednego z mnóstwa żądanych wówczas dokumentów. Znając dość biegle język francuski postanowiłem udawać Francuza mówiącego dialektem, na co w tym czasie, kiedy ludność przemierzała w wędrówkach cały kraj, nie zwracano uwagi. Wsie i miasta przepełnione były uciekinierami z okupowanych obszarów, drogi roiły się od najprzeróżniejszych środków lokomocji, wózków z pościelą, sprzętem domowym i od dezertorów.

Doszedłem do niewielkiej gospody z ogródkiem i stojącymi w nim stolikami oraz znajdującym się nieco dalej ogrodem warzywnym z drzewami owocowymi. Główna izba w gospodzie była wyłożona kamiennymi płytami, pachniała starym winem, świeżym chlebem i kawą.

Obsługiwała mnie bosa dziewczyna. Rozpostarła na stole obrus i postawiła przede mną dzbanek, filiżankę, talerz, miód i chleb. Była to najwspanialsza uczta; czegoś takiego nie oglądałem od mojego pobytu w Paryżu.

Na dworze poza gęstym żywopłotem przesuwiał się rozbity świat. Tutaj w cieniu drzew kryła się nikła i chwiejna cząstka pokoju z brzęczeniem pszczoł i złotym blaskiem późnego lata. Zdawało mi się, że mógłbym chłonąć go na zapas, jak wielbłąd wodę przed wyruszeniem w dłuższą podróż przez pustynię. Zamknąłem oczy, chłonałem w siebie blask owego poranka i piłem.

### 13.

Na dworcu stał żandarm. Zawróciłem. Mimo że nie przypuszczałem, by mogli już zauważyć moją ucieczkę, postanowiłem tym razem nie skorzystać z kolei. Tak mało się o nas dba, gdy jesteśmy w obozie, i tak cenni stajemy się nagle, gdy uciekniemy. Wiadomo, że w obozie, jak długo w nim przebywamy, żałuje się nam kawałka chleba, natomiast niczego się nie żałuje, by nas schwytać ponownie i w tym celu zmobilizować całą kompanię.

Przygodną ciężarówką udało mi się przejechać spory szmat drogi. Szofer przeklinał wojnę, Niemców, rząd francuski, amerykański i Boga. Podzielił się jednak ze mną swoim śniadaniem, zanim wysiadłem z wozu. Potem szedłem z godzinę gościńcem, aż wreszcie dotarłem do następnej stacji kolejowej. Ponieważ doświadczenie mnie nauczyło, że lepiej się nie ukrywać, jeżeli się nie chce wzbudzić podejrzeń, podszedłem do kasy i zażądałem biletu pierwszej klasy do następnej miejscowości.

Kasjer zwlekał z wydaniem biletu. Przypuszczałem, że zamierza spytać mnie o dokumenty, uprzedzając więc pytanie, zwymyślałem go. Urzędnik zdetonował się, stracił pewność siebie i wydał mi bilet. Poszedłem do kawiarni i tam czekałem aż do nadejścia pociągu, który przyjechał z godzinnym opóźnieniem.

W ciągu trzech dni udało mi się dotrzeć do obozu Heleny. Żandarma, który zagroził mi drogę, ofuknąłem po niemiecku, podsuwając mu jednocześnie pod nos paszport. Cofnął się przestraszony i nawet ucieszył się, gdy dałem mu wreszcie spokój. Austria należała do Niemiec, a paszport niemiecki działał jak wizytówka gestapo. Zdumiewające, do jakiego stopnia był mi pomocny paszport zmarłego Schwarza. O wiele bardziej niż jakiś człowiek — ten zadrukowany kawałek papieru!

Aby dotrzeć do obozu, trzeba było wspinać się pod górę między krzakami janowca, wrzosami, rozmarynem i przez las. Dobrnąłem po południu. Obóz był otoczony drutem kolczastym, ale nie robił tak ponurego wrażenia jak Le Vernet, może dlatego, że był to obóz kobiety. Kobiety prawie wszystkie miały na głowach kolorowe chustki związane na wzór turbanów i ubrane były w różnobarwne sukienki; stwarzało to niemal beztroski nastrój. Przyglądałem się im ukryty w lesie.

Nagle towarzysząca mi dotychczas odwaga opuściła mnie. Spodziewałem się okropnej rozpacz, w której pogrążę się jak jakiś Don Kichot lub święty Jerzy, teraz zdawało się, że wcale tu nie jestem potrzebny. Obóz wyglądał, jak gdyby był z siebie zadowolony. Jeżeli była tu Helena, mogła już dawno o mnie zapomnieć.

Pozostałem w ukryciu i zastanawiałem się, co mam czynić dalej. O zmroku zbliżyła się do ogrodzenia jakaś kobieta. Potem przyszło więcej. Wkrótce zebrało się ich tam dość dużo. Stały w milczeniu, nie rozmawiając prawie z sobą. Oczy ich nie widziały nic prócz drutu kolczastego. Tego, co chciałyby oglądać, tam nie było — wolności. Niebo stawało się fioletowe, wzgórze z wolna osnuwał mrok pełznący z doliny, tu i ówdzie zapalały się światła. Kobiety zamieniały się w bezbarwne cienie pozbawione kształtów. Poza drutami kołysały się w nieregularnym rzędzie ich blade, niewyraźne twarze ponad spłaszczonymi, ciemnymi sylwetkami.

Wreszcie przerzedziły się szeregi; kobiety jedna po drugiej znikaly w głębi obozu. Godzina rozpacz minęła. Dowiedziałem się później, że owa pora dnia taką nazwę nosiła w obozie.

Tylko jedna kobieta stała jeszcze przy ogrodzeniu. Ostrożnie zbliżyłem się.

— Proszę się nie bać — odezwałem się po francusku.

— Bać się? — powiedziała po chwili. — Czego?

— Chciałbym panią o coś prosić.

— Szkoda prosić, ty świnio — odpowiedziała. — Czy nie macie innych myśli w waszych głupich głowach?

Popatrzyłem na nią zdziwiony.

— O co pani chodzi?

— Nie udawaj głupszego, niż jesteś! Idź do diabła z twoimi przeklętymi zachciankami. Nie ma to kobiet we wsi? Musicie tu się pętać, wy nędzne psy?

Zrozumiałem, co miała na myśli.

— Pani się myli — powiedziałem. — Muszę koniecznie porozumieć się z pewną kobietą, która jest tu w obozie.

— Wy wszyscy musicie! Dlaczego z jedną! Dlaczego nie z dwiema? Albo nie z wszystkimi?

— Niechże pani posłucha! — powiedziałem. — To jest moja żona. Chcę pomówić z żoną!

— Czy ona także? — kobieta śmiała się. Nie wyglądała na zagniewaną, raczej na znużoną. — Nowy kawał! Co tydzień wpada wam coś innego!

— Jestem tu po raz pierwszy!

— To dlatego jesteś taki żwawy. Idź do diabła!

— Ale niechże pani zrozumie — powiedziałem tym razem po niemiecku. — Chciałbym, żeby pani przekazała pewnej kobiecie wiadomość, że jestem tutaj. Jestem



Niemcem. Siedziałem również w obozie, w Le Vernet.

— Popatrzcie tylko — powiedziała spokojnie kobieta. — Umie także po niemiecku. Przeklęty Alzatzczyk! Niech cię syfiliś stoczy, ty łajdaku! Ciebie i twoich przeklętych kolegów, którzy zjawiają się tu wieczorami! Niech wam rak zeżre każdemu z osobna, to, co nam tu podsuwacie! Czy w ogóle nie macie sumienia, wy wieprze? Czy wy nie wiecie, co tutaj wyczyniacie? Zostawcie nas w spokoju! Zostawcie nas w spokoju! — powiedziała głośno i twardo. — Czy tego, że nas pozamykaliście, jeszcze wam nie dosyć? Zostawcie nas w spokoju! — krzyczała.

Usłyszałem, że nadchodzą inne, i dałem susa w ciemność. Noc spędziłem w lesie. Nie wiedziałem, dokąd iść. Ułożyłem się między pniami i patrzyłem, jak gasną światła i nad lasem wschodzi księżyc, blady jak jasne złoto, wśród obłoków, mgieł i chłodu nadciągającej jesieni. Rankiem zszedłem z powrotem na dół. Znalazłem tam kogoś, kto wymienił mi marynarkę na niebieskie ubranie montera.

Wróciłem znów do obozu. Wartownikom wyjaśniłem, że muszę sprawdzić przewody elektryczne. Mój francuski był na tyle dobry, że nie wzbudził podejrzeń, i zostałem wpuszczony bez dłuższych rozmów. Kto by zresztą chciał dobrowolnie pchać się do obozu?

Przemierzyłem ostrożnie obozową ulicę. Kobiety mieszkały w budynkach podobnych do dużych pudeł przedzielonych wewnątrz zasłonami. Baraki posiadały parter i pierwsze piętro. Wejście było pośrodku, a od niego w obie strony ciągnęły się kłitki z zasłonami. W wielu z nich, otwartych, można było dojrzeć urządzenie. Przeważnie rzeczy najniezbędniejsze, tylko w niektórych jakiś obrus, karty pocztowe, jakaś fotografia stwarzały nieco przytulniejszy nastrój, mimo ubóstwa otoczenia. Szedłem przez na wpół ciemne baraki, kobiety przerywały pracę i patrzyły na mnie.

— Ma pan jakieś wiadomości? — spytała mnie któraś z nich.

— Tak, dla jednej... Nazywa się Helena. Helena Baumann.

Kobieta namyślała się. Podeszła druga.

— Czy nie jest to czasem nazistowski ścierwo, co pracuje w kantine? — spytała.

— Ta, co się łajdaczy z lekarzem?

— Ona nie jest nazistką — powiedziałem.

— Ta w kantine również nie — odpowiedziała pierwsza kobieta. — Zdaje się, że ma na imię Helena.

— Czy tu są hitlerowcy? — spytałem.

— Oczywiście. Wszyscy są tutaj pomieszani. A gdzie są teraz Niemcy?

— Nie widziałem żadnego.

— Ma przyjechać komisja wojskowa. Czy słyszał pan coś o tym?

— Nie.

— Przyjeżdżają, by nazistów uwolnić, gestapo ma być również. Wie pan coś o tym?

— Nie.  
— Niemcy nie powinni się interesować strefą nie okupowaną.  
— Oni chcieliby traktować nas jak tamtych.  
— Pan nic o tym nie wie?  
— Plotki, nic więcej.  
— Od kogo jest ta wiadomość dla Heleny Baumann?  
— Od jej męża. Jest na wolności — odpowiedziałem po chwili wahania.  
— Ten to dopiero się zdziwi! — roześmiała się ta druga.  
— Czy mógłbym pójść do kantyny? — spytałem.  
— A dlaczego by nie? Czy pan nie jest Francuzem?  
— Jestem Alzatczykiem.  
— Ma pan stracha? — spytała ta druga. — Dlaczego? Czy pan coś ukrywa?  
— Czyż dzisiaj znajdzie się jeszcze ktoś, kto nie miałby nic do ukrycia?  
— Może pan spokojnie powtórzyć to jeszcze raz — odpowiedziała pierwsza kobieta.

Druga nie odezwała się. Przyglądała mi się podejrzliwie, jakbym był szpiegiem. Natarczywy konwaliowy zapach perfum otaczał ją niby chmura.

— Dziękuję. Gdzie jest kantyna? — spytałem.

Pierwsza z kobiet opisała mi dokładnie drogę. Szedłem przez półmrok baraków, jakby mnie kto popędzał szpicrutą. Po obu stronach ukazywały się twarze i śledzące mnie oczy. Czuję się tak, jakbym przybył do królestwa amazonek. Wreszcie znalazłem się na podwórzu, w słońcu i mdłej więziennej woni, wiszącej nad każdym obozem niby szara powłoka.

Szedłem jak ślepiec. Nigdy nie zastanawiałem się nad wiernością czy niewiernością Heleny. Było to zbyt marginesowe, zbyt mało znaczące; za wiele się działo, najważniejsze było ocalić życie, inne sprawy nie istniały prawie wcale. Jeżeli nawet cierpiałem z tego powodu w Le Vernet, to potem stało się to abstrakcją, myślą, wyobrażeniem wykoncepowanym przeze mnie samego, znikającym i powracającym znowu.

Obecnie jednak znalazłem się między jej towarzyszkami. Widziałem je wczoraj wieczorem tam przed drutami kolczastymi i widziałem je dziś tutaj — głodne kobiety pozostawione od wielu miesięcy same sobie i mimo niewoli zachowujące swą godność, a nawet jeszcze bardziej z tego powodu okrzepłe. Co im zresztą pozostało?

Pomaszerowałem w kierunku baraku, w którym mieściła się kantyna. Jakaś blada kobieta o rudych włosach stała wśród więźniarek kupujących artykuły żywnościowe.

— A pan, czego sobie życzy? — zwróciła się do mnie.

Zmrużyłem oczy i uczyniłem znaczący ruch głową. Potem stanąłem z boku.

Ruda szybkim spojrzeniem zlustrowała swoje klientki.

— Za pięć minut — szepnęła. — Złe czy dobre?

Zrozumiałem, że jej chodziło o to, jakie przynosiłem wieści. Wzruszyłem ramionami.

— Dobrze — powiedziałem i wyszedłem z kantyny.

Po chwili ruda sprzedawczyni wyszła i skinęła na mnie.

— Trzeba być ostrożnym — wyjaśniła. — Dla kogo przyniósł pan wiadomości?

— Dla Heleny Baumann. Czy jest tu taka?

— A dlaczego pan pyta?

Milczałem. Widziałem nos w piegach i niespokojne oczy.

— Czy ona pracuje w kantynie? — spytałem.

— A panu co do tego? — odpowiedziała pytaniem. — Co to... wywiad? Przez monter? Dla kogo?

— Dla jej męża.

— Nie tak dawno o to samo pytał mnie ktoś inny. Również chodziło o jedną z kobiet. Po trzech dniach zabrano ją. Umówiliśmy się, że da nam znać, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Wiadomości tej, fałszywy monterze, nie otrzymaliśmy nigdy!

— Jestem jej mężem — powiedziałem.

— A ja jestem Greta Garbo.

— Po co pytałbym, gdyby było inaczej?

— O Helenę Baumann — odpowiadała ruda — zapytywano często. Jacyś podejrzani osobnicy. Chce pan wiedzieć prawdę? Helena Baumann nie żyje. Zmarła przed dwoma tygodniami i została pochowana. Ma pan prawdę. Przypuszczam, że przynosi pan jakieś wiadomości z zewnątrz.

— Ona nie żyje?

— Nie żyje. I niech już pan da spokój.

— Ona nie umarła — powiedziałem. — W barakach o tym lepiej wiedzą.

— W barakach plotą bzdury!

Popatrzyłem na rudowłosą niewiastę.

— Czy zechciałaby pani doręczyć jej list? Ja pójdę sobie, ale muszę zostawić list.

— Po co?

— Jak to po co? List nic nie znaczy. On ani nie zabije nikogo, ani nie wyda.

— Nie? — powiedziała. — Jak długo żyje pan na świecie?

— Nie wiem. Robiłem to detalicznie i często przerywano mi. Czy może mi pani sprzedać ołówek i kawałek papieru?

— Tam ma pan jedno i drugie — wskazała na mały stoliczek. — Po co pan chce pisać do zmarłej?

— Ponieważ dziś zdarza się to często.

Napisałem na niewielkim skrawku: „Heleno, jestem tutaj. Poza obozem. Dziś wieczorem. Przy drucie kolczastym. Czekam.”

Nie zakleilem listu.

— Czy odda go pani? — spytałem.

— Wariatów jest dziś niemało — odpowiedziała.

— Tak czy nie? — Przeczytała podany przeze mnie list. — Tak czy nie? — powtórzyłem.

— Nie — powiedziała.

Położyłem list na stole.

— Niech go pani przynajmniej nie zniszczy.

Nic nie odpowiedziała.

— Ja tu wrócę i zabiję panią, jeśli pani przeszkodzi, by list ten dostał się do rąk mojej żony — rzekłem.

— I co jeszcze? — spytała rudowłosa patrząc na mnie zielonymi oczami tkwiącymi w zniszczonej twarzy.

Skierowałem się do drzwi.

— Czy jej tu nie ma? — spytałem i zawróciłem jeszcze raz.

Kobieta popatrzyła na mnie, lecz nic nie odpowiedziała.

— Będę jeszcze jakie dziesięć minut na terenie obozu — oznajmiłem. — Wrócę po odpowiedź.

Szedłem ulicą obozową. Nie wierzyłem tej kobiecie. Chciałem odczekać jakiś czas i wrócić do kantyny, by poszukać Heleny. Mistyczny płaszcz niewidzialnej opieki nagle przestał działać. Poczulem się nagi i bezbronny. Trzeba było się ukryć. Otworzyłem na chybił trafił jakieś drzwi.

— A pan w jakiej sprawie? — spytała mnie jakaś kobieta.

— Chciałem sprawdzić instalację elektryczną. Czy wszystko jest w porządku? — spytałem nieswoim głosem.

— A cóż mogło się popsuć? Przecie tu nigdy nic nie było w porządku.

— Czy tu jest szpital? — spytałem widząc, że moja rozmówczyni jest w białym fartuchu.

— Tu jest izba chorych — wyjaśniła. — Czy pana tu ktoś skierował?

— Tak. Moja firma tam z dołu. Mam sprawdzić instalację.

— Proszę, niech pan sprawdza, co pan chce — rzekła kobieta.

Obok przechodził jakiś mężczyzna w mundurze.

— O co chodzi?

Kobieta w białym fartuchu wyjaśniła mu. Przyjrzałem się mężczyźnie. Wydało mi się, że skądś go znam.

— Elektryczność? — powiedział. — Gdyby tak dali więcej lekarstw i witamin, byłoby lepiej! — Cisnął na stół swoją czapkę i wyszedł.

Wyczułem nagle, że muszę czym prędzej opuścić obóz. Gdzieś czaiło się niebezpie-

czeństwo.

— Tu jest wszystko w porządku — powiedziałem do kobiety w bieli. — Kto to był?

— Lekarz. A któż by inny? Inni przecież o nic się nie troszczą.

— Dużo macie chorych?

— Dostyc.

— A zmarłych?

Popatrzyła na mnie.

— A na co to panu potrzebne?

— Ot, tak tylko — odparłem. — Dlaczego tu wszyscy są tacy podejrzliwi?

— Ot, tak tylko — powtórzyła kobieta. — Dla samego kaprysu, naiwny aniele, posiadający ojczyznę i paszport! Nie, od czterech tygodni nie mieliśmy żadnego nieboszczyka. Ale przedtem mieliśmy dostyc.

Przed czterema tygodniami miałem list od Heleny. Musiała zatem gdzieś tu być.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Za co? — spytała z goryczą kobieta. — Niech pan lepiej dziękuje Bogu, że pańscy rodzice dali panu ojczyznę, którą może pan kochać nawet wtedy, gdy jest nieszczęśliwa i mimo to więzi jeszcze bardziej nieszczęśliwych i oddaje ich na pastwę rozbójników, by ich mogli wykończyć, tych samych rozbójników, którzy unieszczęśliwili pańską ojczyznę. Niech już pan robi to światło — dodała. — Byłoby stokroć lepiej, gdyby niektórym ludziom przejaśniło się w głowach!

— Czy była tu już niemiecka komisja? — spytałem.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Słyszałem, że czekacie tu na nią.

— Czy pyta pan dla zabawy?

— Nie. Muszę kogoś ostrzec.

— Kogo? — zapytała wstając.

— Helenę Baumann — odpowiedziałem.

Kobieta popatrzyła na mnie uważniej.

— Skąd? — spytała.

— Czy pani ją zna?

— Dlaczego?

Znów wyrósł przede mną mur nieufności, którą dopiero później zrozumiałem.

— Jestem jej mężem — powiedziałem.

— Czy może pan to udowodnić?

— Nie. Mam inne dokumenty niż ona. Ale może panią to zadowoli, jeżeli powiem, że wcale nie jestem Francuzem.

Wyjąłem paszport zmarłego Schwarza.

— Hitlerowski paszport — powiedziała kobieta. — Tak też domyślałam się. Po co

pan to robi?

Straciłem cierpliwość.

— Bo chcę się zobaczyć z moją żoną. Ona tutaj jest. Przecież sama mi o tym pisała.

— Czy ma pan list?

— Nie, nie mam. Zniszczyłem go, gdy uciekałem. Skąd ta tajemniczość tutaj? Co to wszystko znaczy?

— Chciałabym i ja to wiedzieć — powiedziała kobieta. — Ale od pana.

Lekarz zjawił się z powrotem.

— Czy jest pani tu jeszcze potrzebna? — zapytał kobietę w białym fartuchu.

— Nie.

— W takim razie proszę za mną. A pan już skończył? — zwrócił się do mnie.

— Jeszcze nie. Przyjdę tu znowu jutro.

Poszedłem z powrotem do kantyny. Rudowłosa z dwiema innymi kobietami stała za stołem i sprzedawała bieliznę. Czekałem i znowu ogarnęło mnie uczucie, że szczęście mnie opuszcza. Muszę natychmiast ulotnić się, jeżeli chcę wyjść stąd wolny! Może nastąpić zmiana warty i będę musiał się od nowa tłumaczyć. Rudowłosa unikała mego wzroku. Umyślnie przedłużała w nieskończoność rozmowę z kupującymi. Potem nadeszło jeszcze kilka kobiet, a przed oknem zobaczyłem przechodzącego oficera. Opuściłem kantynę.

Przy bramie była jeszcze ta sama warta. Przepuszczono mnie bez jakichkolwiek trudności. Poszedłem dalej, mając podobne uczucie jak w Le Vernet. Zdawało mi się, że dogonią mnie i zamkną. Czułem jak pot mnie oblewa.

Na ulicę wytoczyła się jakaś stara ciężarówka. Nie mogąc inaczej jej wyminąć, szedłem skrajem drogi z oczami utkwionymi w ziemię. Wóz zatrzymał się tuż za mną. Siłą woli opierałem się chęci ucieczki. Ruszyłby w pogoń i wówczas nie miałbym już żadnych szans. Usłyszałem za sobą czyjeś szybkie kroki. Ktoś wołał:

— Hej, monter!

Obróciłem się. Jakiś starszy mężczyzna w mundurze zbliżył się do mnie.

— Czy zna się pan na motorach? — zapytał.

— Nie. Jestem elektrykiem.

— Tu również, zdaje się, chodzi o elektryczne przewody. Niech no pan spojrzy.

— Tak, proszę, niech pan zobaczy — odezwał się drugi kierowca.

Spojrzałem. To była Helena. Stała za żołnierzem, wpatrzona we mnie, z palcem na ustach. Była w spodniach i swetrze, bardzo szczupła.

— Proszę, niech pan spojrzy — powtórzyła przechodząc koło mnie. — Uważaj! — szepnęła. — Udawaj, że się znasz trochę na tym. W wozie jest wszystko w porządku.

Żołnierz przechadzał się tam i z powrotem.

— Skąd się tu wzięłeś? — spytała szepem.

Podniosłem osłonę silnika.

— Uciekłem. Jak się spotkamy?

Pochyliła się obok nad silnikiem.

— Robię zakupy dla kantyny. Pojutrze. Bądź w miasteczku! W pierwszej kawiarni na lewo. O dziewiątej rano.

— A przedtem?

— Długo to potrwa? — spytał żołnierz.

— Kilka minut. To nic ważnego. — Helena wyciągnęła z kieszeni w spodniach paczkę papierosów i poczęstowała go.

Żołnierz zapalił i usiadł na skraju drogi.

— Więc gdzie? — dopytywałem się pochylony nad motorem. — W lesie? Przy ogrodzeniu? Byłem tam wczoraj. Może dziś wieczorem?

Przez chwilę wahała się.

— Dobrze. Dziś wieczorem. Ale przed dziesiątą nie mogę.

— Dlaczego nie możesz?

— Bo w tym czasie wychodzą inne. A zatem o dziesiątej. I pojutrze rano. Bądź ostrożny.

— Jacy tu są żandarmi?

Nadszedł żołnierz.

— Nie jest tak źle — odpowiedziała Helena po francusku. — Zaraz będzie gotowe.

— Samochód ma już swoje latka — zauważyłem.

Żołnierz roześmiał się.

— Nowe mają szkopy. I ministrowie. Gotowe?

— Gotowe — powiedziała Helena.

— Dobrze, żeśmy pana spotkali — powiedział żołnierz. — Ja wiem o samochodach tylko tyle, że potrzebują benzyny.

Żołnierz, a za nim Helena, weszli do wozu. Zapuściła motor. Prawdopodobnie przedtem wyłączyła tylko zapłon.

— Dziękuję! — zawołała Helena wychylając się ku mnie z szoferki. Jej wargi formowały niedosłyszalne wyrazy. — Z pana pierwszorzędny majster! — zawołała, gdy wóz już ruszał.

Jakiś czas stałem w niebieskawym zapachu benzyny. Byłem oszołomiony. Potem marszerując powoli, automatycznie przed siebie, zacząłem myśleć, a wraz z myślami przyszedł niepokój, wspomnienie tego, co usłyszałem, i cichy, dokuczliwy ból zwątpienia.

Leżałem w lesie i czekałem. Obserwowałem stąd ścianę płaczu, kobiety, które spokojne i zamyślane stały przy parkanie, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń wieczorną. Wkrótce większość z nich odeszła. Zrobiło się ciemno. Słupy w parkanie przybierały stopniowo postać cieni. Potem zjawił się między nimi jakiś nowy, ruchomy cień.

— Gdzie jesteś? — usłyszałem szept Heleny.

— Tutaj!

Zbliżyłem się do niej.

— Czy możesz przedostać się na tę stronę? — spytałem.

— Później. Gdy wszystkie odejdą. Zaczekaj.

Wycofałem się z powrotem między drzewa, dość daleko, aby nie zostać zauważonym, gdyby ktoś zechciał skierować na las światło latarki kieszonkowej. Położyłem się na ziemi i wdychałem mocny zapach opadłego listowia. Zjawił się lekki wietrzyk, a z nim dokoła jakieś szelesty. Odnosiłem wrażenie, jakby skradały się do mnie tysiące szpiegów. Oczy moje coraz bardziej przyzwyczajały się do ciemności i wreszcie dostrzegłem sylwetkę Heleny o niewyraźnej, bladej twarzy, której rysów nie mogłem rozpoznać. Wyglądała jak roślina o czarnej łodydze i białej koronie kwiatu, zawieszona na drucie kolczastym, to znowu jak bezimienna postać z czasów pogardy; właśnie dlatego, że nie mogłem rozpoznać jej twarzy, stała się symbolem wszystkich twarzy wszystkich cierpiących na świecie. Nieco dalej dostrzegłem jeszcze jedną sylwetkę kobiecą, za nią w pewnej odległości kolejno drugą i trzecią; tak jak Helena stały przy ogrodzeniu, tworząc jak gdyby fryz kariatyd dźwigających na swych ramionach niebo rozpaczy i nadziei.

Był to widok nie do zniesienia. Odwróciłem wzrok. Gdy po chwili spojrzałem znowu, tamtych trzech już nie było, Helena zaś, pochylona, szamotała się z drutami.

— Rozciągnij to i przytrzymaj — powiedziała.

Nastąpiłem nogą na drut i uniosłem możliwie najwyżej drugi nad nim.

— Zaczekaj! — powiedziała.

— Gdzie się podziały tamte? — spytałem.

— Wróciły do siebie. Jedna jest nazistką. Dlatego nie mogłam wcześniej. Wydałaby mnie. Ta, która płakała.

Zdjęła bluzkę, spódnicę i podała mi przez druty.

— Nie chciałabym podrzeć — szepnęła. — Więcej nie mam.

Wyglądało to tak jak w biednych rodzinach, gdzie mniej przykładą się wagi do potłuczonego kolana dziecka aniżeli rozdartej pończoszki; kolano się zagoi, a nowe pończochy trzeba kupić.

Czułem ciepło jej ubrania w mych rękach. Helena schyliła się i przelazła ostrożnie przez druty. Mimo to zadrasnęła się lekko w ramię. Po skórze pobiegł ciemny, wąziutki wąż, ukazała się krew. Podniosła się.

— Czy nie moglibyśmy uciec? — spytałem.

— Dokąd?

— Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W samej rzeczy, dokąd?

— Do Hiszpanii — powiedziałem. — Portugalii, Afryki.

— Chodź — szepnęła Helena. — Chodź i przestańmy o tym mówić. Nikt nie może



stąd uciec bez dokumentów. Dlatego też nie pilnują nas tak bardzo.

Ruszyła przede mną w las. Była prawie naga, tajemnicza i niezwykle piękna. Pozostała jedynie przecuciem Heleny, mojej żony z ostatnich miesięcy; wystarczającym, by w rozkoszy i męce rozpoznać ją na nowo, wyłaniającą się z tchnienia przeszłości, do której garnęło się ciało drżące i pełne oczekiwania. Z tym jednak, że teraz była kobietą, która zeszła z fryzu kariatyd, bezimienna, otoczona dziewięciomiesięczną obecnością, znaczącą więcej aniżeli dwudziestoletni pobyt na obczyźnie w normalnych warunkach.

## 14.

Właściciel knajpy, w której byliśmy przedtem, zbliżył się do nas.

— Pierwszorzędną jest ta gruba — powiedział z godnością. — Francuzka. Mówię panom, wyrafinowana szatanica, doprawdy godna polecenia! Nasze kobiety są ogni-ste, ale na krótko. — Cmoknął. — Żegnam panów. Nic lepszego, jak oczyścić sobie krew z Francuzką. One rozumieją życie. Nie trzeba też tak wiele kłamać jak z naszymi kobietami. Szczęśliwego powrotu do kraju, panowie! Nie bierzcie tylko Lolity czy Juany. Obie są do niczego, w dodatku trzeba uważać na Lolitę, bo kradnie.

Poszedł. Gdy otworzył drzwi, do środka wdarł się poranek, a z nim wczesny zgiełk ulicy.

— Chyba na nas już także czas — powiedziałem.

— Zaraz skończę moje opowiadanie — odrzekł Schwarz — mamy jeszcze trochę wina. — Zamówił wino i kawę dla trzech kobiet, by mieć spokój od nich.

— Była noc, w której padło niewiele słów między nami — mówił dalej Schwarz. — Rozpostarłem na ziemi kurtkę, a kiedy zrobiło się chłodniej, okryliśmy się spódnicą i bluzką Heleny oraz moim swetrem. Helena zasypiała i budziła się znowu. W pewnej chwili zdawało mi się, że płacze. Potem okazywała mi znów niepokohamowaną tkliwość i darzyła pieśczoćkami, których dotychczas od niej nie zaznałem. Nie pytałem o nic i sam również przemilczałem, co słyszałem w obozie. Kochałem ją bardzo, a przecież jednocześnie jakiś dziwny chłód oddalał mnie od niej. W czułościach tkwiła domieszka smutku, który jeszcze bardziej je wzmacniał. Wyglądało to tak, jakbyśmy leżeli gdzieś po drugiej stronie życia, przytuleni do siebie, zbyt jednak daleko, byśmy mogli kiedykolwiek wrócić i dojść dokądś; stać nas było jedynie jeszcze na ucieczkę i przebywanie razem. I na rozpacz. Tak, to była rozpacz! Głęboka, tragiczna rozpacz, w której skraplały się nasze łzy szczęścia, niewypłakane, niewidzialne łzy świadomości występku i tego, że nie ma dla nas powrotu.

— Czy nie moglibyśmy uciec? — spytałem po raz drugi, zanim Helena prześliznęła się z powrotem przez druty.

Nie odpowiedziała. Dopiero, gdy była już po tamtej stronie, wyszeptwała:

— Nie mogę! Nie mogę. Inne zostałyby za to ukarane. Przyjdź znowu! Przyjdź jutro wieczorem znowu. Czy możesz przyjść jutro wieczorem?

— Jeżeli do tego czasu mnie nie złapią.

Popatrzyła na mnie.

— Co się stało z naszym życiem? — powiedziała. — Cośmy zawinili, że nasze życie jest takie?

Podąłem jej bluzkę i spódniczkę.

— To są twoje najlepsze rzeczy? — spytałem.

Skinęła głową.

— Dziękuję ci, żeś je włożyła — powiedziałem. — Jestem pewny, że jutro wieczorem znów tu będę. Ukryję się w lesie!

— Trzeba przecież jeść. Czy masz coś?

— Mam coś niecoś. Poza tym w lesie są chyba jagody. No i grzyby, orzechy.

— Czy wytrzymasz do jutrzejszego wieczoru? Przyniosę ci cokolwiek.

— Naturalnie. Przecie jest już prawie rano.

— Nie jedz grzybów. Nie znasz się na nich. Przyniosę dosyć jedzenia. — Włożyła na siebie spódnicę. Była obszerna, jasnobłękitna w białe kwiaty. Zarzuciła ją na siebie i zapięła, jak gdyby gotując się do walki. — Kocham cię — powiedziała z rozpaczą. — Kocham cię o wiele więcej, niż kiedykolwiek mogłeś przypuszczać. Nie zapomnij o tym! Nigdy!

Mówiła mi o tym prawie zawsze, ilekroć musieliśmy się ze sobą rozstać. W tym czasie byliśmy dziką zwierzyną zarówno dla francuskich żandarmów, ścigających nas w imię barbarzyńskiego porządku, jak i wobec gestapowców usiłujących wdrzeć się do obozów, mimo że istniejące porozumienia z rządem Petaina zabraniało im tego. Nigdy się nie wiedziało, kto i kiedy zostanie schwytany, każde więc pożegnanie do jutra traktowało się jako ostatnie.

Helena przynosiła mi chleb i owoce, a niekiedy nawet kawałek kiełbasy lub sera. Nie ważyłem się zamieszkać w najbliższym miasteczku. Postanowiłem pozostać w lesie, w resztkach jakiegoś starego, zburzonego klasztoru, odkrytego przeze mnie nieopodal. Podczas dnia spałem lub czytałem to, co przynosiła mi Helena, albo też ukryty w zaroślach obserwowałem drogę. Za pośrednictwem Heleny docierały do mnie również wiadomości i różne pogłoski, między innymi, że Niemcy posuwają się wciąż bliżej i bliżej, nie troszcząc się wcale o przestrzeganie porozumień.

Mimo wszystko było to jednak życie w ustawicznej panice. Uczucie trwogi narastało i opadało, zaprawione goryczą jak sok żołądkowy. Jednakże nawyk życia z godziny na godzinę wciąż jeszcze zwyciężał. Pogoda utrzymywała się piękna, a noce były usiane gwiazdami. Helena zatroszczyła się o plandekę. Zgarnawszy pod nią zeschnięte liście, leżeliśmy w rozwalonym korytarzu klasztornym i przysłuchiwaliliśmy się szme-

rom nocy.

— Jak to się dzieje, że możesz wychodzić? — spytałem ją kiedyś. — I do tego tak często?

— Mam odpowiedzialną pracę i trochę protekcji — odrzekła po chwili. — Widziałeś przecie, bywam niekiedy w miasteczku.

— Czy dlatego możesz zaopatrywać się w żywność dla mnie?

— Otrzymuję ją w kantynie. Możemy kupować, dopóki mamy pieniądze i jest tam coś do sprzedania.

— Nie boisz się, że cię ktoś na tym przyłapie albo zadenuncjuje?

— Robię to przecie dla ciebie — uśmiechnęła się. — Nie dla siebie. Co mogą mi zrobić? Przecie i tak siedzę już w więzieniu.

Następnego wieczoru nie przyszła. Gdy tylko ściana płaczu roztopiła się w ciemnościach, zbliżyłem się do ogrodzenia. W nikłym świetle rysowały się czarne bloki baraków. Czekałem na próżno. Helena nie zjawiła się. Nasłuchiwałem do późna w nocy. Widziałem kobiety idące do baraków-toalet, słyszałem wzdychania i jęki, a raz zobaczyłem niezaciemnione światła samochodów na drodze. Przez cały dzień siedziałem w lesie. Byłem niespokojny, coś się musiało stać. Znowu zacząłem zastanawiać się nad tym, co opowiadano mi w obozie. I dziwne, w pewnej chwili doznałem uczucia ulgi. Wszystko było lepsze, niż żeby była chora, wywieziona lub martwa.

Te trzy ewentualności były tak bliskie sobie, że właściwie każda z nich znaczyła to samo. Nasze życie natomiast było tak beznadziejne, że pozostawało tylko jedno: nie zgubić się, spróbować wydostać się z tego zamętu i wylądować gdzieś w cichej przystani. Może raz jeszcze udałoby nam się o wszystkim zapomnieć. Niestety nie jest to możliwe nawet przy całej miłości i współczuciu, przy całej dobroci i czułości. Wiedziałem o tym, zobojeźniałem już na wszystko. Leżałem w lesie i przyglądałem się opadającym z drzew umarłym, jaskrawym liściom. Powtarzałem w myślach: „Pozwól jej żyć! Pozwól jej, Boże, żyć, a ja nigdy jej o nic nie zapytam! Życie ludzkie jest czymś o wiele wspanialszym aniżeli sprzeczności, w których się wikłamy! Pozwól jej żyć... A jeżeli jest to możliwe beze mnie, pozwól niech żyje beze mnie — lecz pozwól, by żyła!”

Nie przyszła również następnej nocy. Widziałem natomiast wieczorem znowu dwa samochody. Pięły się w górę drogą wiodącą do obozu. Podkradałem się szerokim łukiem i rozpoznałem mundury. Nie mogłem dojrzeć, czy byli to SS-owcy, czy wojskowi z Wehrmachtu, ale z całą pewnością byli to Niemcy. Spędziłem okropną noc. Samochody przyjechały około godziny dziewiątej, a odjechały dopiero po pierwszej w nocy. Fakt, że nie za dnia, kazał przypuszczać, że było to gestapo. Kiedy odjeżdżali, nie mogłem zobaczyć, czy zabrali z obozu ludzi. Na wpół przytomny krążyłem po szosie i wokół obozu do samego rana. Potem zamierzałem ponownie przedostać się na teren obozu w przebraniu montera. Stwierdziłem jednak, że warta została podwojona, a poza tym w bra-

mie siedział jakiś cywil z listą.

Dzień zdawał się nie mieć końca. Gdy może już po raz setny zbliżyłem się do ogrodzenia z drutów kolczastych, zauważyłem nagle po mojej stronie — w odległości około dwudziestu kroków od drutów — mały pakiecik zawinięty w gazetę. W zawiniątku znalazłem kawałek chleba, dwa jabłka i kartkę bez podpisu: „Dziś wieczorem.” Helena pewnie wtedy, kiedy mnie nie było, rzuciła paczkę przez ogrodzenie.

Jadłem chleb na klęczkach, tak poczułem się nagle słaby. Potem powlokłem się do mojej kryjówki i zasnąłem. Po południu obudziłem się. Dzień był bardzo jasny, wypełniony złotawym blaskiem jak winem. Drzewa każdej nocy przybierały intensywniejszą barwę. Buki i lipy, skąpane w ciepłych promieniach popołudniowego słońca, padających na moją polankę, stały tak żółte i czerwone, jak gdyby jakiś niewidzialny malarz w czasie mojego snu poprzemieniał je w pochodnie, które świeciły teraz nieporuszone w pełnym, spokojnym blasku. Nie drgnął ani jeden listek.

Schwarz przerwał i spojrzał na mnie.

— Proszę, niech się pan nie niecierpliwi — powiedział — zdawałoby się, że niepotrzebnie opisuję przyrodę. Przez cały ten czas była ona dla nas tak samo ważna jak dla zwierząt. Nigdy nas nie odtrącała. Nie żądała paszportu ani świadectwa aryjskości. Dawała i brała, ale była bezstronna — działało to jak lekarstwo.

Tego popołudnia leżałem długo bez ruchu; byłem u kresu sił, niczym czara, z której lada chwila przeleje się woda. W pewnej chwili zobaczyłem nagle, w absolutnej ciszy, niby na jakiś tajemniczy rozkaz, zaczęły opadać z drzew tysiące liści. Wirowały bezwładnie w jasnym powietrzu, a niektóre z nich spadały na mnie. W owej chwili poznałem wyzwolenie, jakie daje śmierć, i towarzyszące temu wyzwoleniu przeogromne ukojenie.

Wiedziałem, nie podejmując żadnej decyzji, że spadła na mnie łaska możliwości położenia kresu swemu życiu, gdyby Helena umarła. Że nie muszę pozostać sam jeden, że łaska ta jest rekompensatą daną człowiekowi w zamian za miłość tak wielką, że aż przekraczającą dozwolone ludziom granice. A jednocześnie myśląc tak o śmierci, wyczuwałem mgliście, że nie jest już ona potrzebna.

Heleny nie było w szeregach ściany płaczu. Zjawiła się dopiero, gdy już inne kobiety odeszły. Była w bluzeczce i krótkich spodniach. Podała mi butelkę wina i paczkę. W tym oryginalnym ubraniu wyglądała bardzo młodo.

— Korek jest już wyciągnięty — powiedziała. — A tu masz jeszcze kubek.

Prześliznęła się lekko pod drutami.

— Umierasz chyba z głodu. Dostałam coś w kantynie, czego nie widziałam od naszego wyjazdu z Paryża.

— Eau de Cologne — powiedziałem. Pachniała tą wodą i była świeża, jak świeżą była ta noc.

Potrząsnęła głową. Zobaczyłem, że włosy miała obcięte; były krótsze niż przedtem.

— Co się stało? — spytałem z nagłym rozdrażnieniem. — Niepokoilem się, że może cię zabrali, może umarłaś, a tymczasem zjawiasz się, jakbyś dopiero opuściła salon piękności. Czy manicure również sobie zrobiłaś?

— Zrobiłam to sama. — Podniosła ręce i roześmiała się. — Napijmy się lepiej wina!

— Co się tam działo? Czy było gestapo?

— Nie. Komisja wojskowa. Ale byli też dwaj funkcjonariusze gestapo.

— Czy zabrali kogoś z sobą?

— Nie — odpowiedziała. — Nalej mi wina.

Zauważyłem, że była bardzo podniecona. Ręce miała gorące, a skórę tak suchą, jakby miała pęknąć.

— Byli w barakach. Przyjechali, by sporządzić listę nazistek znajdujących się w obozie. Mają być odesłane do Niemiec.

— Czy dużo ich jest?

— O, dosyć. Nie spodziewaliśmy się, że jest ich aż tak wiele wśród nas. Okazuje się, że część kryła się ze swoją przynależnością do partii hitlerowskiej. Jedna z nich, którą znam, wystąpiła nagle, oświadczając, że jest członkiem partii, posiada zebrane bardzo cenne wiadomości i chce wrócić do ojczyzny, że obchodzono się z nią okropnie i dlatego powinno się ją zabrać stąd natychmiast. Znam ją bardzo dobrze. Za dobrze. Ona wie...

Helena szybko wypić wina i oddała mi kubek.

— Co ona wie? — spytałem.

— Nie potrafię już tego dokładnie powtórzyć. Było tak wiele nocy, podczas których mówiło się i mówiło. Ona wie, kim jestem. — Uniosła głowę. — Ja nie chcę z powrotem! Nigdy! Zabiję się, jeżeli będą zmuszali mnie do powrotu.

— Nie zabijesz się i oni cię nie zabiorą. Z jakiego powodu? Georg jest Bóg wie gdzie i nie wszystko dochodzi do niego. I ta kobieta dlaczego miałaby cię zdradzić? Cóż by to jej pomogło?

— Przrzeknij, że nie dopuścisz do tego, by mnie odesłano.

— Przrzekam ci — powiedziałem.

Była tak zdenerwowana, że nie mogłem odpowiedzieć inaczej, niż zapewnić, że ją obronię, chociaż sam byłem bezbronny.

— Kocham cię — powiedziała ochryplym, drżącym ze wzburzenia głosem.

— Kocham cię. Powinieneś zawsze w to wierzyć, niezależnie od tego, co może się jeszcze zdarzyć!

— Wierzę ci — odpowiedziałem wierząc i nie wierząc jednocześnie.

Wyczerpana, odchyliła się do tyłu.

— Powinniśmy uciec — powiedziałem. — Jeszcze dziś w nocy.

— Dokąd? Czy masz swój paszport?

— Tak. Wydał mi go ktoś, kto pracował w biurze, w którym były przechowywane dokumenty internowanych. A gdzie jest twój?

Nie odpowiedziała. Jakiś czas spoglądała przed siebie.

— Jest tu pewna żydowska rodzina — powiedziała po chwili. — Mąż, żona i dziecko. Przybyli przed kilku dniami. Dziecko jest chore. Oni również zgłosili się na powrót do Niemiec. Hauptmann zapytał ich, czy nie są Żydami. „Jesteśmy Niemcami — odpowiedział mąż. — Chcemy wrócić.” Hauptmann chciał jeszcze coś powiedzieć, ale stali tam obaj gestapowcy. „Czy naprawdę chcecie wracać?” — spytał po raz drugi. „Niech pan ich zapisze, panie kapitanie — powiedział jeden z gestapowców i roześmiał się. — Jeżeli tak bardzo tęsknią za ojczyzną, zrobimy im tę przysługę.” Zostali zapisani. Nie można z nimi mówić. Powiedzieli, że już tak dalej nie mogą. Dziecko jest ciężko chore. Inni Żydzi zresztą będą również stąd zabrani, lepiej więc, jeśli zgłoszą się wcześniej. Twierdzą, że siedzimy w pułapce. Korzystniej jest, kiedy się idzie dobrowolnie. Są głusi na wszystko jak muły. Musisz z nimi pomówić.

— Ja? A cóż ja im powiem?

— Byłeś tam przecie. Siedziałeś w obozie. Wróciłeś. I znowu uciekłeś.

— Gdzie mógłbym z nimi porozmawiać?

— Tutaj. Zaraz przyprowadzę tego człowieka. Wiem, gdzie jest. Poczekaj chwileczkę. Już z nim mówiłam. Może jeszcze uda się ich uratować.

Po kwadransie przyprowadziła jakiegoś szczupłego mężczyznę. Ponieważ nie odważył się przejść pod drutami, pozostał na terenie obozu, a ja po drugiej stronie. Nieco później nadeszła jego żona. Była bardzo blada i nie przemówiła ani słowa. Wszyscy troje zostali schwytani przed dziesięcioma dniami. Byli już w różnych obozach, rozdzieleni, potem uciekli i cudem się jakoś odnaleźli. Wszędzie, gdzie przechodzili, zostawiali bądź na kamieniach ulicznych, bądź na rogach domów swoje nazwiska.

— Czy pan zna Via Dolorosa? — zwrócił się do mnie Schwarz.

— Kto jej nie zna! Ciągnie się od Belgii do Pirenejów.

Via Dolorosa powstała na początku wojny. Po wkroczeniu niemieckich oddziałów do Belgii i przełamaniu Linii Maginota rozpoczął się wielki exodus. Najpierw samochodami załadowanymi różnymi domowymi gratami i pościelą. Potem różnego rodzaju wehikułami, rowerami, zaprzęgami konnymi, wózkami ciągnionymi przez ludzi, wózkami dziecięcymi i wreszcie niekończącymi się sznurami pieszo — wszystko na południe, ścigani przez bombowce w pełni francuskiego lata. Emigranci również uciekali na południe. Wtedy to powstały gazety uliczne. Na murach ulic, na budynkach, na skrzyżowaniach dróg widniały nazwiska i wołania o pomoc ludzi nawzajem się poszukujących, wypisane węglem, kredą lub farbą. Emigranci, którzy od lat zmuszeni byli ucie-

kać i ukrywać się przed policją, posiadali poza tym sieć punktów informacyjnych, sięgających od Nicei do Neapolu i od Paryża do Zurychu. Ludzie, którzy tam mieszkali, udzielali informacji, wymieniali adresy, służyli radą, a nawet można było u nich spędzić kilka nocy. Przy ich to pomocy mężczyzna, który rozmawiał ze Schwarzem, odnalazł swoją żonę i dziecko, co było znacznie trudniejsze aniżeli znalezienie przysłowiowej igły w stogu siana. Prawie wszystkie punkty służyły przy tym jako niewielkie biura informacyjne; każdy z każdym mógł tam zamienić się swymi wiadomościami.

— Jeżeli pozostaniemy — powiedział mężczyzna — znów nas rozdziela. To jest obóz dla kobiet. Przywieziono nas razem, ale tylko na kilka dni. Już mi zapowiedziano, że zostanę odtransportowany gdzieś do obozu męskiego. My już tego nie przeżyjemy.

Nic nie można było z nim zrobić. Wszystko rozważył już dokładnie. Tak jest lepiej. Uciekać nie mogą; próbowali już. Omal nie umarli przy tym z głodu. Teraz dziecko jest chore, żona zupełnie wyczerpana, a on sam również u kresu sił. Lepiej więc już iść dobrowolnie niż tak jak my i inni czekać, niby by było w przedsiönku rzeźni. W końcu i nas stąd zabiorą, kiedy im się będzie podobało.

— Dlaczego nie pozwolono nam uciec, jak był jeszcze na to czas? — powiedział na zakończenie łagodny, szczupły mężczyzna o wąskiej twarzy i małym, ciemnym wąsie.

Nikt nie umiałby na to odpowiedzieć. Nie chcieli nas zatrzymać i nie chcieli się nas pozbyć — jeden z paradoksów tragedii narodu, któremu tak mało poświęcili uwagi ci, którzy mogliby to zmienić.

Następnej nocy przyjechały dwie ciężarówki. W tym samym momencie zauważyłem poruszenie przy drutach kolczastych. Kilkanaście kobiet, pomagając jedna drugiej, przełaziło pod drutami. Wszystkie uciekły do lasu. Stałem w ukryciu, dopóki nie zobaczyłem Heleny.

Szybko zbliżyła się do mnie.

— Prefektura nas ostrzegła. Przyjechali Niemcy, by zabrać tych, którzy chcą wracać. Nie wiadomo, jakie zamiary kryją poza tym. Dlatego doradzono nam, byśmy na wszelki wypadek uciekły do lasu i pozostały tam aż do ich odjazdu.

Po raz pierwszy widziałem ją za dnia, jeśli nie liczyć tego momentu, gdy spotkałem ją na drodze. Twarz miała opaloną, tak samo długie nogi; była jednak bardzo szczupła, jej oczy były zbyt duże i błyszczące, a twarz zbyt drobna.

— Przynosisz mi swoje jedzenie, a sama głodujesz — powiedziałem.

— Jedzenia mi nie brak — odpowiedziała. — Staram się o to. Popatrz. — Wetknęła rękę do kieszeni. — Mam nawet czekoladę. A wczoraj mogliśmy kupić Pâte de foie gras i sardynki w puszkach. Ale chleba nie było.

— Czy człowiek, z którym wczoraj rozmawiałem, odjechał? — spytałem.

— Tak...

Jej twarz drgnęła nagle.



— Ja nie wrócę, Józefie! Nigdy! Obiecałeś, że nie dopuścisz do tego! Nie chcę, żeby mnie złapali!

— Oni cię nie złapią.

Po godzinie samochody odjechały. Kobiety śpiewały. Wiatr przynosił słowa: „Deutschland, Deutschland uber alles”...

Tej nocy oddałem Helenie część trucizny, którą otrzymałem w Le Vernet.

Dzień później doszło do wiadomości Heleny, że Georg wie, gdzie ona przebywa.

— Kto ci o tym powiedział? — spytałem.

— Ktoś, kto wie.

— Kto?

— Lekarz obozowy.

— Skąd on wie?

— Z komendantury. Zapytywano ich tam o to.

— Czy radził ci, co masz teraz zrobić?

— Może ukrywać mnie przez kilka dni w obozowej izbie chorych. Nie dłużej.

— A więc musisz wydostać się z obozu. Od kogo przyszło wczoraj ostrzeżenie, że zagrożone więźniarki mogą ukryć się w lesie?

— Od prefekta.

— Dobrze — powiedziałem. — Postaraj się, by ci wydano paszport i dowód zwolnienia. Myślę, że ten lekarz może ci pomóc. Jeżeli nie, uciekniemy. Przygotuj wszystko, co masz wziąć z sobą. I nikomu ani słowa. Nikomu! Będę próbował mówić z prefektem. Zdaje się, że ma ludzkie uczucia.

— Nie rób tego! Bądź ostrożny. Na miłość boską, bądź ostrożny!

Oczyściłem, jak mogłem, mój kombinezon monterski i nazajutrz rano wyszedłem z lasu. Niewykluczone, że natknę się na patrol niemiecki lub żandarmerię francuską — z tym trzeba się liczyć. Ale przecie odtąd będziemy musieli stale się z tym liczyć.

Do prefekta udało mi się szczęśliwie dotrzeć. Żandarma i urzędnika zwiódłem, przedstawiając się jako technik niemiecki, który chce się porozumieć w sprawie budowy linii elektrycznej dla celów wojskowych. Wiedziałem z doświadczenia, że działając przez zaskoczenie, osiąga się często dobre wyniki. Gdybym się podał za uciekiniera, żandarm aresztowałby mnie od razu. Ten gatunek ludzi reaguje zwykle najlepiej, gdy się do nich przemawia z góry.

Prefektowi powiedziałem prawdę. W pierwszej chwili chciał mnie wyrzucić za drzwi. Ochłonął jednak, ubawiony moją zuchwałością. Dał papierosa i powiedział, bym się wynosił do diabła — nie chce o niczym słyszeć. Po dziesięciu minutach oświadczył, że nie może nic zrobić, ponieważ Niemcy mają listę i na nim się skrupi, jeśli kogoś zabraknie. Nie ma zamiaru zgnić w niemieckim obozie koncentracyjnym.

— Panie prefekcie — powiedziałem — ja wiem, że pan ostrzegł więźniów. Wiem też,

że trudno panu nie podporządkowywać się rozkazom. Ale i pan, i ja wiemy równie dobrze, że Francja znajduje się w stadium chaosu po poniesionej klęsce, że wykonany dziś rozkaz może jutro przynieść wstyd; jeśli chaos przeradza się w bezcelowe okrucieństwo, trudno znaleźć później dla siebie usprawiedliwienie. Dlaczego ma pan wbrew własnej woli przetrzymywać niewinnych ludzi za drutami, skazując ich w ten sposób na tortury w gestapowskich lochach i na krematoria? Być może, że dopóki Francja jeszcze się broniła, zatrzymywanie obcokrajowców w obozach bez względu na ich osobisty stosunek do agresora miało pozory prawa. Ale wojny dawno już nie ma i przed kilku dniami zwycięzca zabrał stąd swoich obywateli. Ludzie, którzy pozostali w obozie, żyją obecnie w ciągłym strachu, że lada dzień znowu ktoś się zjawi i powlecze ich na śmierć. Powiniennem prosić pana o pomoc dla wszystkich tych ofiar — proszę tylko dla jednej. Jeżeli ma pan obawy z powodu listy, niech pan wykaże moją żonę jako zbiegłą... jako umarłą, nawet jako samobójczynię, jeśli pan woli, wtedy nie będzie pan za nią odpowiadał!

Przyglądał mi się długo.

— Niech pan przyjdzie do mnie jutro — powiedział nareszcie.

Nie ruszyłem się.

— Nie wiem, w czyich rękach mogę się znaleźć jutro — powiedziałem. — Niech pan to zrobi dzisiaj.

— Niech pan przyjdzie za dwie godziny.

— Będę czekał przed pańskimi drzwiami — powiedziałem. — To jest najbardziej bezpieczne miejsce, jakie znam.

Uśmiechnął się nagle.

— *Quelle affaire d'amour!* — powiedział.

Odetchnąłem. W godzinę później zawołał mnie do siebie.

— Telefonowałem do kierownictwa obozu — powiedział. — To prawda, że zapytano o pańską żonę. Zrobimy tak, jak pan proponował, i sporządzimy akt jej zgonu. Wówczas będziecie mieli spokój. My również.

Skinałem głową. Jednocześnie przeszły mnie ciarki — odezwały się resztki przesądów, by nie wyzywać losu. Ale czy ja sam nie umarłem przed kilku laty, żyjąc potem dzięki papierom nieboszczyka?

— Do jutra będzie wszystko załatwione — powiedział prefekt.

— Proszę pana, niech pan to zrobi dzisiaj. Siedziałem już dwa lata w obozie przez to, że nie uciekłem o jeden dzień wcześniej.

Poczułem się nagle ogromnie wyczerpany. Prefekt to zauważył. Stałem się popielaty, byłem bliski zemdlenia. Posłał po koniak. Poprosiłem o kawę i osunąłem się na krzesło. Pokój zawirował koliskiem szarych i fioletowych cieni. „Nie mogę, nie chcę upaść — pomyślałem, gdy usłyszałem nieznośny szum w uszach. — Helena jest wolna.

Musimy stąd uciekać!”

Wśród szumu i zjaw majaczyła wciąż jakaś twarz i jakiś głos na razie niewyraźny, a potem mocniejszy. Staralem się go rozpoznawać i twarz także — potem usłyszałem:

— Sądzi pan, że mnie to bawi, Merde alors? Co to znaczy, do wszystkich diabłów? Nie jestem dozorcą więziennym, jestem przyzwoitym człowiekiem, do diabła z tym wszystkim... wszyscy powinni uciec — wszyscy!

Głos znowu przestał dochodzić do mych uszu, a ja nie wiedziałem w końcu, czy rzeczywiście ktoś krzyczał, czy tylko tak mi się zdawało. Przyniesiono kawę; wyszedłem chwiejnym krokiem i osunąłem się na jakąś ławę. Po pewnym czasie przyszedł ktoś znowu i powiedział, że muszę jeszcze poczekać. I tak nie ruszyłem się z miejsca.

Potem przyszedł prefekt i oznajmił, że wszystko jest w porządku. Wydawało mi się, że zawdzięczam to w równej mierze mojemu omdleniu, jak i wszystkiemu, co powiedziałem.

— Czy lepiej panu? — spytał urzędnik. — Nie powinien był pan aż tak mnie się bać. Jestem tylko skromnym prowincjonalnym prefektem.

— To znaczy więcej niż Bogiem — odpowiedziałem uszczęśliwiony. — Bóg udzielił mi jedynie dość ogólnikowego zezwolenia na pobyt na ziemi, z którym nie wiem, co począć. Mnie zaś potrzebne jest zezwolenie na pobyt tutaj, w tym powiecie, a tego nie może mi nikt wydać tylko pan, panie prefekcie.

Prefekt śmiał się.

— Jeżeli zaczną pana szukać, blisko obozu będzie dla pana najniebezpieczniej.

— Jeżeli zaczną mnie szukać, będę w Marsylii bardziej narażony aniżeli tutaj. Spodziewają się mnie tam, nie tutaj. Bardzo proszę o wydanie nam zezwolenia na przeciąg jednego tygodnia. W tym czasie spróbujemy przepłynąć przez Morze Czerwone.

— Przez Morze Czerwone?

— To takie powiedzonko uchodźców. Znajdujemy się w podobnej sytuacji jak Żydzi przed wyjściem z Egiptu. Za nami armia niemiecka i gestapo, po obu stronach morze policji francuskiej i hiszpańskiej, a przed nami zbawczy teren Portugalii z Lizboną, portem wyjściowym do ziemi obiecanej — Ameryki.

— Czy posiada pan wizę amerykańską?

— Nie, ale będziemy ją mieli.

— Pan, zdaje się, wierzy w cuda.

— Nic mi innego nie pozostaje. A czy dziś jeden się nie zdarzył?

Schwarz uśmiechnął się do mnie.

— Zadziwiająco, jak w potrzebie człowiek staje się przebiegły. Wiedziałem dokładnie, dlaczego powiedziałem to ostatnie zdanie i dlaczego przedtem przez porównanie z Bogiem chciałem pochlebić prefektowi. Chodziło przecie o uzyskanie zezwolenia choćby

na krótki pobyt. Jeśli się żyje w całkowitej zależności od innych ludzi, staje się człowiek wyrafinowanym psychologiem, nawet wówczas, gdy się ledwo dyszy, a może właśnie dlatego. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego — każde funkcjonuje oddzielnie — strach jest prawdziwy i ból jest prawdziwy, tak to wygląda. Wszystko zmierza do jednego celu — ratunek za wszelką cenę.

Schwarz mówił teraz znacznie spokojniej.

— Wkrótce dobrnę do końca — powiedział.

— Otrzymaliśmy istotnie prawo pobytu na tydzień. Stałem przy bramie obozu i czekałem na Helenę. Było późne popołudnie. Kropił rzadki deszczyk. Nadeszła razem z lekarzem. Widziałem, jak rozmawiała z nim, zanim mnie zobaczyła. Mówiła o czymś z ożywieniem, jej twarz była bardziej poruszona, aniżeli byłem do tego przyzwyczajony. Czułem się jak człowiek, który z ulicy zajrzał, nie zauważony, przez okno do cudzego pokoju. Wreszcie dostrzegła mnie.

— Pańska żona jest bardzo chora — zwrócił się do mnie lekarz.

— To prawda — potwierdziła śmiejąc się Helena. — Odprawia mnie do szpitala i tam umrę. Dokładnie tak, jak to zostało załatwione.

— To nie są żarty — oświadczył lekarz nieprzyjaźnie. — Pańska żona naprawdę kwalifikuje się do szpitala.

— Dlaczego w takim razie dawno już jej tam nie wysłano? — spytałem.

— Co to wszystko znaczy? — powiedziała Helena. — Nie jestem chora i nie pójde do szpitala.

— Czy może pan ją umieścić w szpitalu? — spytałem lekarza — ale tak, by była bezpieczna?

— Nie — odpowiedział po chwili.

Helena znów się zaśmiała.

— Oczywiście, że nie. Co za nedorzeczna rozmowa! Adieu, Jean.

Ruszyła przodem wzdłuż drogi. Chciałem zapytać lekarza, co jej jest, ale nie mogłem. Popatrzał na mnie uważnie, potem szybko zawrócił w stronę obozu. Pośpieszyłem za Heleną.

— Czy masz swój paszport? — spytałem.

Skinęła głową.

— Daj mi twoją torbę — powiedziałem.

— Nie ma w niej wiele.

— Mimo to daj.

— Mam tam jeszcze suknię, którą kupiłeś mi w Paryżu.

Schodziliśmy szosą w dół.

— Jesteś chora? — spytałem.

— Gdyby tak było, nie mogłabym przecież chodzić. Musiałabym mieć gorączkę.

Nie jestem chora. On kłamał. Chciał, żebym została. Spójrz na mnie. Czy wyglądam na chorą? — zatrzymała się na drodze.

— Tak — powiedziałem.

— Nie martw się.

— Nie martwię się.

Teraz już wiedziałem, że jest chora, i wiedziałem, że nigdy mi się do tego nie przyzna.

— Czy pomogłoby ci, gdybyś poszła do szpitala?

— Nie! — powiedziała. — W najmniejszym stopniu! Musisz mi wierzyć. Gdybym była chora i w szpitalu mogliby mi pomóc, na pewno bym poszła. Wierz mi!

— Wierzę ci! — Cóż miałem począć! Poczuję się nagle okropnie zgnębiony. — A może wolałabyś zostać w obozie? — spytałem wreszcie.

— Zabiłabym się, gdybyś nie przyszedł.

Szliśmy dalej. Deszcz padał coraz rzęsiściej. Otaczał nas niby szary welon z drobnutkich kropelek.

— Musimy się starać, żeby jak najprędzej dostać się do Marsylii — powiedziałem.

— Stamtąd do Lizbony i potem do Ameryki.

„Tam są dobrzy lekarze — myślałem. — I szpitale, w których się nie aresztuje nikt. Może będę mógł pracować.”

— Zapomnimy o Europie jak o złym śnie — powiedziałem.

Helena nie odpowiedziała.

## 15.

Rozpoczęła się odyseja — powiedział Schwarz. — Wędrówka przez pustynię. Pochód przez Morze Czerwone. Pan na pewno również to zna.

Skinąłem twierdząco głową.

— Bordeaux. Badanie przejść granicznych. Pireneje. Wreszcie żmudny marsz na Marsylię. Atak do nieużytych serc i ucieczka przed barbarzyńcami. W antrakcie szaleństwo zdziczałej biurokracji. Odmawianie zezwoleń na pobyt — ale i nieudzielanie zezwolenia na wyjazd. A jeśli się je w końcu otrzymało, okazywało się, że tymczasem upłynął już termin ważności wizy tranzytowej hiszpańskiej, której znowu nie wydawano bez wizy wjazdowej portugalskiej, zależnej niejednokrotnie znów od czego innego, trzeba więc było zaczynać wszystko od początku i wystawać przed konsulatami, tymi przedsionkami nieba i piekła! Obłądny circulus vitiosus!

— Na razie schroniliśmy się w cichym zakątku — powiedział Schwarz. — Helena załamała się już pierwszego wieczoru. Wynająłem pokoik w ustronnej gospodzie. Po raz pierwszy mogliśmy żyć znowu legalnie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy mieliśmy pokój wyłącznie dla siebie, ten właśnie fakt wywołał u Heleny atak płaczu. Szlochała jak dziecko. Potem siedzieliśmy milczący w ogródku przed gospodą. Było już bardzo zimno, ale nam się nie chciało jeszcze iść spać.

Wypiliśmy butelkę wina i patrzyliśmy na szosę prowadzącą do obozu, widoczną z ogrodu. Wypełniała mnie głęboka, niemal bolesna wdzięczność, która tego wieczoru przyćmiła wszystko, nawet niepokój o zdrowie Heleny. Potem, gdy przestała płakać, była zgaszona i tak cicha, jak pejzaż po deszczu, i tak piękna, jak oglądane niekiedy twarze na starych kameach.

— Pan to rozumie — rzekł Schwqrz. — W naszym życiu choroba ma inne znaczenie niż normalnie. Choroba to brak możliwości dalszej ucieczki.

— Wiem o tym — odparłem z goryczą.

— Następnego wieczoru zobaczyliśmy przyćmione światła samochodu wspinającego się w kierunku obozu. Helena zaniepokoiła się. Przez cały dzień nie ruszaliśmy się prawie wcale z pokoju. Własne łóżko i własny pokoik stanowiły tak wielkie przeżycie,

że nie mogliśmy się tym nasycić. Oboje poczuliśmy naraz, jak bardzo jesteśmy zmęczeni i wyczerpani. Najchętniej pozostałbym w gospodzie przez wiele dni. Ale Helena nie chciała być ani minuty dłużej. Miała dość widoku drogi wiodącej do obozu. Obawiała się, że gestapo szuka jej nadal.

Spakowaliśmy nasz skromny dobytek. Było zresztą rozsądniej iść stąd dalej, dopóki nasze zezwolenie na pobyt w tym okręgu było ważne, gdyż, znalazłszy się już poza nim, mogliśmy co najwyżej narazić się na to, że nas odeślą z powrotem tutaj, lecz nie aresztują.

Chciałem dostać się do Bordeaux. Ale na szosie mówiono nam, że nasz projekt jest już od dawna spóźniony.

Mały dwuosobowy citroen zabrał nas po drodze, a kierowca radził nam, żebyśmy spróbowali ulokować się gdzie indziej. Niedaleko celu jego podróży znajduje się zameczek. Wie, że jest nie zamieszkanym, moglibyśmy więc zatrzymać się tam na noc.

Nie mieliśmy innego wyboru. Późnym popołudniem kierowca wysadził nas. Przed nami w szarzejącym świetle wznosił się niewielki zameczek, właściwie dworek, z ciemnymi oknami, pozbawionymi firanek. Wszedłem po schodach i zapukałem do drzwi. Były otwarte i posiadały ślady wskazujące, że otwarto je siłą. Moje kroki rozlegały się głośno w mrocznym hallu. Zawołałem, lecz odpowiedziało mi tylko echo. Nie było nigdzie żywej duszy. Wszystko, co było do zabrania, zostało zabrane. Pozostało osiemnastowieczne wnętrze, wykładane kafelkami ściany, szlachetny profil okien, sklepienia i wspaniałe schody.

Powoli przechodziliśmy z pokoju do pokoju. Na nasze wołanie nikt nie odpowiadał. Szukałem elektrycznych kontaktów. Okazało się, że ich nie było. Zameczek nie posiadał jeszcze instalacji elektrycznej. Pozostał taki, jakim go zbudowano. Mały salonik jadalny w kolorze złoto-białym, sypialnia jasnozielona ze złotem. Nigdzie żadnego mebla. Widocznie właściciele uciekając zabrali je z sobą.

W mansardzie znaleźliśmy skrzynię. Zawierała kilka masek, pstre, stare kostiumy używane prawdopodobnie podczas jakichś uroczystości i kilka paczek świec. Ku naszej uciezce było tam jeszcze żelazne łóżko z materacem. Dalsze nasze poszukiwania uwieńczone zostały nie lada sukcesem. Znaleźliśmy w kuchni trochę chleba, kilka puszek sardynek, pęczek czosnku, wypróżniony do połowy słoik z miodem, a w piwnicy kilka kilogramów ziemniaków, kilka flaszek wina i cały stos drzewa. Był to prawdziwie zaczerpnięty zamek!

Dom posiadał prawie wszędzie kominki. Okna w pokoju, który prawdopodobnie służył jako sypialnia, zawiesiliśmy kilkoma znalezionymi kostiumami. Obszedłem jeszcze raz budynek dookoła i odkryłem dość duży ogród owocowo-warzywny. Na drzewach wisały jeszcze jabłka i gruszki. Zerwałem ich sporo i zabrałem z sobą.

Gdy ściemniło się na tyle, żeby dym nie był widoczny, rozpałem ogień na kominku

i zabraliśmy się do jedzenia. Byliśmy pod urokiem tajemniczości i bajkowości tej scenerii. Blask ognia błąkał się po wspaniałych boazeriach, a nasze cienie snuły się po ścianach jak duchy z jakiegoś innego, szczęśliwszego świata.

Zrobiło się ciepło, Helena zdjęła swe przemoczone rzeczy, by wysuszyć je nad kominkiem, i włożyła suknię z Paryża. Otworzyłem flaszkę wina. Nie mieliśmy szklanek i piliśmy wprost z butelki. Potem przebrała się znowu, wyjęła ze skrzyni domino i maseczkę i w tym maskaradowym stroju pobiegła poprzez mroczne schody budynku. Nawołując raz z góry, raz z dołu biegła po zamku. Jej głos dochodził zewsząd. Zniknęła mi z oczu i słyszałem tylko tupot jej nóg. Wreszcie wyłoniła się poza mną z ciemności i poczułem na moim barku jej oddech.

— Myślałem, że cię straciłem — powiedziałem i chwyciłem ją mocno w objęcia.

— Nie stracisz mnie nigdy — usłyszałem spod maseczki jej szept. — A wiesz dlaczego? Dlatego, że nigdy nie trzymałeś się mnie kurczowo jak chłop ziemi. Najbardziej czarujący mąż staje się wówczas nudny.

— Na pewno nie jestem czarującym mężem — odparłem zaskoczony.

Staliśmy na podeście między schodami. Przez niedomknięte drzwi pokoju sypialnego padało pasmo migotliwego światła na ornamentykę z brązu, zdobiącą balustradę, na ramiona i usta Heleny.

— Ty nie wiesz, kim jesteś — szepnęła i utkwiała we mnie lśniąco oczy, które z ukrytymi poza maską białkami jak oczy węża wpatrywały się we mnie nieruchome i przenikliwie. — Ale powinieneś wiedzieć, jak beznadziejni są ci wszyscy donżuani! Są jak suknie, które nosi się tylko jeden raz. Ale ty... ty jesteś serce.

Może sprawiały to nasze kostiumy, żeśmy takich słów używali. Ja również ubrałem się w domino, niechętnie zresztą. Nie miałem innego wyjścia, ponieważ moje ubranie, podobnie jak Heleny, było mokre i suszyło się przy kominku. Pod wpływem niezwykłych strojów, uroku i tajemniczości otoczenia z dawnej, pięknej epoki, myśmy się również zmienili i nasze usta były mniej skrępowane niż zwykle. Wierność i niewierność utraciły swą drobnomieszcząską ważkość i jednoznaczność. Jedno mogło znaczyć drugie i odwrotnie. Istniało nie tylko jedno czy drugie, istniały również rozmaite odcienie tych słów, a pojęcia straciły swoje znaczenie.

— Jesteśmy umarli — szeptała Helena. — Oboje. Nie obowiązują nas już żadne prawa. Jesteś nieboszczykiem z paszportem nieboszczyka, a ja umarłam dzisiaj w szpitalu. Spójrz na nasze ubranie! Jak pstre i złote nietoperze krążymy dokoła w dawno umarłym stuleciu. Owo stulecie słusznie nazwano pięknym, z jego menuetami pełnymi gracji i rokokowym niebem — lecz na końcu tego wieku wznosiła się gilotyna, tak jak wznosi się zawsze w chłodnym poranku po każdym święcie, błyszcząca i nieubłagana. A gdzie będzie stać nasza, najdroższy?

— Przestań, Heleno — powiedziałem.



— Nigdzie — szepnęła. — Gdzie stoi gilotyna dla umarłych? Nie może nas już przeciąć przecież, jak nie można przeciąć światła czy cienia. Ale czy już nie próbowano rozciąć splotu naszych ramion? Czy ktoś nie dąży nadal uparcie do tego? Zatrzymaj mnie w tym złotym mroku, może coś z tego pozostanie w nas i rozjaśni smutną chwilę ostatniego tchnienia...

— Nie mów tak, Heleno — prosiłem czując lekki dreszcz.

— Wspominaj mnie zawsze taką, jaką jestem teraz — szeptała nie słuchając mnie. — Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć...

— Pojedziemy do Ameryki, wojna również się kiedyś skończy — powiedziałem.

— Ja się nie skarzę — szepnęła tuż przy mojej twarzy. — My nie możemy się skarżyć. Czym byśmy byli, gdyby los potoczył się inaczej? Przeciętną znudzoną parą prowadzącą w Osnabrück przeciętne, monotonne życie, z przeciętnymi uczuciami i wyjazdem wakacyjnym w ciągu roku...

Roześmiałem się.

— Można to i tak ująć.

Była bardzo pogodna tego wieczoru i czciła go jak święto. Ze świecą i w złotych pantofelkach, które kupiła w Paryżu i potrafiła jakoś przechować, pobiegła do piwnicy i przyniosła nową butelkę wina. Stałem na schodach i patrzyłem, jak w ciemnościach wchodziła po stopniach do góry z twarzą zwróconą ku mnie i oświetloną blaskiem świecy na tle zwielokrotnionych cieni. Czułem się szczęśliwy, jeżeli szczęście można porównać z lustrem, w którym odbija się ukochana twarz, czysta i doskonała wśród cieni.

Ogień powoli dogasał. Helena usnęła między pstrymi rekwizytami. Była to dziwna noc. Później dopiero usłyszałem huk przelatujących samolotów, od którego cicho po-brzękiwały rokokowe lustra.

Spędziliśmy tak cztery dni. Potem musiałem pójść do najbliższej wsi po zakupy. Dowiedziałem się tam, że z Bordeaux odchodzą dwa statki.

— Czy nie ma tu jeszcze Niemców? — spytałem.

— I tak, i nie — odpowiedziano. — To zależy od tego, kim pan jest.

Podzieliłem się tą wiadomością z Heleną. Ku mojemu zdziwieniu zareagowała dość obojętnie.

— Heleno, statki! — powiedziałem wzburzony. — Uciekajmy stąd! Do Afryki, do Lizbony. Dokądkolwiek. Stamtąd można dalej.

— Dlaczego nie możemy pozostać tu? — odpowiedziała. — W ogrodzie mamy owoce i trochę warzyw. Będę gotowała, dopóki wystarczy drzewa. Chleb dostajemy we wsi... Czy mamy jeszcze pieniądze?

— Jest trochę. Mam też jeszcze rysunek. Mogę go sprzedać w Bordeaux, będziemy mieli na drogę.

— Kto kupi teraz rysunek?

— Ludzie, którzy chcą lokować swoje pieniądze.

Roześmiała się.

— W takim razie sprzedaj go i pozostajmy tutaj.

— Chciałbym, żeby to było możliwe.

Helenie bardzo się tu podobało. Po jednej stronie znajdował się nieduży park, a za nim sad i ogród warzywny. Był także staw, a nawet zegar słoneczny. Helena pokochała ten dom i zdawało się, że nawzajem dom ją pokochał. To były ramy stosowne dla niej, po raz pierwszy byliśmy nie w hotelu, nie w barakach. Życie w strojach maskaradowych i atmosferze pogodnej przeszłości budziło również we mnie czarowne nadzieje — niekiedy nawet wiarę, że po śmierci nastąpi życie — jakbyśmy już mieli pierwszą próbę tego za sobą. I mnie by się podobało, gdybyśmy mogli tak istnieć przez długie wieki.

Mimo wszystko myślałem dalej o statkach w Bordeaux. Wydawało mi się niemożliwe, by statki mogły odpłynąć, skoro miasto było częściowo okupowane. Ale był to okres chaosu wojennego. Między Francją i Niemcami formalnie istniał stan zawieszenia broni, ale to nie był pokój. Był teren okupowany i teren wolny, tylko nie było siły, która by mogła dopilnować przestrzegania układów. Poza tym istniała armia niemiecka i gestapo, nie zawsze współpracujące ze sobą zgodnie.

— Muszę to zbadać — powiedziałem. — Zaczekaj tu na mnie, spróbuję dotrzeć do Bordeaux.

Helena potrząsnęła głową.

— Nie zostanę tu sama. Idę z tobą.

Zrozumiałem ją. Już nie istniały strefy bezpieczne i niebezpieczne. Można ująć z życiem z kwatery głównej nieprzyjaciela — i zostać schwytanym na odległej wyspie przez agentów gestapo; wszystkie poprzednie skale uległy przewartościowaniu.

Dotarliśmy do Bordeaux korzystając z przypadkowych środków lokomocji, zna pan to zapewne. Dziś, kiedy o tym myślę, nie mogę pojąć, jak to było możliwe. Szliśmy pieszo, jechaliśmy samochodem ciężarowym, a raz nawet na grzbietach dobroduszných szkap wiejskich, które jakiś parobek prowadził do miasta na sprzedaż.

W Bordeaux znajdowały się już oddziały niemieckie. Miasto nie było okupowane, ale stacjonowało tam mnóstwo wojska. Podziałało to na nas wstrząsająco. W każdej chwili mogli nas aresztować. Helena miała na sobie skromny kostium, który wraz z suknią z Paryża, jedną parą spodni i dwoma swetrami stanowił całą jej garderobę. Ja byłem ubrany w roboczy kombinezon, poza tym miałem drugie ubranie w plecaku.

Rzeczy nasze zostawiliśmy na przechowanie w pewnej knajpie. Chodzenie po mieście z paczkami mogło się rzucać w oczy, chociaż widzieliśmy również wielu Francuzów kręcących się z walizkami w ręku.

— Idziemy do biura podróży zapytać o statek — powiedziałem do właściciela.

— Nikogo nie znamy w tym mieście.

Jak się okazało, rzeczywiście istniało tu jeszcze biuro podróży. W oknach dotąd wisiały stare plakaty: „Spędzaj jesień w Lizbonie”, „Algier, perła Afryki”, „Ferie na Florydzie”, „Słoneczna Granada”. Większość plakatów wyblakła ze starości, tylko te z Lizboną i Granadą zachowały jeszcze wspaniałe barwy.

Obyło się bez wyczekiwania przed okienkiem. Poinformował nas pewien czternastoletni ekspert, że z tymi statkami to wcale tak nie jest. Plotki tego rodzaju krążą od tygodni. W rzeczywistości na długo przed okupacją do portu zawinął statek angielski, by zabrać Polaków i emigrantów, którzy zgłosili się ochotniczo do polskich formacji wojskowych, tworzonych w Anglii. Obecnie nie odchodzi żaden statek.

Spytałem więc, co robią ci wszyscy ludzie zebrani w lokalu biura podróży.

— Przeważnie to samo, co państwo — odpowiedział nasz ekspert.

— A pan? — spytałem.

— Ja dałem spokój z wyjazdem. Znalazłem tu zarobek. Jestem tłumaczem, doradcą, fachowcem od załatwiania wiz, ekspertem w sprawach mieszkaniowych...

Nie dziwiłem się. Bieda czyni przedwcześnie dojrzałym, a młodość nic sobie nie robi z sentymentów czy uprzedzeń. Udaliśmy się wszyscy do kawiarni, gdzie na podstawie udzielonych przez eksperta informacji wyrobiłem sobie pogląd na ogólną sytuację. Nie jest wykluczone, że wojska zostaną wycofane, ale otrzymać kartę pobytu w Bordeaux było bardzo ciężko, a jeszcze trudniej wizę. Nieco lepiej przedstawiała się sprawa otrzymania wizej hiszpańskiej w Bayonne, był tam jednak niesamowity tłok. Stosunkowo lepiej miało wyglądać to w Marsylii. Ale w tym celu trzeba było przebyć ogromną drogę. Myśmy ją przebyli całą, później. Czy pan także? — zwrócił się Schwarz do mnie.

— Tak — odpowiedziałem. — To była droga krzyżowa.

Schwarz pokiwał głową.

— Po drodze zawadziłem oczywiście o konsulát amerykański — mówił dalej. — Ale Helena miała paszport niemiecki wydany przez władze nazistowskie. Jak mogliśmy dowieść, że znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Żydzi, którzy bez żadnych papierów tłoczyli się, wystraszeni, przed drzwiami konsulatu, zdawali się bezsprzecznie bardziej zagrożeni niż my. Nasze paszporty świadczyły przeciwko nam, nawet paszport zmarłego Schwarza.

Postanowiliśmy wrócić do naszego zameczku. Dwukrotnie zatrzymywali nas żandarmi. W obu wypadkach przyszedł mi w sukurs tupet. Ofuknięci przeze mnie żandarmi, widząc paszport, którym wymachiwałem im przed nosem, i słysząc o tym, że jako Niemiec z Austrii jestem w kontakcie z władzami wojskowymi, czym prędzej salutowali i dawali nam spokój. Helena śmiała się. Jej wydawało się to bardzo zabawne. Pomysł ten wpadł mi do głowy po raz pierwszy, gdy zażądałem zwrotu naszych rzeczy. Właściciel knajpy oświadczył wręcz, że żadnych paczek od nas nie otrzymał.

— Jeżeli państwo tak twierdzą, proszę bardzo, możecie wezwać policję — szydził z drwiącym uśmieszkiem. — Nie przypuszczam jednak, żebyście chcieli z takiej pomocy skorzystać.

— Obejdziemy się bez tego — odpowiedziałem. — Proszę natychmiast zwrócić nasze rzeczy!

Właściciel skinął na służącego.

— Henri, ten pan chciałby się stąd wynieść.

Służący zbliżył się do mnie z zakasnymi rękawami.

— Zastanawiam się, Henri — powiedziałem — czy doprawdy pilno panu zobaczyć, jak wygląda niemiecki obóz koncentracyjny?

— Ta gueule — odpowiedział Henri i podniósł ramię do ciosu.

— Strzelaj pan, sierżancie! — krzyknąłem ostro i spojrzałem przed siebie, ponad głową napastnika.

Henri dał się na to nabrać. Obejrzał się, a ja z całej siły kopnąłem go w genitalia. Ryknął z bólu i zwałił się na ziemię. Gospodarz złapał za butelkę i ruszył zza kontuaru na mnie. Porwałem butelkę dubonnet, stojącą na ladzie. Stłukłem ją o brzeg kontuaru i z zębatym czerepem w ręku czekałem na atak. Knajpiarz zatrzymał się. Za mną pękła druga butelka. Nie mogłem obejrzeć się w tył, by nie spuścić z oczu napastnika.

— To ja — powiedziała Helena i krzyknęła do knajpiarza: — Salaud! Dawaj zaraz tu rzeczy albo zmasakruję ci gębę!

Wysunęła się naprzód z rozbitą butelką w ręku i pochyłona zamierzyła się na knajpiarza. Trzymałem ją mocno wolną ręką. Złapała prawdopodobnie butelkę pernod, gdyż dookoła rozszedł się zapach anyżu. Na knajpiarza spadła lawina portowych przekleństw. Helena szamotała się próbując oderwać się ode mnie. Gospodarz czym prędzej wycofał się za kontuar.

— Co się tu dzieje? — zawołał ktoś od progu po niemiecku.

Gospodarz wyszczerzył zęby w szyderyczym uśmiechu.

Helena odwróciła się. Niemiecki podoficer, którego przed chwilą podsunęła mi wyobraźnia, by unieszkodliwić napastnika, stał tym razem rzeczywiście w drzwiach.

— Czy on jest ranny? — zapytał Niemiec.

— Ta świnią? — Helena wskazała na pomocnika knajpiarza, który wciąż jeszcze, wcinawszy pięści między nogi i podkuliwszy kolana, tarzał się po podłodze.

— To nie krew. To dubonnet!

— Czy jesteście Niemcami? — zapytał podoficer.

— Tak — odpowiedziałem. — Okradziono nas tu.

— Macie dokumenty?

Gospodarz uśmiechnął się ironicznie, prawdopodobnie coś niecoś rozumiał po niemiecku.

— Naturalnie — pośpieszyła z odpowiedzią Helena. — I prosimy o pomoc! — Paszport trzymała uniesiony do góry. — Jestem siostrą Obersturmbannführera Jürgensa. Tu proszę... — wskazała na datę trzymanego w ręku dowodu. — Mieszkamy w zamku — wymieniła nazwę, której nigdy nie słyszałem — przyjechaliśmy na jeden dzień do Bordeaux. Nasze rzeczy zostawiliśmy na przechowanie u tego złodzieja. Twierdzi teraz, że nic od nas nie przyjmował. Proszę, niech pan nam pomoże!

Helena znów szarpnęła się w kierunku knajpiarza.

— Czy to prawda? — zapytał go podoficer.

— Oczywiście że prawda! Kobieta niemiecka nie kłamie! — wyrecytowała Helena jeden z idiotycznych reżimowych sloganów.

— A kim pan jest? — zwrócił się podoficer do mnie.

— Szoferem — wyjaśniłem i dotknąłem mojego roboczego ubrania.

— Dawaj pan! Ale już! — krzyknął do właściciela Niemiec. Mężczyzna za ladą przestał się uśmiechać. — Czy chcesz pan, żebyśmy zamknęli tę budę? — zapytał podoficer.

Helena z widoczną satysfakcją przetłumaczyła jego słowa, dodając od siebie pewną ilość „salaud” i „sales etrangers”. To ostatnie szczególnie mi się podobało. Rozkosz nazywania Francuza w jego własnym kraju zafajdanym cudzoziemcem może w pełni zrozumieć tylko ten, kto nieraz sam był obdarzony takim epitetem.

— Henri! — ryknął gospodarz. — Gdzie podziałeś te rzeczy? Ja nic o tym nie wiem — tłumaczył się przed podoficerem. — To ten łobuz musiał to zrobić.

— On łże — oświadczyła Helena. — Chce zwalić winę na tego goryla. Wyciągnij pan rzeczy! Żywo! — zawołała do knajpiarza. — Albo sprowadzimy tu zaraz gestapo!

Gospodarz zdzielił służącego kopniakiem. Ten, kuśtykając, znikł za drzwiami.

— Proszę darować — odezwał się knajpiarz. — Zaszło nieporozumienie. Może kieliszek?

— Koniak — odpowiedziała Helena. — Ten najlepszy.

Gospodarz postawił kieliszek na ladzie. Helena spojrzała na niego. Dostawił jeszcze dwa kieliszki.

— Pani jest dzielną niewiastą — stwierdził podoficer.

— Niemiecka kobieta nie boi się niczego — zacytowała Helena nazistowską formułkę i odrzuciła rozbitą butelkę pernod.

— Jakim wozem pan jeździ? — zwrócił się podoficer do mnie.

Spojrzałem prosto w jego spokojne szare oczy.

— Oczywiście mercedesem, wozem Führera.

Skinał głową z aprobatą.

— Pięknie tu jest, co? Nie tak jak u nas, ale jednak pięknie. Czy nie uważają państwo?

— Bardzo pięknie. Nie tak jak u nas, to jasne.

Popijaliśmy. Koniak był doskonały. Nadszedł Henri z naszymi rzeczami i położył je na krześle. Sprawdziliśmy zawartość plecaka, niczego nie brakowało.

— W porządku — powiedziałem do podoficera.

— To wina tego łajdaka — usprawiedliwiał się gospodarz. — Zwalniam cię, Henri! Wynoś mi się natychmiast!

— Dziękuję panu — powiedziała Helena do podoficera. — Zachował się pan, jak przystało na Niemca i dżentelmena.

Podoficer zaszutował. Miał chyba niecałe dwadzieścia pięć lat.

— Należy się jeszcze za dubonnet i butelkę pernod, te stłuczone — odezwał się knajpiarz, któremu znów przybyło odwagi.

Helena przetłumaczyła podoficerowi.

— Temu daleko do dżentelmena — stwierdziła. — Musieliśmy się przecież czymś bronić.

Sierżant wziął jeszcze jedną butelkę z lady.

— Pozwoli pani — zwrócił się z galanterią do Heleny. — Ostatecznie nie na próżno jesteśmy zwycięzcami!

— Pani nie pije cointreau — wyjaśniłem. — Niech pan weźmie jeszcze butelkę koniaku, nawet jeżeli jest napoczęta.

Podoficer zażądał koniaku i ofiarował go Helenie. Schowałem butelkę do plecaka. Pożegnaliśmy się przed drzwiami. Obawiałem się, by żołnierz nie chciał nam towarzyszyć do rzekomego mercedesa. Ale Helena zręcznie go spławiła.

— U nas nigdy by się coś takiego nie zdarzyło — powiedział dumnie młody człowiek przy pożegnaniu. — U nas jest porządek.

Popatrzyłem w ślad za nim. „Porządek — pomyślałem. — Tortury, strzał w tył głowy, masowe mordy! Wolę już sto tysięcy takich drobnych złodziejasków jak ten knajpiarz.”

— Jak się czujesz? — spytała Helena.

— Świetnie. Nie wiedziałem, że potrafisz tak kłać.

Roześmiała się.

— Nauczyłam się tego w obozie. Jak to wyzwala! Cały rok obozu spłynął mi nagle z ramion! Ale ty? Gdzie się nauczyłeś bić stłuczonymi butelkami i z ludzi robić eunuchów.

— W walce o prawa człowieka — odpowiedziałem. — Żyjemy w wieku paradoksów. By utrzymać pokój, prowadzimy wojnę.

Tak to prawie wyglądało. Było się zmuszonym do okłamywania i oszukiwania, by obronić siebie i zachować życie. W następnych tygodniach kradłem chłopom z ogrodów owoce i mleko z piwnic. Był to szczęśliwy okres. Niebezpieczny, śmieszny, niekiedy pełen rozpacz, często groteskowy — ale nigdy zaprawiony goryczą. Opisałem panu

scysję z knajpiarzem. Podobne sytuacje zaczęły się powtarzać coraz częściej. Zna pan to zapewne z doświadczenia?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Jeżeli można się zdobyć na takie podejście, sytuacje były istotnie często komiczne — odparłem.

— Nauczyłem się tego — odparł Schwarz — dzięki Helenie. Była jak człowiek bez przeszłości. To, co ja niekiedy tylko wyczuwałem, była dla niej promienną rzeczywistością. Przeszłość zapadała się za nią każdego dnia, jak lód na jeziorze, kiedy spadnie lawina. Tym intensywniej przeżywała teraźniejszość. To, co u innych rozkładało się na całe życie, u niej koncentrowało się na jednej chwili. Nie była to jednak koncentracja sztywna. Była człowiekiem w pełni wyzwolonym — pogodna jak muzyka Mozarta i nieubłagana jak śmierć. Pojęcie moralności i odpowiedzialności — w ciasnym ujęciu — przestało dla niej istnieć. Wyższe, niemal abstrakcyjne prawa wkroczyły na ich miejsce. Nie miała już czasu na co innego. Niby fajerwerk spalała się — bez popiołu. Nie szukała już ratunku, nie domyślałem się jeszcze wówczas tego. Wiedziała, że jest stracona. Uległa jednak mojemu uporowi, a ja, głupi, wlokłem ją przez drogę krzyżową, przez wszystkie dwanaście stacji: od Bordeaux do Bayonne, a potem niekończącą się drogą do Marsylii i z powrotem aż tutaj.

Gdyśmy wrócili do zameczku, był już zajęty. Ujrzeliśmy żołnierzy wznoszących drewniane warsztaty oraz kilku oficerów paradujących, niby pawie, w mundurach lotniczych i w wysokich błyszczących butach.

Obserwowaliśmy ich z parku, ukryci w krzakach za statua jakiejś marmurowej bogini. Było łagodne, późne popołudnie.

— Czy mamy tam jeszcze co? — spytałem.

— Jabłka na drzewach, powietrze, złoty październik i nasze marzenia — odpowiedziała Helena.

— Zostawialiśmy je za sobą wszędzie — odpowiedziałem.

— Jak jesienią nitki babiego lata.

Oficer na tarasie rzucił ostrym głosem kilka rozkazów.

— Głos dwudziestego stulecia — powiedziała Helena. — Chodźmy stąd. Gdzie będziemy spali dzisiejszej nocy?

— Przenocujemy gdzieś w stogu siana — powiedziałem. — A może nawet na jakimś łóżku. Tak czy inaczej jednak — razem.

## 16.

Czy przypomina pan sobie plac przed konsulem w Bayonne? — zapytał Schwarz.  
— Te szeregi zrozpaczonych uchodźców, którzy ogarnięci paniką tłoczyli się przy wejściu, jęczeli i płakali walcząc o miejsce?

— Przypominam sobie, że nazywano go „placem kartkowym” — odpowiedziałem.  
— Kartka dawała prawo do czekania na placu. Mimo to tłum blokował wejście. Kiedy otwierały się okna, jęki zamieniały się w ryk i wycie. Paszporty musiano wyrzucać przez okna. Ten las wyciągniętych rąk!

Ładniejsza z dwu dziewcząt, które siedziały jeszcze w knajpie, zbliżyła się do nas i ziewnęła.

— Śmieszni jesteście — powiedziała. — Gadacie i gadacie! Na nas już czas, idziemy spać. Jeżeli macie zamiar jeszcze gdzieś posiedzieć — wszystkie knajpy w mieście są już otwarte.

Otworzyła drzwi. Do wnętrza wdarł się jasny, zgiełkliwy poranek. Świeciło słońce. Dziewczyna zamknęła drzwi z powrotem. Popatrzyłem na zegarek.

— Statek nie odpływa dziś po południu — oznajmił Schwarz.

— Rusza dopiero jutro wieczorem.

Nie wierzyłem mu. Schwarz zauważył to.

— Chodźmy gdziekolwiek — powiedział.

Hałas na ulicy po ciszy panującej w knajpie wydał się w pierwszej chwili nie do zniesienia. Schwarz zatrzymał się.

— O, jak to pędzi i wrzeszczy! — powiedział spoglądając na gromadę wyrostków wlokących kosze z rybami. — Naprzód, wciąż naprzód. Jak gdyby nikogo nie zabrakło.

Szliśmy w dół w stronę portu. Woda była lekko wzburzona, wiatr chłodny i dość silny. Słońce świeciło mocno, lecz nie grzało. Skrzypiały żagle. Z rana każdy był zajęty swoją pracą. Myśmy się snuli wśród całej tej krzątaniny jak dwa zwiędłe liście.

— Czy jeszcze mi pan nie wierzy, że statek odpływa dopiero jutro? — zapytał Schwarz.

W bezlitosnym świetle poranka wyglądał ogromnie zmęczony i przygnębiony.



— Nie mogę — odpowiedziałem. — Powiedział pan przedtem, że odpływa dzisiaj. Chodźmy i spytajmy się. Jest to zbyt ważne dla mnie.

— Tak jak było dla mnie. Potem naraz przestało być ważne.

Nie odpowiedziałem. Szliśmy dalej. Nagle ogarnęło mnie wściekłe zniecierpliwienie. Dookoła wołało przelewające się przez brzegi, bujne życie. Noc była za nami. Jaki sens miało dalsze wywoływanie duchów?

Zatrzymaliśmy się przed jakimś przedsiębiorstwem obwieszonym prospektami. W oknie widniała biała wywieszka z zawiadomieniem o przesunięciu terminu odejścia statku na następny dzień.

— Jestem już bliski końca — powiedział Schwarz.

Jeden dzień miałem wygrany. Nie zadowolając się jednak wywieszką, szarpnąłem drzwi. Były zamknięte. Obserwowało mnie około dziesięciu ludzi. Gdy tylko nacisnąłem klamkę, przysunęli się ze wszystkich stron o kilka kroków bliżej. Byli to emigranci. Stwierdziwszy, że drzwi są jeszcze zamknięte, cofnęli się i znowu z udanym zainteresowaniem oglądali wystawy.

— Jak pan widzi, ma pan jeszcze dość czasu — odezwał się Schwarz i zaproponował, byśmy wstąpili na kawę tu w porcie.

Siedział jakiś czas w milczeniu, popijając łąpczywie gorącą kawę i obejmując filiżankę rękami, jak gdyby miał je zziębnięte.

— Która to już godzina? — spytał po chwili.

— Pół do ósmej.

— Jeszcze godzina — szepnął. — Za godzinę przyjdą. — Spojrzał na mnie. — Nie mam zamiaru opowiadać panu jakiejś jeremiady. Tak by pan to nazwał?

— Nie.

— A jak?

Przez chwilę wahałem się.

— Dla mnie jest to historia miłości — odpowiedziałem wreszcie.

Z twarzy jego znikł nagle wyraz napięcia.

— Dziękuję — powiedział. Starał się opanować. — Zaczęło się to w Biarritz. Dowiedziałem się, że z St. Jean de Luz ma odpłynąć łódź. To była nieprawda. Gdy wróciłem do pensjonatu, znalazłem Helenę ze zmienioną twarzą, leżącą na podłodze.

— Złapały mnie konwulsje — szepnęła. — To zaraz przejdzie. Zostaw mnie!

— Zawołam natychmiast lekarza.

— Nie potrzeba żadnego lekarza! — wykrztusiła. — Nie trzeba. To mi zaraz przejdzie! Wyjdź! Za pięć minut bądź z powrotem. A teraz zostaw mnie samą! Rób, co ci każę! Nie chcę lekarza! No idźże już! — krzyknęła. — Ja wiem, co mówię. Przyjdź za dziesięć minut. Wtedy możesz...

Skinęła ręką, żebym wyszedł. Nie mogła dalej mówić. Ale w oczach jej było tyle nie-

pojętego wprost błagania, że wyszedłem. Stałem i patrzyłem bezmyślnie na ruch uliczny. Wreszcie spytałem o lekarza. Poinformowano mnie, że o parę ulic dalej mieszka doktor Dubois. Pobiegłem. Ubrał się i poszedł za mną.

Gdy weszliśmy do pokoju, Helena leżała na łóżku. Jej twarz była mokra od potu; uspokoiła się już nieco.

— Sprowadziłeś lekarza — powiedziała z takim wyrzutem, jak gdybym był jej najgorszym wrogiem.

Doktor Dubois, utykając lekko, zbliżył się do łóżka.

— Ja nie jestem chora — szepnęła.

— Madame — rzekł Dubois uśmiechając się — czy pozwoli pani, że stwierdzi to lekarz?

Otworzył teczkę i wyjął potrzebne instrumenty.

— Zostaw nas samych — zwróciła się do mnie Helena.

Wyszedłem, skonsternowany, z pokoju. Przypomniałem sobie nagle rozmowę z lekarzem obozowym. Spacerowałem tam i z powrotem po ulicy, z wzrokiem wlepionym w szyld zawieszony nad garażem. Potężna sylwetka ludzka, utworzona z gumowego szlauchu, wyglądała na szyldzie jak posepny symbol trzewi i pełzającego białego robactwa. Z garażu dochodziły odgłosy klepania, jak gdyby ktoś szykował już metalową trumnę. Uświadomiłem sobie naraz, że to groźne stało za nami już od dawna, jak wypłowiałe tło, na którym tym wyraźniej zarysowywały się kontury naszego życia, niby las w słońcu przed nadciągającą burzą.

W jakiejś chwili nadszedł doktor Dubois. Miał niewielką spiczastą bródkę i był prawdopodobnie lekarzem zdrojowym, aplikującym swoim pacjentom proste środki na kaszel lub na przepicie. Gdy zobaczyłem, jak kuśtykając zbliża się do mnie, ogarnęła mnie rozpacz. W Biarritz był teraz martwy sezon, pewnie cieszył się, że go wezwałem.

— Pańska małżonka... — powiedział.

Wpiłem się w niego oczami.

— Co? — zapytałem. — Do diabła, niech mi pan powie prawdę albo niech pan nic nie mówi!

Delikatny, piękny uśmieszek odmienił go na chwilę zupełnie.

— To — powiedział i sięgnął do kieszeni po bloczek, na którym nakreślił coś bardzo niewyraźnym pismem. — Proszę — rzekł. — Niech pan to kupi w aptece. Recepty niech pan zażąda z powrotem. Może pan stale z niej korzystać. Odnotowałem to na niej.

Wziąłem do ręki białą kartkę.

— Co jej jest? — spytałem.

— Niczego nie może pan już zmienić — odpowiedział. — Niech pan zapamięta! Niczego nie może pan zmienić.

— Co to jest? Chcę wiedzieć prawdę, mam dość tej tajemniczości!

Nie odpowiedział.

— Gdy tylko zajdzie potrzeba, niech pan zaraz idzie z tym do apteki. Wydadzą panu.

— Co to jest?

— Silny środek uspokajający. Wydaje się tylko na zlecenie lekarza.

— Ile jestem winien?

— Nic.

Odszedł kulejąc lekko. Na rogu odwrócił się.

— Nigdy ani słowa o tym — szepnął. — Ani słowa. Niech pan przyniesie lekarstwo i przechowuje w jakimś miejscu, gdzie żona pańska będzie je mogła znaleźć! Ale niech pan nigdy o tym nie mówi! Ona wie wszystko. Jest godna podziwu.

— Heleno — powiedziałem. — Co to wszystko znaczy? Jesteś chora. Dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć?

— Nie męcz mnie — odpowiedziała głucho. — Pozwól mi żyć tak, jak ja tego pragnę.

— A więc nie chcesz o tym mówić ze mną?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie ma o czym mówić.

— Czyż nie mógłbym ci pomóc?

— Nie, najdroższy — odpowiedziała. — Tym razem nie jesteś w stanie mi pomóc. Gdybyś mógł, powiedziałabym ci.

— Mam jeszcze ostatniego Degasa. Mogę go tu sprzedać. W Biarritz są bogaci ludzie. Dostaniemy za to dość pieniędzy, by cię umieścić w szpitalu.

— Żeby mnie zamknąć? To mi nic nie pomoże.

— Czy jest aż tak źle?

Popatrzyła na mnie tak żałośnie i z taką rozpaczą, że już nie pytałem więcej. Postanowiłem, że pójdę później do Dubois i spytam go jeszcze raz.

Schwarz milczał.

— Czy to był rak? — zapytałem.

Skinał głowę.

— Należało się dawno tego spodziewać. Już wtedy, gdy była w Szwajcarii, powiedziano jej, że może jeszcze raz poddać się operacji, ale to nic nie da. Była już przedtem operowana; to była ta blizna, którą widziałem. Profesor powiedział jej potem prawdę. Miała do wyboru albo parę bezskutecznych operacji, albo krótki okres życia bez szpitala. Powiedział otwarcie, że nie może określić dokładnie, czy ponowna interwencja chirurgiczna przedłuży jej życie. Rozstrzygnęła to sama, wypowiedziała się przeciwko operacji.

— I tego nie chciała panu powiedzieć?

— Nie. Nienawidziła choroby. Próbowwała ją ignorować. Czuła się, jak gdyby była nieczysta — jak gdyby wewnątrz była drążona przez robaka. Miała uczucie, że choroba jest jakimś zwierzęciem w rodzaju ośmiornicy, która w niej żyje i rozwija się. Bała się, że nabiorę do niej wstrętu, jeżeli się o tym dowiem. Sądzę, że ukrywając swój stan wciąż jeszcze liczyła na to, że uda się jej zwalczyć chorobę.

— Czy nigdy nie rozmawiał pan z nią o tym?

— Niewiele. Rozmawiałem z doktorem Dubois, którego potem udało mi się nakłonić do poinformowania mnie o wszystkim. Od niego otrzymałem wówczas potrzebny jej środek. Powiedział również, że bóle będą wzmagaly się. Ale może też być tak, że wszystko się skończy łagodnie od razu. Z Heleną nie rozmawiałem o tym. Nie chciała. Groziła, że się zabije, jeżeli nie dam jej spokoju. Udawałem więc, że wierzę jej, jakoby były to tylko niegroźne konwulsje.

Musieliśmy opuścić Biarritz. Oszukiwaliśmy się nawzajem. Helena obserwowała mnie, a ja ją, wkrótce jednak oszustwo przybrało dziwną moc. Zaczęło niszczyć przede wszystkim to, czego się najbardziej obawiałem: pojęcie czasu. Podział na tygodnie i miesiące przestał istnieć, a strach przed krótkotrwałością czasu, jaki nam pozostał, stał się w ten sposób przejrzysty jak szkło. Trwoga nie przesłaniała, a raczej zabezpieczała nam nasze dni. Wszystko, co mogło temu przeszkadzać, odbijało się od niej — nie miało wstępu. Dawałem upust swojej rozpacz, kiedy Helena spała. Wtedy patrzyłem na jej twarz, jak spokojnie oddycha, i na moje zdrowe ręce, i pojmowałem okropne osamotnienie, które narzucało nam nasze ciało, rozstanie, którego nic nie jest w stanie powstrzymać. Moja zdrowa krew nie mogła uratować chorej krwi ukochanej. Tego nie można zrozumieć i śmierci nie można zrozumieć.

Chwila była wszystkim. Jutro wydawało się nieskończenie dalekie. Dzień zaczynał się, gdy budziła się Helena. A kiedy zasypiała i czułem ją obok siebie, zaczynała się oscylacja między nadzieją i zwątpieniem, układanie planów budowanych na fundamentach marzeń i cudu, opartych na filozofii „jakoś to będzie”, i przymykanie oczu; wszystko to rozwiewało się z rannym blaskiem i ginęło we mgle.

Było coraz zimniej. Degasa miałem przy sobie, przedstawiał majątek, za który mógłbym popłynąć do Ameryki, chętnie bym go teraz sprzedał. Ale w małych miastach i wsiach nie było nikogo, kto chciałby go kupić. W niektórych miejscowościach wynajmowaliśmy się do pracy. Nauczyłem się pracy w polu. Rąbałem drzewo i kopałem ziemię. Nie byliśmy jedyni. Widziałem profesorów piłujących drzewo i śpiewaka operowego, który kopał buraki. Chłopi, jak to chłopi, korzystali skwapliwie z nadarzającej się okazji otrzymania taniej siły roboczej. Niektórzy coś płacili; inni dawali wyżywienie i pozwalali zatrzymać się na noc i gdziekolwiek się przespać. Byli i tacy, którzy gnali nas precz. Tak dotarliśmy do Marsylii. Czy był pan w Marsylii?

— A kto tam nie był? — odpowiedziałem. — To był teren łowów żandarmerii i ge-

stapo. Wyłapywali emigrantów przed konsulatami jak zające.

— Nas także omalże nie złapali — powiedział Schwarz. — Trzeba stwierdzić, że prefekt Service Strangers w Marsylii robił, co mógł, by emigrantów ratować. Mnie w tym czasie wciąż jeszcze prześladowała jedna myśl: muszę zdobyć wizę amerykańską. Zdawało mi się, że w ten sposób nawet chorobę Heleny udałoby mi się zahamować. Pan wie, że wizę amerykańską mogły otrzymać tylko osoby, które były w stanie udowodnić, że grozi im wielkie niebezpieczeństwo albo że znajdują się na sporządzonej w Ameryce liście wybitnych artystów, naukowców, intelektualistów. Jak gdyby nam wszystkim nie groziło niebezpieczeństwo i jakbyśmy wszyscy nie byli ludźmi. Czy podział na wybitne i przeciętne jednostki nie ma w sobie czegoś z rasistowskiej teorii nadludzi?

— Nie mogli zabrać wszystkich — odpowiedziałem.

— Tak pan sądzi? — zapytał Schwarz.

Nie odpowiedziałem. Bo i co mogłem odpowiedzieć? „Tak” i „nie” znaczyło to samo.

— A dlaczegoż to nie tych najbardziej opuszczonych? — spytał Schwarz. — Tych bezgłośnych nazwisk i zasług?

I tym razem nie odpowiedziałem. Schwarz miał dwie amerykańskie wizy — o co więc mu chodzi? Czyż nie wiedział, że Ameryka wydawała każdemu wizę, kto miał poręczenie stamtąd, że nie będzie ciężarem dla państwa?

Sprawę tę poruszył za chwilę.

— Nie znałem nikogo po tamtej stronie. Ale ktoś dał mi pewien adres w Nowym Jorku. Napisałem tam. Napisałem także gdzie indziej. Przedstawiłem naszą sytuację. Potem dowiedziałem się od jednego znajomego, że popełniłem błąd: do Stanów nie wpuszcza się chorych. Chorych nieuleczalnie w ogóle nie. Musiałem zatem podać Helenę jako zdrową. Zdarzyło się, że część tej rozmowy podsłuchiwała. Było to nie do uniknięcia — nikt o niczym innym nie mówił w tym rozgrzebanym mrowisku, jakim była Marsylia.

Siedzieliśmy tego wieczoru w restauracji w pobliżu Cannebiere. Na ulicy hulał wiatr. Byłem w dość dobrym nastroju. Spodziewałem się, że znajdę współczującego lekarza, który wyda Helenie świadectwo zdrowia.

Nadal uprawialiśmy tę samą grę, udawaliśmy przed sobą, że nic nie wiem. Napisałem do prefekta obozu, w którym przebywała Helena, prosząc o nadesłanie nam potwierdzenia, że grozi nam niebezpieczeństwo. Znaleźliśmy mały pokoik; otrzymałem zezwolenie na tygodniowy pobyt i pracowałem w nocy nielegalnie w jednej z restauracji przy zmywaniu talerzy; mieliśmy trochę pieniędzy i pewien aptekarz wydał mi na receptę doktora Dubois dziesięć ampułek morfiny — a zatem chwilowo posiadaliśmy wszystko, czego nam było potrzeba.

Siedzieliśmy w restauracji przy oknie i patrzyliśmy na ulicę. Mogliśmy pozwolić

sobie na ten luksus, ponieważ przez tydzień nie musieliśmy się ukrywać. W pewnej chwili Helena, przerażona, chwyciła mnie za rękę. Jej wzrok wbity był w szumiącą ciemność za oknem.

— Georg! — wyszeptała.

— Gdzie?

— W otwartym samochodzie, tam. Poznałam go. Przejeżdżał tędy przed chwilą.

— Jesteś pewna, że to był on?

Skinęła głową.

Wydawało mi się to niemożliwe. Usiłowałem rozpoznawać twarze ludzi w przejeżdżających mimo samochodach. Bez powodzenia. Ale to mnie nie uspokoiło.

— Dlaczego ma być właśnie w Marsylii? — powiedziałem i natychmiast pomyślałem, że oczywiście musi być w Marsylii, w ostatniej przystani emigrantów uciekających z Francji.

— Musimy stąd uciekać — powiedziałem.

— Dokąd?

— Do Hiszpanii.

— Czy nie jest tam jeszcze niebezpieczniej?

Obiegały wieści, że w Hiszpanii gestapo poczyną sobie jak u siebie w domu i że również tam emigranci są wyłapywani i wywożeni. Ale w tym czasie słyszało się tak wiele plotek, że trudno było wszystkiemu dawać wiarę.

Spróbowałem ponownie starego sposobu: trzeba było postarać się o wizę tranzytową do Hiszpanii, ale nie można jej było otrzymać, o ile się nie miało wizy portugalskiej, a ta znowu była uzależniona od wizy innego kraju. Do tego dochodziła jedna z najbardziej zagadkowych szykan biurokratycznych: zezwolenie na wyjazd z Francji.

Któregoś wieczoru poszczęściło się nam. Zagadnął nas jakiś Amerykanin. Miał nieco w czubie i szukał kogoś, z kim mógłby porozmawiać po angielsku. Po kilku minutach siedzieliśmy wszyscy razem przy stole z zamówionymi przez niego napojami. Mógł mieć około dwudziestu pięciu lat i czekał na statek, który miał go zabrać do Ameryki.

— Dlaczego nie jedzicie także? — zapytał.

Jakiś czas milczałem. To naiwne pytanie po prostu zbiło mnie z tropu. Oto siedzi człowiek, jak gdyby z jakiejś innej planety. To, co dla niego było samo przez się zrozumiałe, jak to, że oddycha, dla nas było nieosiągalne jak mleczna droga.

— Nie posiadamy wizy — powiedziałem w końcu.

— Przecież mogą wam jutro wydać. W Marsylii jest nasz konsul. Bardzo mili ludzie.

Znałem tych miłych ludzi. To byli półbogowie, żeby zobaczyć ich sekretarzy, trzeba było przez długie godziny wystawać na ulicy. Później pozwolono czekać w piwnicy, gdyż na ulicy coraz częściej powtarzały się łapanki dokonywane przez gestapo.

— Pójdziemy tam jutro razem — powiedział Amerykanin.

— Dobrze — powiedziałem bez przekonania.

— Wypijemy dziś za pomyślne załatwienie sprawy.

Piliśmy, miałem przed sobą świeżą twarz Amerykanina, który nie miał pojęcia o niczym. I to właśnie było nie do zniesienia. Helena tego wieczoru była aż przezroczysta. Amerykanin opowiadał nam o morzu światła na Broadwayu w Nowym Jorku — brzmiało to jak bajka w tym posępnym mieście. Obserwowałem Helenę, gdy słuchała o popularnych aktorach, o sztukach, lokalach, o tym całym oszałamiającym zgiełku miasta, które nigdy nie zaznało wojny. Byłem zgnębiony, lecz jednocześnie zadowolony, że Helena wykazuje tak żywe zainteresowanie, gdyż dotychczas wszystko, co dotyczyło Ameryki, przyjmowała z milczącą biernością. W zasnutej smugami dymu tytoniowego knajpie twarz jej nabierała z wolna życia, śmiała się i przyrzekała młodemu człowiekowi, że pójdzie z nim na sztukę, która tamtemu szczególnie się podobała. Piliśmy i byliśmy przeświadczeni, że jutro wszystko pójdzie w zapomnienie.

Okazało się, że się myliłem. O dziesiątej nasz Amerykanin zapukał do drzwi. Przyjechał, by nas zabrać. Mnie po wczorajszej libacji męczył kacenjamer, Helena nie zdradzała chęci pójścia z nami. Padał deszcz. Doszliśmy do stłoczonych w gromadę emigrantów. Nastąpiło coś fantastycznego: przecięliśmy ją, rozstała się przed nami jak Morze Czerwone przed Żydami — emigrantami z kraju faraona. Zielona książeczka była tym złotym kluczem z bajki, który otwierał każde drzwi.

Zaczęło się coś niepojętego. Młody człowiek oświadczył nonszalancko, gdy się dowiedział, o co chodzi, że składa w naszej sprawie poręczenie. Wydało mi się to ze względu na jego wiek czystym nonsensem. Przypuszczałem, że tylko ktoś starszy ode mnie może ręczyć za mnie. W konsulacie zabawiliśmy około godziny. Tydzień przedtem napisałem podanie uzasadniające, dlaczego jestem zagrożony, dołączając opinie ściągnięte z trudem ze Szwajcarii, w których stwierdzano, że przebywałem w obozie w Niemczech oraz że jesteśmy z Heleną tropieni przez Georga, który chce nas odstawić z powrotem do Niemiec. Oświadczone mi, że mam się zgłosić za tydzień. Na ulicy młody Amerykanin potrząsnął mi mocno rękę.

— Cieszę się, żeśmy się spotkali. Oto... — wręczył mi kartę wizytową — proszę zadzwonić do mnie, gdy państwo będziecie po tamtej stronie.

Uklonił się i chciał odejść.

— A jeżeli się coś stanie? Jeżeli będę jeszcze pana potrzebował? — spytałem.

— Co może się jeszcze stać? Wszystko jest w porządku. — Roześmiał się. — Mój ojciec jest dość znany. Dowiedziałem się, że jutro odpływa statek do Oranu; chcę się nim zabrać. Kto wie, kiedy znowu tu będę. Lepiej jeszcze coś niecoś pooglądać, dopóki można.

Znikł. Tymczasem otoczyło mnie z pół tuzina emigrantów, prosząc o jego nazwi-

sko i adres; domyślali się, co zaszło, i pragnęli, by również im to załatwił. Kiedy powiedziałem, że nie wiem, gdzie w Marsylii mieszka, obrzucili mnie wyzwiskami. Ja zaś naprawdę nie wiedziałem. Pokazałem im wizytówkę z jego amerykańskim adresem. Zapisali go sobie. Wyjaśniłem im, że to jest bezcelowe, ponieważ Amerykanin odjeżdża do Oranu. Odpowiedzieli, że w takim razie będą na niego czatowali przy statku. Poszedłem do domu w nastroju dość niewyraźnym. Męczyły mnie wątpliwości, czy nie popsulem wszystkiego, pokazując im jego wizytówkę. Ogarnęło mnie uczucie niepewności i im bliżej byłem domu, tym bardziej wydawało mi się to wszystko nierealne.

Opowiedziałem o wszystkim Helenie. Uśmiechnęła się. Była tego wieczoru niezwykle łagodna. W małym, zajmowanym przez nas pokoiku, wynajmowanym przez sublokatora i podnajmowanym przez nas od niego — zna pan przecież te adresy przekazywane z ust do ust — śpiewał niezmiernie zielony kanarek. Zobowiązaliśmy się, że będziemy się nim opiekować. Jakiś obcy kot przychodził wciąż skądś z okolicznych dachów i usadawiał się przy oknie, wlepiając żółte ślepia w ptaszka wiszącego w swym drucianym domku. Było chłodno, jednakże Helena wolała mieć okna otwarte. Wiedziałem, że męczyły ją bóle. To była jedna z oznak...

Dom był niespokojny do późna.

— Czy pamiętasz jeszcze nasz mały zameczek? — spytała Helena.

— Przypominam go sobie, ale tak, jak gdyby ktoś mi o tym opowiadał — odrzekłem. — Jakbym to nie ja, lecz ktoś inny w nim przebywał.

Popatrzyła na mnie.

— Może to i tak. W każdym jest kilku ludzi — powiedziała po chwili. — Całkiem różnych. Niekiedy usamodzielniają się nagle i przez jakiś czas działają w sposób od nas niezależny... Człowiek staje się kimś innym, kimś, kogo się nigdy przedtem nie znało. Ale w końcu jest się znowu sobą. Prawda? — dopytywała się natarczywie.

— Nigdy nie miałem kłopotu z wieloosobowością — odpowiedziałem. — Byłem zawsze aż do znudzenia tylko sobą.

— Jak ty się mylisz! Zobaczysz, przekonasz się dopiero później, jak bardzo się mylisz — zaprzeczyła gwałtownie.

— Co masz na myśli?

— Zapomnij! Popatrz, kot w oknie. I ptaszek nie podejrzewający niczego. Patrz, jak się cieszy ofiara!

— Nie porwie go. Ptaszek jest bezpieczny w swojej klatce.

Helena roześmiała się.

— Bezpieczny w swojej klatce — powtórzyła. — Któż to chce być bezpieczny w klatce?

Nad ranem obudziliśmy się. Konsjerżka wymyślała komuś głosem podniesionym.



Otworzyłem drzwi ubrany i gotów do ucieczki. To nie była jednak policja.

— Krew! — krzyczała kobieta.

— Nie mogła tego zrobić gdzie indziej? Co za świństwo! Zaraz przyjdzie policja! To wszystko dlatego, że się jest za dobrym dla ludzi. Tak to się potem odpłaca. Za komorne winna już była pięć tygodni.

W świetle szarego poranka tłoczyli się lokatorzy z innych pokoi w ciasnym korytarzu. Wszyscy mieli utkwiony wzrok w sąsiednie drzwi. Leżała tam kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat z przeciętą na lewej ręce żyłą. Krew ściekała powoli z łóżka.

— Zawołajcie doktora — powiedział Lachmann, emigrant z Frankfurtu. W Marsylii handlował wieńcami i obrazami świętych.

— Doktora! — przedrzeźniała konsjerżka. — Czy nie widzicie, że ona już od dawna nie żyje? To wszystko dlatego, że się przyjmuje taką hołotę! Zaraz przyjdzie policja. Powinna was wszystkich pozamykać! A łóżko? Kto doprowadzi do porządku łóżko?

— My to zrobimy — powiedział Lachmann. — Niech pani zostawi w spokoju policję.

— A komorne? Kto zapłaci komorne?

— Zbierzemy — odpowiedziała jakaś starsza pani w czerwonym kimonie. — Gdzie my pójdziemy? Niechże pani ma serce!

— Serce! Miałam kiedyś serce. I co? Wykorzystywano mnie tylko. Czy ona miała jakieś rzeczy? Nic!

Konsjerżka zaczęła szukać. Naga żarówka w izdebce dawała światło żółte i nikłe. Pod łóżkiem stała walizka z najtańszej fibry. Konsjerżka uklękła przy krawędzi żelaznego łóżka, w miejscu gdzie nie sięgała krew, i zaczęła szamotać się z walizką, starając się ją otworzyć. Jej szeroki zad tkwiący w sukni w prążki poruszał się przy tym, jak olbrzymi odwłok plugawego insekta przygotowującego się do pożarcia swojej ofiary.

— Pustki! Trochę łachów! Znoszone pantofle! — zawołała.

— No cóż — powiedziała starsza pani.

Nazywała się Lucie Löwe, trudniła się sprzedawaniem wybrakowanych pończoch i sklejaniami stłuczonej porcelany.

Konsjerżka otworzyła niewielkie pudełko. Wewnątrz na różowej poduszeczce leżał łańcuszek i pierścionek ozdobiony niedużym kamieniem.

— Złoto? — zdziwił się gruby babsztyl. — Na pewno tylko pozłacany.

— Złoto — stwierdził Lachmann.

— Gdyby to było złoto, sprzedałaby je — upierała się konsjerżka — zanim to zrobiła.

— Takie rzeczy robi się nie zawsze tylko ze strachu przed głodem — odpowiedział spokojnie Lachmann. — To jest złoto, a kamyczek to rubin. Warte co najmniej siedemset do ośmiuset franków.

- Nonsens!
- Jeżeli pani chce, mogę je sprzedać.
- I nabrać mnie, co? Nie, mój drogi, znamy się na tym.

Musiała zawiadomić policję. Nie można było tego uniknąć. Emigranci ulotnili się tymczasem. Większość udała się pod konsulaty bądź na targowiska, próbując coś sprzedać lub szukać pracy. Inni poszli do najbliższego kościoła, by czekać tam na wiadomości od jednego z lokatorów, który stał na rogu ulicy w charakterze obserwatora. Kościoły były bezpieczne.

Odprawiała się msza. W bocznych nawach przed konfesjonałami, niczym małe czarne pagórki, klęczały kobiety ubrane na czarno. Świece paliły się nieruchomym płomieniem. Cicho grały organy. Światło połyskiwało na złotym, wzniesionym przez kapłana, kielichu z krwią Chrystusa, który odkupił nią świat. I co z tego wynikło? Krwawe krucjaty, fanatyzm religijny, tortury inkwizycji, palenie czarownic na stosie i mordowanie heretyków — wszystko w imię miłości bliźniego.

— Może poszlibyśmy na dworzec? — zwróciłem się do Heleny. — Tam, w poczekalni, jest cieplej aniżeli tutaj w kościele.

— Zaczekaj jeszcze chwileczkę.

Zbliżyła się do ławki pod amboną i uklękła. Nie wiem, czy modliła się i do kogo. Przypomniał mi się nagle dzień, gdy czekałem na nią w katedrze w Osnabrück. Odnalazłem w niej wówczas zupełnie innego człowieka, którego nie znałem i który stawał się z dnia na dzień bardziej obcy i bliski. Teraz powtarzało się to znowu. Wymykała mi się — wyczuwałem to — w krainę, która nie miała imienia, tylko ciemność i może nieznanne prawa ciemności. Broniała się przed tym i wracała z powrotem. Ale nie należała już do mnie, tak jak to sobie wyobrażałem, a może nigdy do mnie tak nie należała. Kto do kogo należy i co to właściwie znaczy: wzajemne należenie do siebie, to mieszkańskie określenie beznadziejnej iluzji. Ale kiedy powracała wciąż na nowo — według jej własnego określenia — na godzinę, na chwilę, na jedną noc, czułem się jak księgowy, któremu nie pozwala się liczyć, lecz każe się przyjąć bez słowa wszystko, co mu przynosi nieszczęsna ukochana, nieuchwytna i przeklęta. Wiem, że istnieją na określenie tego inne, pospolite słowa — ale są one odpowiednie dla innych stosunków i dla ludzi, którzy sądzą, że ich egoistyczne zasady są darem danym od Boga. Samotność szuka towarzysza i nie pyta o to, kim on jest. Kto tego nie wie, nigdy nie był samotny — był tylko sam.

— O co się tak modliłaś? — spytałem i w tejże chwili pożałowałem tego.

Helena popatrzyła na mnie jakoś szczególnie.

— O wizę do Ameryki — odpowiedziała, lecz wiedziałem, że kłamie. Przez chwilę myślałem, że modliła się raczej o coś wręcz przeciwnego; dotychczas bowiem stale wy-

czuwałem z jej strony bierny opór przeciwko zamierzonej przeze mnie podróży.

— Ameryka? — powiedziała kiedyś w nocy. — Czego się po niej spodziewasz? Po co mamy jechać tak daleko? Czy po to, by w tej Ameryce odkryć jakąś inną Amerykę, w której będziesz musiał przebywać, a potem znów trzeba będzie ruszyć dalej, w jakieś inne obce strony? Czy nie widzisz tego?

Unikała już wszelkich zmian. Niczego się nie spodziewała. Śmierć, którą nosiła w sobie, nie chciała się jej wyrzec. Rządziła się w niej niczym chirurg obserwujący przy wiwisekcji procesy zachodzące w organach i komórkach, które po kolei usuwa i niszczy. Choroba narzuciła jej posępną maskaradę, podobną do niefrasobliwej zabawy kostiumowej tam, w zamku; czasem spoza otworów maski spoglądał na mnie błyszczącymi źrenicami człowiek pełen nienawiści do mnie, czasem była beznadziejnie zrezygnowana, to znów desperacko odważna jak szuler, czasem jak uosobienie rozpacz i głodu — prawie zawsze jednak spoglądała na mnie jak istota, która ma jeszcze tylko mnie, by móc powracać z ciemności i — mimo pełnego grozy lęku przed kresem, to znów wolna od lęku — wdzięczna mi była za to.

Obserwator przyszedł i zameldował, że policja już się wyniosła.

— Szkoda, że nie poszliśmy do muzeum — powiedział Lachmann. — Tam są ogrzane sale.

— Czy tu istnieje coś takiego? — zapytała młoda garbata kobieta, której męża zabrali żandarmi i na którego czekała już od sześciu tygodni.

— Oczywiście.

Przypomniał mi się zmarły Schwarz.

— A może poszlibyśmy tam? — zwróciłem się do Heleny.

— Nie teraz. Chodźmy z powrotem.

Nie chciałem, by Helena oglądała jeszcze raz nieboszczkę, ale nie dała się odwieść. Gdyśmy wrócili, konsjerżka zachowywała się już spokojnie. Możliwe, że oszacowała wreszcie, jak należy, łańcuszek i pierścioneł.

— Biedna kobieta — powiedziała. — Teraz nie ma nawet nazwiska.

— Czy nie miała żadnych dokumentów?

— Tylko przepustkę. Ale zanim zjawiła się policja, tamci jej ją zabrali. Ciągnęli o to zapalki. Wygrała ta mała z rudymi włosami.

— Ach, tak, oczywiście, nie miała przecież żadnych papierów. Umarłej to już obojętne.

— Chcecie państwo ją zobaczyć?

— Nie — powiedziałem.

— Tak — szepnęła Helena.

Poszedłem za nią. Zmarła wykrwawiła się zupełnie. Gdyśmy weszli, znajdowały się tam dwie emigrantki, które myły nieboszczkę. Właśnie odwracały ją niczym białą deskę.

Włosy zwisały aż do podłogi.

— Precz! — syknęła jedna z nich pod moim adresem.

Wyszedłem. Helena została. Po jakimś czasie wróciłem, by ją stamtąd wyprowadzić. Stała sama w ciasnej izdebce u nóg zmarłej. Patrzyła na jej białą, zapadniętą twarz, w której jedno oko nie było domknięte.

— Chodźmy już — powiedziałem.

— Tak się więc potem wygląda — szepnęła. — Gdzie ją pochowają?

— Nie wiem. Chyba tam, gdzie chowają biedaków. Na koszty pogrzebu konsjerzka zbierze wśród lokatorów.

Helena nic nie odpowiedziała. Chłodny wiatr dmuchał przez otwarte okno.

— Kiedy ją pochowają? — spytała.

— Jutro albo pojutrze. Możliwe, że przedtem zostanie jeszcze przewieziona do pro-sektorium.

— Po co? Czyżby nie wierzyli, że popełniła samobójstwo?

— Trzeba to jednak stwierdzić.

Zjawiła się konsjerzka.

— Zabierają ją jutro do kliniki. Przeprowadzą sekcję zwłok. Młodzi lekarze uczą się operować w ten sposób. Jej już wszystko jedno, a tak nie będzie żadnych kosztów. Może podać państwu kawy?

— Nie — odpowiedziała Helena.

— Ja się napiję — rzekła konsjerzka. — Dziwne, jak to człowieka przejmuje. Przecież wszystkich nas to czeka.

— Tak — powiedziała Helena. — Tylko nikt nie chce się z tym pogodzić.

W nocy obudziłem się. Helena siedziała na łóżku i nasłuchiwała.

— Czy ty też coś czujesz? — spytała.

— Co?

— Zmarłą. Czuję ją. Zamknij okno.

— Nic nie czuć, Heleno. To nie idzie tak szybko.

— A jednak czuję jakiś zapach.

— Może to zieleń. Emigranci kupili za zebrane pieniądze kilka gałązek wawrzynu i świecę i ustawili przy zmarłej.

— Po co to wszystko? I tak jutro pokroją ją na kawałki, rzucają do kubła, by potem sprzedać jako odpadki mięsne dla zwierząt.

— Wcale jej nie sprzedadzą. Po sekcji każą zwłoki spalić lub pogrzebać — wyjaśniłem i otoczyłem ją ramieniem.

Wywinęła mi się.

— Nie chcę, by mnie krajano — powiedziała.

— Dlaczego mają cię krajać?

— Przrzeknij mi — powiedziała nie zwracając uwagi na moje słowa.

— Mogę ci przrzec bez żadnego trudu.

— Proszę cię, zamknij okno. Czuję to znowu.

Wstałem i zamknąłem okno. Na dworze świecił księżyc. Kot, który tam siedział, prychnął i uskoczył dopiero, gdy go trąciłem ramą okienną.

— Co to? — spytała Helena.

— Kot.

— A widzisz, jego również zwabił ten zapach.

Odwrociłem się.

— Przesiaduje tu każdej nocy i czeka, aż kanarek wyleci niebacznie ze swojej klatki. Śpij, Heleno. To ci się tylko przyśniło. Naprawdę nie dociera tu żadna woń z tamtego pokoju.

— A więc może to ode mnie czuć?

Popatrzyłem na nią.

— Ależ, Heleno, tu nic nie czuć. Zdaje ci się.

— A więc jeśli nie tamto, to na pewno ja. Nie kłam! — podniosła nagle głos.

— Na Boga, Heleno, tutaj nic nie czuć! Jeżeliby nawet docierał tu jakiś zapach, to mógłby to być tylko czosnek z restauracji na dole. — Wziąłem buteleczkę z wodą kolońską, którą wówczas nielegalnie handlowałem, i popryskałem nią dookoła. — No, teraz powietrze będzie świeższe.

Siedziała w dalszym ciągu nieporuszona na łóżku.

— A więc przyznajesz, że tak jest. Inaczej byś nie używał wody kolońskiej.

— Nic nie przyznaję. Zrobiłem to, żeby cię uspokoić.

— Jestem przekonana, że tak myślisz — odpowiedziała. — Że to ode mnie czuć. Tak jak od tej obok. Nie kłam! Widzę to w twoich oczach, widzę już od dawna. Myślisz, że nie zauważyłam, jak mi się przyglądasz, kiedy sądzisz, że tego nie widzę! Wiem, że brzydzisz się mną, widzę to i odczuwam każdego dnia. Wiem, co sądzisz! Nie wierzysz temu, co mówią lekarze! Ty myślisz o czymś innym, czujesz to i brzydzisz się mną! Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć tego otwarcie?

Stałem jakiś czas jak wryty. Milczałem. Niech wypowie wszystko, co ją dręczy. Zamilkła jednak. Czuję, jak drży. Siedziała na łóżku, niepozorna, pobladła, zgięta w kabłąk i oparta na rękę, z ogromnymi zapadniętymi oczami i mocno uszmińkowanymi wargami — malowała je od jakiegoś czasu również przed snem — przyglądała mi się jak ranne śmiertelnie zwierzę, które chce się rzucić na swego prześladowcę.

Dość długo trwało, zanim się uspokoiła. W końcu zapukałem do drzwi Baumana pierwszym piętrze i kupiłem od niego butelkę koniaku. Siedzieliśmy na łóżku pijąc i czekając, aż nastanie ranek. Ludzie, którzy mieli zabrać zwłoki, przybyli bardzo wcze-

śnie. Stukając ciężkimi butami wchodzili po schodach do góry. Ich nosze ocierały się o ściany wąskiego korytarza. Przez cienką ścianę dochodziły ich stłumione, wesołe głosy. W godzinę później przybyli nowi lokatorzy.

## 17.

Przez kilka dni handlowałem sprzętem kuchennym. Sprzedawałem maszynki do mięsa, tarki blaszane, noże i inne drobiazgi. Zdarzyło się dwa razy, że wróciłem wcześniej do domu, lecz nie zastałem Heleny. Zaniepokojony postanowiłem czekać; konsjerżka poinformowała mnie, że nikt po nią nie przychodził. Wyszła sama przed kilku godzinami. Zdarzało się to coraz częściej.

Wróciła późnym wieczorem. Twarz jej pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Nie patrzyła na mnie. Nie wiedziałem, jak zareagować. Wydawało mi się, że byłoby bardziej dziwne, gdybym jej nie zapytał.

— Gdzie byłaś, Heleno? — spytałem więc.

— Spacerowałam — odrzekła.

— W taką niepogodę?

— W taką niepogodę. Nie kontroluj mnie!

— Ja cię nie kontroluję. Martwiłem się tylko, że mogłaś wpaść w ręce policji.

Roześmiała się sucho.

— Policja nie schwyta mnie nigdy.

— Pragnąłbym, żeby tak było.

Popatrzyła na mnie.

— Jeżeli będziesz mnie dalej wypytywał, pójdę znowu. Nie mogę już znieść tego ciągłego obserwowania! Czy nie rozumiesz tego? Budyńki na ulicy nie obserwują mnie! Jestem dla nich obojętna. Obojętna jestem również dla przechodniów, którzy mnie mijają. O nic mnie nie pytają i nie przyglądają mi się.

Nietrudno było zgadnąć, co miała na myśli. Na ulicy nikt nie wiedział o jej chorobie. Tam nie była pacjentką, była kobietą. I pragnęła nią być. Chciała żyć. A być pacjentką znaczyło dla niej powolne konanie.

W nocy płakała przez sen. Rano o wszystkim zapomniała. Panował półmrok, którego nie znosiła. Niby zatruta pajęczyna oplatał jej strwożone serce. Zauważyłem, że wciąż częściej i częściej zażywała środki uśmierzające. Poszedłem do Lewisohna, który był przedtem lekarzem, a teraz handlował horoskopami; powiedział, że jest już za późno na

stosowanie czegoś innego. To samo powiedział przedtem doktor Dubois.

Odtąd coraz częściej wracała do domu późno. Bała się, że będę ją zadreślał pytaniami. Nie robiłem tego. Pewnego razu przyniesiono duży bukiet róż. Byłem sam w mieszkaniu. Wyszedłem. Gdy po jakimś czasie wróciłem, bukietu nie było. Zaczęła pić. Kilku ludzi uważało za wskazane poinformować mnie, że widziano ją w barze nie samą. Uczepiłem się amerykańskiego konsulatu. Otrzymałem pozwolenie na wyczekiwanie w przedpokoju, ale mijały dni, a rezultatu nie było.

W końcu złapano mnie. Dwadzieścia metrów przed konsulatem policja otoczyła znienacka emigrantów. Próbowałem schronić się w konsulacie. To uczyniło mnie jeszcze bardziej podejrzanym. Kto znalazł się w konsulacie, był uratowany. Zobaczyłem, jak Lachmann znika za drzwiami, skoczyłem za nim, ale przewróciłem się o podstawioną przez żandarma nogę.

— Zatrzymać go na wszelki wypadek! — rozkazał jakiś uśmiechnięty młodzieniec w cywilu. — Coś mu się zanadto śpieszy.

Skontrolowano nasze dokumenty. Sześciu zatrzymano. Policja wycofała się, a grupkę naszą otoczyli cywile. Potem załadowano nas do zamkniętej ciężarówki i zawieziono do jakiegoś budynku stojącego samotnie w ogrodzie na przedmieściu.

— Wygląda to jak kiepski film — powiedział Schwarz. — Ale czy wszystko, co się działo w ostatnich dziewięciu latach, nie było kiczowatym, krwawym filmem?

— Czy to było gestapo? — spytałem.

Skinał głowę.

— Dziś wydaje mi się, że chyba jakimś cudem udało mi się do tamtej pory uchwycić. Wiedziałem, że Georg nie przestał szukać mnie i Heleny. Uśmiechający się młody człowiek potwierdził to, gdy odbierał mi dokumenty. Nieszczęście chciało, że znalazł się między nimi również paszport Heleny; zabrałem go, by mieć na wszelki wypadek przy sobie w konsulacie.

— No, nareszcie złapaliśmy naszą rybkę — parsknął zadowolony. — Niedługo dostanie się w nasze ręce i druga. — Uśmiechnął się i ręką całą w pierścieniach uderzył mnie w twarz. — A może panu się zdaje, że nie, panie Schwarz?

Otarłem krew z warg rozciętych pierścieniem. W pokoju znajdowali się jeszcze dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu.

— Myślę nawet, że sam pan zechce nam podać jej adres? — zwrócił się do mnie wciąż uśmiechając się młody człowiek.

— Nie znam go — odpowiedziałem. — Sam jej szukam. Przed tygodniem pokłóciliśmy się i żona uciekła ode mnie.

— Pokłóciliście się? Ach, jak nieładnie! — młodzieniec znowu uderzył mnie w twarz. — A to za karę!

— Może pohuścimy go, szefie? — spytał jeden z drabów stojących za mną.



Młody człowiek o dziewczęcej twarzy uśmiechnął się.

— Wy tłumacz mi, Möller, jak wygląda to huśtanie.

Möller wyjaśnił mi, że drutem telefonicznym okręca mi narządy płciowe i każą się kołysać.

— Pan to już chyba zna? Przecież siedział pan już raz w obozie — pytał młody człowiek.

Nie znałem jeszcze tego.

— Mój wynalazek — chełpił się. — Ale na razie poprzestaniemy na czymś prostszym. Po prostu zwiążemy pańskie klejnoty tak mocno, że kropla krwi nie przedostanie się do nich. Czy pan się domyśla, jak po godzinie będzie pan wrzeszczał? Ale żeby pan był grzeczniutki, wypełnimy panu buzię trocinami. — Miał dziwnie szklane, jasno błękitne oczy. — Mamy sporo pięknych pomysłów — ciągnął dalej. — Czy pan wie, jak wiele można zrobić, kiedy ma się trochę ognia?

Dwaj pomocnicy wybuchnęli śmiechem.

— Cienkim rozżarzoną drucikiem — mówił uśmiechnięty młody człowiek — wprowadzonym powoli do ucha lub do nozdrza do góry, można wszystko zrobić, panie Schwarz! Pięknie się stało, że do naszych eksperymentów możemy pana wykorzystać do woli.

Całym ciężarem nadepnął mi na nogi. Gdy stał tak tuż przy mnie, uderzył mnie zapach perfum. Staralem się zachować spokój. Wiedziałem, że opór może tylko pogorszyć moją sytuację i że udawanie bohatera mijałoby się z celem. Moi dręczyciele z tym większą radością usiłowałiby mnie złamać. Przy następnym uderzeniu, tym razem laską, upadłem z jękiem na podłogę. Usłyszałem nad sobą rechot obecnych.

— No, Möller, rozruszaj go! — zawołał młody człowiek pieszczotliwym tonem.

Möller zapalił papierosa i nachyliwszy się nade mną przytknął go do mojej powieki. Poczułem szalony ból, jak gdyby przyłożono mi ogień do samego oka. Tamci trzej śmiali się.

— Podnieś się no, mój chłopcze! — powiedział dowcipniś.

Ledwo wstałem zataczając się, gdy trafił mnie nowy cios.

— To jest dopiero próba dla rozgrzewki — zapowiedział młodzieniec. — Mamy dość czasu, całe życie... pańskie całe życie, panie Schwarz. Jeśli będziesz dalej symulował, zadziwimy cię czymś bardziej efektywnym. Podskoczysz na czworakach w powietrze.

— Ja nie symuluję — odpowiedziałem. — Jestem ciężko chory na serce. Przy następnym upadku mogę się już nie podnieść, choćbyście się nie wiem jak wysilali.

Dowcipniś odwrócił się do dryblasów.

— Nasze dzieciątko jest chore na serce, i my mamy w to uwierzyć?

Uderzył mnie znowu, jednakże wyczułem, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie. Widocznie miał rozkaz dostarczyć mnie Georgowi żywego.

— Czy jeszcze nie przypomniałeś sobie jej adresu? — zapytał. — Teraz łatwiej ci będzie wyśpiewać niż potem, kiedy zostaniesz bez jednego zęba.

— Nie znam. Chciałbym, ale nie wiem.

— Nasz chłopaczek trzyma się dzielnie. Jak to ładnie! I jaka szkoda, że nikt tego nie widzi prócz nas.

Kopał mnie tak długo, aż w końcu sam się zmęczył. Leżałem na ziemi próbując ochraniać twarz i przyrodzenie.

— Wystarczy — powiedział w końcu. — Zamknijcie go teraz w piwnicy. Po kolacji zaczniemy od nowa. Będziemy mieli piękną zabawę w nocy!

Wszystko to było mi już znane. Metody te wraz z Schillerem i Goethem weszły w skład kultury mocnych ludzi; przeszedłem to w hitlerowskim obozie w Niemczech. Ale miałem przy sobie truciznę. Zrewidowano mnie dość powierzchownie. Nie znaleziono ani trucizny, ani żyłki osadzonej w korku i ukrytej w mankiecie od spodni.

Leżałem w ciemnościach. Dziwne, że w takiej sytuacji przyczyną rozpaczy w pierwszej chwili nie jest obawa przed tym, co nas czeka, lecz wściekłość, że było się na tyle głupim, by dać się złapać.

Lachmann widział, jak mnie zatrzymano. Co prawda nie wiedział, że zostałem zabrany przez gestapo, ponieważ w łapanie brała udział policja francuska — ale gdy po kilku dniach nie powrócę do domu, Helena będzie się starała dotrzeć do mnie przez policję i dowie się, gdzie jestem. Będzie chciała wówczas tu przyjść. Pytanie, czy nie na to właśnie liczył dowcipny młody człowiek. Spodziewałem się, że natychmiast powiadomi Georga. Jeżeli ten ostatni znajduje się w Marsylii, zajmie się mną gruntowniej jeszcze dziś wieczorem.

Georg był w Marsylii. Helena miała rację twierdząc, że go wówczas widziała. Przyjechał i zajął się mną. Nie chcę o tym mówić. Gdy opuszczały mnie siły, oblewano mnie wodą. Potem kazał mnie wrzucić z powrotem do piwnicy. Tylko dzięki temu, że miałem truciznę, mogłem to wszystko przetrzymać. Georg na szczęście nie miał cierpliwości do znęcania się w sposób bardziej wyrafinowany, jak to przyrzekał mi młody człowiek, ale na swój sposób i on nie był fuszerem.

Następnym razem zjawił się w nocy. Siadł rozkraczony przede mną na taborecie... symbol władzy absolutnej, o której już w dziewiętnastym wieku sądzono, że została dawno obalona, a która wbrew temu stała się cechą wieku dwudziestego, a może właśnie dlatego.

Tego wieczoru los zademonstrował mi dwa rodzaje uosobienia zła — dowcipnisia i Georga, zła absolutnego i zła brutalnego. Z nich obu młody człowiek był gorszy, jeżeli możliwe tu jest jakieś zróżnicowanie — jeden znęcał się z zamiłowaniem, drugi, by przeprowadzić swą wolę. Powziąłem w tym czasie pewien plan. Muszę w jakiś sposób wydostać się z tego domu. Kiedy więc Georg siedział tak naprzeciw mnie, udałem, że

się zupełnie załamalem. Oświadczyłem mu, że jestem gotów powiedzieć wszystko, jeżeli mnie oszczędzi. Uśmiechnął się pogardliwie jak człowiek, który nigdy nie był w podobnej sytuacji i dlatego uważa, że on, niby bohater z powieści, spełniłby swą rolę do końca, nie poddałby się. Ten typ nigdy nie przetrzymałby takiej próby.

— Oczywiście — powiedziałem. — Słyszałem raz wyjącego z bólu oficera gestapo, który przygniół sobie palec, bijąc kogoś stalowym łańcuchem. Ten, którego katował, nie wydał jęku.

— Georg znów kopnął mnie — powiedział Schwarz.

— Ach, więc tak, to ty jeszcze warunki chcesz mi stawiać, co? — pytał szyderczo Georg.

— Nie stawiam żadnych warunków — odpowiedziałem. — Ale jeżeli zabierze pan Helenę do Niemiec, ucieknie znowu albo odbierze sobie życie.

— Bzdury! — parsknął Georg.

— Helenie już nie zależy na życiu. Wie, że jest nieuleczalnie chora, że ma raka.

Popatrzył na mnie przeciągle.

— Łżesz, ty ścierwo! Cierpi na jakąś chorobę kobiecą, nie na raka!

— Ona jest chora na raka. Chorobę rozpoznano, gdy była operowana po raz pierwszy w Zurychu. Już wówczas było za późno. Powiedziano jej o tym.

— Kto jej powiedział?

— Doktor, który ją operował. Prosiła go o to.

— Co za świnia! — ryknął Georg. — Już ja go złapię w swoje ręce, tego łajdaka! W ciągu roku uczynimy Szwajcarię niemiecką! Potwór, nie człowiek!

— Namawiałem ją, żeby wróciła — powiedziałem. — Lecz nie chciała za nic. Sądzę jednak, że to uczyni, jeśli jej powiem, że musimy się rozłączyć.

— Śmiechu warte!

— Mógłbym narazić się jej tak, że znienawidziłaby mnie na całe życie — powiedziałem.

Widziałem, że zrobiło to na Georgu wrażenie. Zastanawiał się. Uniosłem się nieco na rękach i obserwowałem go. Czułem ból w miejscu między brwiami, z taką siłą usiłowałem narzucić mu moją wolę.

— W jaki sposób? — odezwał się w końcu.

— Obawia się, że z powodu choroby jej ciało cuchnie i że to wywołuje obrzydzenie. Gdybym jej to powiedział, skończyłaby ze mną raz na zawsze.

Georg zastanawiał się. Odgadywałem jego myśli. Zrozumiał, że mój projekt jest dla niego wygodny. Jeżeli nawet wydobędzie ze mnie torturami jej adres, Helena znienawidzi go jeszcze bardziej, natomiast moje łotrowskie zachowanie się wobec niej może tę nienawiść skierować na mnie, on zaś wkroczy jako wybawca i powie: „A co, czy nie mówiłem ci tego stale?”

— Gdzie ona mieszka? — zapytał.

Wymieniłem jakiś adres, oczywiście fikcyjny.

— Dom — powiedziałem — ma z pół tuzina wyjść. Przez piwnice i przyległe ulice. Jeżeli zjawi się tam policja, Helena może łatwo uciec. Nie ucieknie natomiast, jeżeli sam pójde do niej.

— Albo ja — oświadczył Georg.

— Pomyśli, że pan mnie zabił. Ma przy sobie truciznę.

— Głupie gadanie!

Czekałem.

— I co chciałbyś za to? — zapytał Georg.

— Żeby pan pozwolił mi uciec.

Przez chwilę uśmiechał się. Wyglądał jak bestia, kiedy szczerzy kły. Domyśliłem się od razu, że nigdy mnie nie wypuści ze swych łapsk.

— Dobrze — powiedział. — Pojedziesz ze mną. Tylko bez kawałów. Będiesz z nią mówił w mojej obecności.

Skinałem głowę.

— Wynos się! — Wstał. — Umyj się tam pod kranem.

— Zabieram go z sobą — powiedział do jednego z drabów, znajdujących się w sąsiednim pokoju ozdobionym rogami jelenia. Tamten zsalutował i otworzył drzwi samochodu Georga.

— Tu, obok mnie — burknął Georg. — Czy znasz drogę?

— Stąd nie. Dopiero od Cannebiere.

Była wietrzna, chłodna noc. Miałem nadzieję, że kiedy auto zwolni nieco biegu lub zatrzyma się, uda mi się wyskoczyć. Ale Georg zamknął drzwi z mojej strony. Wołanie o pomoc również na nic by się nie zdało — nikt nie pośpieszyłby na ratunek wołającemu z samochodu niemieckiego, a poza tym, zanim przez zamknięte okno limuzyny zdążyłbym krzyknąć, Georg zbiłby mnie do nieprzytomności.

— Chłopie — burknął Georg — spodziewam się, żeś powiedział prawdę, w przeciwnym wypadku każę obedrzeć cię ze skóry i wytarzać w pieprzu.

Skuliłem się, jak mogłem najbardziej na moim siedzeniu, a w momencie gdy samochód nagle przyhamował przed jakąś nie oświetloną furmanką, umyślnie zachwiałem się i poleciałem do przodu.

— Nie udawaj mi tylko, że mdlejesz, ty łotrze! — warknął Georg.

— Słabo mi — powiedziałem i powoli wyprostowałem się.

— Cholerny zdechłak!

Szew przy mankiecie spodni miałem już rozpruty. Przy następnym zahamowaniu namacałem żyłkę; przy trzecim, w chwili, gdy uderzyłem głową o szybę, udało mi się

ją ukryć w ręce.

Schwarz podniósł wzrok. Cienka warstewka potu zraszała mu czoło.

— On by mnie nie wypuścił — powiedział. — Jak pan sądzi?

— Oczywiście, że nie.

— Na którymś zakręcie wrzasnąłem przeraźliwie: — Uwaga! Na lewo!

Mój niespodziany krzyk podziałał na Georga szybciej, niż zdążył pomyśleć. Jego głowa automatycznie wahała się w lewo, przyhamował, ujął mocniej za kierownicę. Rzuciłem się na niego. Ostrze, tkwiące w korku, było niewielkie, lecz ugodziłem go w szyję i pociągnąłem wzdłuż krtani. Puścił kierownicę i złapał się za gardło. Potem zwałił się na lewą stronę przy drzwiach, a trącona ramieniem klamka otworzyła się. Samochód zarzucił i wtoczył się w gąszcz jakichś zarośli. Drzwi uchyliły się i Georg wypadł na zewnątrz. Mocno krwawił i rzeził.

Wysunąłem się za nim. Nasłuchiwałem. Otoczyła mnie szumiąca cisza, w której warkot motoru wydawał się rykiem. Wyłączyłem go i cisza upodobniła się do huczącego wiatru. To pulsowała krew w moich uszach. Obejrzałem się na Georga i zacząłem szukać mego ostrza w korkowej oprawie. Błyszczało na stopniu samochodu. Wziąłem je i czekałem. Nie byłem jeszcze pewny, czy Georg nie zerwie się nagle; po chwili zobaczyłem, jak drgnął kilka razy i ucichł. Ostrze odrzuciłem, potem podniosłem je jednak i wetknąłem w ziemię. Zgasilem światła i znów nasłuchiwałem. Panowała cisza. Dotąd nad niczym się nie zastanawiałem; teraz musiałem działać szybko. W tej sytuacji każda sekunda może okazać się decydująca.

Rozebrałem Georga i spakowałem wszystkie jego rzeczy razem. Potem zaciągnąłem ciało w zarośla. Upłynie szmat czasu, zanim go znajdą, a potem znów, zanim go zidentyfikują. Może mi się poszczęści i uznają go za ofiarę o nie ustalonym nazwisku. Obejrzałem wóz. Był w porządku. Wyprowadziłem go z powrotem na drogę. Zebrało mi się na wymioty. W samochodzie znalazłem kieszonkową latarkę. Krew widniała na siedzeniu i na drzwiach. Jedno i drugie było okryte skórą i dało się łatwo wytrzeć. Użyłem do tego koszuli nieboszczyka, zmoczywszy ją uprzednio w wodzie z rowu. Spłukałem również stopień wozu. Wciąż na nowo zapalałem światło i czyściłem wóz, aż nareszcie był czysty. Potem umyłem się i wsiałem do samochodu. Z obrzydzeniem zająłem miejsce Georga. Zdawało mi się, że nagle wyłoni się z ciemności i skoczy mi na kark. Odjechałem.

Wóz zaparkowałem na jednej z bocznych ulic, w pewnej odległości od domu, w którym mieszkałem. Padał deszcz. Szedłem ulicą i głęboko oddychałem. Czułem ból w całym ciele. Zatrzymałem się przed sklepem z rybami i spojrzałem do lustra zawieszono- go obok witryny. Na ciemnym srebrze nie oświetlonej szyby niewiele mogłem zobaczyć, ale tyle dojrzałem, że twarz miałem obrzękłą i zakrwawioną. Wdychałem głęboko wilgotne powietrze. Wydawało mi się niemożliwością, bym mógł tu być po południu,

tak wiele wydarzyło się w tym czasie.

Udało mi się przejść obok konsjerżki niepostrzeżenie. Spała już i tylko mruknęła coś przez sen. Dla niej nie było to nic niezwykłego, że wracam o tak późnej porze. Ruszyłem szybko schodami do góry.

Heleny nie było. Spojrzałem na łóżko i szafę. Kanarek podrażniony światłem zaczął śpiewać. Przed oknem zjawił się kot o płonących oczach, ze wzrokiem utkwionym w klatkę wyglądał jak upiór. Jakiś czas czekałem; potem przemknąłem się do Lachmanna i zapukałem cicho.

Podszedł natychmiast do drzwi. Uciekinierzy mają lekki sen.

— Jest pan... — wyszeptał, spojrzał na mnie i zamilkł.

— Czy powiedział pan coś mojej żonie? — spytałem.

Pokręcił głową.

— Nie było jej. I jeszcze godzinę temu nie wróciła.

— Bogu dzięki! — Popatrzył na mnie, jak gdybym nie był przy zdrowych zmysłach.

— Bogu dzięki — powtórzyłem — z tego wynika, że chyba nie została schwytana. Po prostu gdzieś wyszła.

— Po prostu gdzieś wyszła — powtórzył Lachmann. — Co się z panem działo? — spytał potem.

— Przesłuchiwano mnie. Uciekłem.

— Policja?

— Gestapo. Ale już po wszystkim. Proszę spać spokojnie.

— Czy gestapo wie, gdzie się pan znajduje?

— Gdyby wiedziało, nie byłoby mnie tutaj. Rano wyjadę stąd.

— Jedną chwileczkę! — Lachmann wy dostał kilka świętych obrazków i wianuszków.

— Proszę, niech pan to weźmie. Niekiedy mogą dziać cuda. Hirschowi dzięki temu udało się przesznułować przez granicę. Naród w Pirenejach jest bardzo pobożny. To są rzeczy, które sam papież pobłogosławił.

— Doprawdy?

Uśmiechnął się. Przedziwnie piękny to był uśmiech.

— Jeżeli pomagają nam się ratować, są widocznie pobłogosławione przez samego Boga. Do widzenia, Schwarz.

Wróciłem do naszego pokoju i zacząłem pakować się. Czułem w sobie kompletną pustkę. W szufladzie Heleny znalazłem paczuszkę listów. Były adresowane na „Poste restante” w Marsylii. Nie zastanawiałem się nad tym i włożyłem je do jej walizki. Tam też położyłem suknię z Paryża. Potem usiadłem przy umywalce i zanurzyłem w niej rękę. Spalone paznokcie bolały mnie dotkliwie. Przy głębszym oddechu czułem ból również wewnątrz. Spoglądałem na mokre dachy i o niczym nie myślałem.

Wreszcie usłyszałem jej kroki. Stała w drzwiach niby zdruzgotany piękny duch.

— Co ty tu robisz? — Nie wiedziała o niczym. — Co się z tobą dzieje!

— Musimy uciekać, Heleno — powiedziałem. — Natychmiast.

— Georg?

Skinąłem głową. Postanowiłem, że nic jej nie powiem.

— Co się stało? — spytała przerażona i podeszła bliżej.

— Aresztowali mnie. Uciekłem. Będą mnie szukać.

— Musimy uciekać?

— Natychmiast.

— Dokąd?

— Do Hiszpanii.

— W jaki sposób?

— Dopóki można... samochodem. Jesteś gotowa?

— Tak — odpowiedziała i zachwiała się.

— Masz bóle?

Skinęła głową.

„Kto tam stoi w drzwiach? — pomyślałem. — Kto to jest?” Była mi obca.

— Czy masz jeszcze ampułki? — spytałem.

— Niewiele.

— Postaramy się o nowe.

— Wyjdź na chwilę — powiedziała.

Wyszedłem na korytarz. Drzwi otworzyły się na szerokość szpary. Ukazały się twarze o oczach upiorów. Twarze karłowatych polipów o jednym oku i obwisłych wargach.

Po schodach przemykał się Lachmann. W długich, szarych kalesonach był podobny do szarańczy. Wcisnął mi do ręki pół butelki koniaku.

— Będzie panu potrzebny — wyszeptał.

Od razu pociągnąłem spory łyk.

— Mam pieniądze — powiedziałem. — Tu! Niech mi pan przyniesie jeszcze całą butelkę. Zabrałem portfel Georga, w którym znalazłem sporo pieniędzy. Przez moment wahałem się, czy go nie wyrzucić. Znalazłem też jego paszport razem z moim i paszport Heleny. Miał je w kieszeni.

Rzeczy Georga związałem w węzeł, włożyłem do środka kamień i w porcie wrzuciłem do wody. Paszport obejrzałem dokładnie przy świetle latarki kieszonkowej. Potem pojechałem do Gregoriusa. Obudziłem go i uprosiłem, by fotografię Georga zamienił na moją. W pierwszej chwili odmówił przerażony. Jego usługi ograniczały się do podrabiania paszportów emigranckich — uważał się za bardziej sprawiedliwego niż Bóg, którego czynił odpowiedzialnym za nasze nieszczęścia — nigdy nie miał dotychczas do czynienia z dokumentami wysokiego funkcjonariusza gestapo. Wyjaśniłem, że przecie

nie potrzebuje, jak to robią artyści, podpisywać swego dzieła. To ja będę za to odpowiadał i nikt się o niczym nie dowie.

— A jeżeli wezmą pana na tortury?

Pokazałem mu moje ręce i twarz.

— Za godzinę już mnie nie będzie — powiedziałem. — Z taką twarzą jako emigrant nie ujechałbym nawet dziesięciu kilometrów. Muszę przedostać się za granicę. To moja jedyna szansa. Proszę zrobić reprodukcję zdjęcia z mojego paszportu i umieścić zamiast fotografii w paszporcie gestapowca. Ile to będzie kosztowało? Mam pieniądze. — Gregorius zgodził się.

Lachmann przyniósł drugą butelkę koniaku. Zapłaciłem mu i poszedłem z powrotem do pokoju. Helena stała obok nocnego stoliczka. Szuflada, w której uprzednio znajdowały się listy, była otwarta. Wsunęła ją z powrotem i podeszła do mnie.

— Czy to Georg cię tak urządził? — spytała.

— To była spółka — odpowiedziałem.

— Niech będzie przeklęty! — podeszła do okna. Kot, który tam siedział, dał susa. Otworzyła je. — Niech będzie przeklęty! — powtórzyła z taką mocą i namiętnością, jak gdyby wymawiała jakieś rytualne zaklęcie. — Niech będzie przeklęty przez całe życie, na zawsze...

Ująłem jej zaciśnięte pięści i odciągnąłem ją od kona.

— Musimy natychmiast wyjechać.

Schodziliśmy klatką schodową w dół. Ze wszystkich drzwi odprowadzały nas spojrzania. Czyjeś szare ramię skinęło na mnie.

— Schwarz! Niech pan nie bierze plecaka. Żandarmi są wrażliwi na plecaki. Mam tanią walizkę, imitacja skóry, bardzo poręczna...

— Dziękuję — odpowiedziałem. — Nie potrzebuję teraz walizki, potrzebuję szczęścia.

— Będziemy trzymać kciuki.

Helena poszła przodem.

Usłyszałem, jak jakaś zmoknięta prostytutka doradzała jej właśnie przed bramą, by nie ruszała się z domu; deszcz popsuł dziś interes. „Świetnie! — pomyślałem. — Jeśli chodzi o mnie, ulice mogą być jeszcze bardziej opustoszałe.”

Helena zdumiała się, gdy zobaczyła samochód.

— Skradziony — powiedziałem. — Musimy odjechać tym wozem możliwie najdalej. Wsiadaj.

Było jeszcze ciemno. Deszcz strumieniami ściekał po szybach. Gdyby jeszcze gdzieś na stopniu była krew, zmyłby ją na pewno. Zatrzymałem się o jedną przecznicę dalej od miejsca, gdzie mieszkał Gregorius.



— Zaczekaj tu spokojnie na mnie — zwróciłem się do Heleny, wskazując na szklany daszek jakiegoś sklepu.

— A nie mogłabym zostać w samochodzie?

— Nie. Gdyby ktoś nadszedł, udawaj, że czekasz na klienta. Będę zaraz z powrotem. Gregorius gotów już był ze swoją robotą. Strach zrejterował przed ambicją artysty.

— Najtrudniej było z mundurem — powiedział. — Pan przecie ma na sobie ubranie cywilne. Niech pan spojrzy. Ściąłem mu po prostu głowę.

Mistrz odkleił fotografię Georga, obciął mu szyję i głowę, a mundur przyłożył do mojego zdjęcia. Otrzymany w ten sposób montaż sfotografował.

— Obersturmbannführer Schwarz — powiedział z dumą. Kopię miał już wysuszoną i nalepioną. — Pieczęć jest dość udana. Gdyby ktoś chciał ją dokładnie sprawdzić, byłby pan bez wątpienia zgubiony — nawet gdyby była autentyczna. Tu oddaję panu nie uszkodzony stary paszport.

Wręczył mi obydwa paszporty i resztki fotografii Georga. Podarłem je, schodząc ze schodów, w drobne kawałeczki, i rozsypałem w wodzie płynącej w rynsztoku.

Helena czekała. Skontrolowałem przedtem wóz; bak był pełny. Jeżeliby szczęście nam dopisało, moglibyśmy z tą ilością benzyny dotrzeć do granicy. Jak dotychczas, nie mogłem na nie narzekać — w szufladce tablicy rozdzielczej znalazłem karnet upoważniający do przekroczenia granicy, dwukrotnie już wykorzystany. Postanowiłem nie przekraczać granicy tam, gdzie już samochód kiedyś przejeżdżał. Znalazłem też parę rękawiczek, przewodnik Michelina i atlas samochodowy Europy.

Auto mknęło poprzez deszcz. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Jechaliśmy w kierunku Perpignan. Zanim nastanie dzień, chciałem jechać głównymi szosami.

— Może ja poprowadzę? — zaproponowała po jakimś czasie Helena. — Spójrz na twoje ręce!

— Czy potrafisz? Wcale jeszcze nie spałaś.

— Ty również nie.

Spojrzałem na nią. Wyglądała, jakby była wypoczęta i opanowana. Nie mogłem tego pojąć.

— Może wypijesz trochę koniaku?

— Nie, będę jechała, aż gdzieś po drodze może będzie można napić się kawy.

— Lachmann dał mi jeszcze całą flaszkę.

Wydostałem ją z kieszeni płaszcza. Helena odmówiła. Miała swoją morfinę.

— Potem — powiedziała łagodnie. — Spróbuj zasnąć. Będziemy prowadzić na zmianę.

Helena prowadziła wóz lepiej ode mnie. Po chwili zaczęła nucić jakieś monotonne, proste piosenki. Znajdowałem się w stanie silnego napięcia; teraz pod wpływem miarowej pracy motoru i nuconej półgłosem melodii ogarniała mnie senność. Wiedziałem,

że muszę odpocząć, wciąż jednak zrywałem się ze snu. Obok w szarzyźnie przedświt  
mknął bez końca krajobraz. Jechaliśmy z zapalonymi światłami, niewiele sobie robiąc  
z przepisów o zaciemnianiu.

— Czy go zabiłeś? — spytała Helena.

— Tak.

— Byłeś zmuszony?

— Tak.

Jechaliśmy dalej. Przyglądałem się okolicy i myślałem o różnych sprawach. Potem  
zapadłem w kamienny sen. Gdy się ocknąłem, deszcz już nie padał. Był ranek, motor  
szumiał, Helena siedziała przy kierownicy, zdawało mi się, że śnię.

— To nie jest prawda, co ci powiedziałem — odezwałem się.

— Wiem — odpowiedziała.

— To był ktoś inny.

— Wiem.

Nie patrzyła na mnie.

## 18.

W ostatniej większej miejscowości przed granicą musiałem załatwić wizę hiszpańską dla Heleny. Tłum przed konsulem był tak duży, że nie było mowy o przecięnięciu się. Trzeba było zaryzykować — wóz mógł być już poszukiwany — lecz innej możliwości nie było. Paszport Georga posiadał wizę.

Skierowałem spokojnie mercedesa na tłum. Ludzie zaczęli się rozstępować dopiero wtedy, gdy po numerze rozpoznali, że wóz jest niemiecki. Tłum rozpadł się przed nami na dwie części. Część emigrantów rzuciła się do ucieczki. Samochód przedzierał się aleją nienawiści w kierunku wejścia. Jakiś żandarm zasalutował. Coś takiego dawno już mi się nie zdarzyło. Oddałem niedbale pozdrowienie i wszedłem do konsulatu. Żandarm ustąpił mi z drogi. „Trzeba zostać mordercą — pomyślałem z goryczą — by człowieka szanowano.”

Wizę otrzymałem natychmiast po okazaniu mego paszportu. Wicekonsul popatrzał na moją twarz. Rąk moich nie widział. Włożyłem rękawiczki znalezione w wozie.

— Pozostałość po wojnie i walce wręcz — powiedziałem.

Skinął ze zrozumieniem.

— Myśmy też mieli swoje lata wojny. Heil Hitler! To wielki człowiek, jak nasz Caudillo.

Wyszedłem. Dookoła wozu utworzyła się pusta przestrzeń. Wewnątrz, z tyłu, siedział jakiś wystraszony chłopak. Miał około dwunastu lat. Wcisnął się do kąta tak, że można było dojrzeć jedynie jego oczy i przyciśnięte do ust ręce.

— Musimy zabrać go ze sobą — powiedziała Helena.

— Dlaczego?

— Ma dokument, który po dwóch dniach będzie nieważny. Potem schwytają go i wywiozą do Niemiec.

Poczułem, jak pod koszulą na plecach wystąpił mi pot. Helena spojrzała na mnie.

— Jedno życie zabraliśmy — powiedziała po angielsku. — Musimy ratować drugie.

— Czy masz ten papier przy sobie? — zwróciłem się do chłopca.

Wyciągnął zezwolenie na pobyt. Wziąłem je i poszedłem znów do konsulatu.

Robiłem to z ciężkim sercem; wóz na ulicy zdawał się ryczeć ze stu głośników o mojej tajemnicy. Sekretarzowi wyjaśniłem niedbale, że zupełnie wyleciało mi z głowy, iż jest mi potrzebna jeszcze jedna wiza — służbowo, dla potwierdzenia ważności dokumentu po tamtej stronie. Zdumiał się, gdy zobaczył ów dokument, ale uśmiechnął się, przymknął jedno oko i wizę wydał.

Wsiadłem do auta. Nastrój dookoła był jeszcze bardziej wrogi. Prawdopodobnie myślano, że odwożę chłopaka do obozu.

Wyjechałem z miasta, nie tracąc nadziei, że szczęście będzie dopisywało mi nadal. Kierownica z każdą godziną coraz bardziej parzyła mi ręce. Bałem się, że będę musiał wkrótce porzucić wóz, a nie widziałem sposobu, jak postępować dalej. Helena nie mogła przy tej pogodzie przedzierać się krętymi ścieżkami górskimi; była zbyt słaba, a wraz z utratą wozu zniknęłaby magiczna osłona, zabezpieczająca nas przed wrogami. Nie mieliśmy zezwoleń na wyjazd z Francji. Pieszko wyglądałoby to inaczej aniżeli w kosztownym wozie.

Jechaliśmy dalej. Był to osobliwy dzień. Zdawało się, że po obu stronach ciągną się przepaście, a my jedziemy kolejką linową, uwieszeni nad górami, w jakąś wysoką, zasłoniętą chmurami okolicę. Można to było jeszcze porównać ze starym chińskim obrazem, malowanym tuszem, na którym podróżni maszerują monotonicznie wśród szczytów, obłoków i fal morskich. Chłopak siedział jakby przykuty do swego miejsca, nie ruszając się prawie. Życie nauczyło go tylko jednego: do wszystkiego i wszystkich odnosić się nieufnie. W jego świadomości nie utkwilo nic innego. Gdy kulturtragerzy Trzeciej Rzeszy rozłupali jego dziadkowi czaszkę, miał zaledwie trzy lata, gdy powiesili ojca — siedem i dziewięć, gdy zagazowali jego matkę. Był prawdziwym dzieckiem dwudziestego wieku. Sam uciekł z obozu koncentracyjnego i samotnie przedzierał się przez granice. Gdyby został złapany, odesłano by go jako dezertera do obozu i powieszono. Obecnie kierował się na Lizbonę; miał tam rzekomo mieszkać jego wujek, który był zegarmistrzem. Tak poinformowała go matka ostatniego wieczoru, gdy przed pójściem do komory gazowej błogosławiła go i dawała ostatnie rady.

Wszystko szło dobrze. Przy przekraczaniu granicy francuskiej nikt nie zapytał o zezwolenie na wyjazd. Pokazałem z daleka paszport i załatwiłem drobne formalności związane z samochodem. Żandarmi zsalutowali, szlaban uniósł się do góry i Francja pozostała za nami. W kilka minut potem hiszpańscy celnicy podziwiali nasz samochód i zapytywali, ile kilometrów robi na godzinę. Coś im odpowiedziałem, a oni zaczęli się rozvodzić nad hispano-suizą, ostatnią głośną marką jednego z ich wozów. Odpowiedziałem, że miałem coś takiego, i opisałem lecącego żurawia, znak chłodnicy. Byli zachwyceni. Z kolei zapytałem, gdzie mógłbym zatankować wóz. Wyjaśnili, że dla przyjaciół Hiszpanii jest zarezerwowany specjalny przydział benzyny. Nie miałem peze-

tów. Wymienili mi franki i wkrótce z uprzejmą serdecznością pożegnaliśmy się z nimi.

Opadłem na oparcie siedzenia. Grzbiety gór i chmury zniknęły. Przed nami był obcy kraj, różniący się od reszty Europy. Nie byliśmy jeszcze bezpieczni, ale między Francją a tym krajem leżała przepaść. Oglądałem ulice, osły, ludzi, surowy kamienisty krajobraz — byliśmy w Afryce. To był prawdziwy Zachód, tu, z drugiej strony Pirenejów, czułem to. Potem spostrzegłem, że Helena płacze.

— Jesteś więc tam, gdzie chciałeś — szepnęła.

Nie wiedziałem, co przez to rozumie. Jeszcze nie wierzyłem sam sobie, że wszystko poszło tak gładko. Myślałem o uprzejmości, pozdrowieniach, uśmiechach — po raz pierwszy od wielu lat przeżywałem to znowu. Ale trzeba było stać się mordercą, by być traktowanym jak człowiek.

— Dlaczego płaczesz? — spytałem. — Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Hiszpania jest pełna gestapowców. Powinniśmy przejechać przez jej teren możliwie najszybciej.

Spaliśmy w jakiejś małej miejscinie. Myślałem o porzuceniu wozu — dalej odbywalibyśmy podróż koleją. Jednak nie zrobiłem tego. Hiszpania nie była bezpieczna; trzeba było ten kraj jak najszybciej opuścić. Wóz w jakiś niezrozumiały sposób stał się dla nas czymś w rodzaju posępnej maskotki; jego techniczne zalety wyparły strach, jakim mnie przejmował. Był mi jeszcze za bardzo potrzebny; nie myślałem o Georgu. Zbyt długo unosił się jego złowróżbny cień nad moim życiem; obecnie odczuwałem tylko to, że nie istnieje. Myślałem o dowcipnym młodym człowieku. Żył jeszcze i mógł telefonicznie spowodować nasze aresztowanie. Każdy kraj wydaje zbiegłego mordercę. Czy działałem w obronie koniecznej — musiałbym udowodnić tam, gdzie to miało miejsce.

Granicę portugalską osiągnęliśmy następnej nocy. Po drodze bez trudności otrzymałem wizę. Na granicy kazałem Helenie pozostać w wozie i nie wyłączać motoru. Gdyby zauważyła, że moja rozmowa ze strażnikami przybiera niekorzystny obrót, powinna ruszyć z miejsca wprost na mnie; wskoczyłbym wówczas do wozu i w ten sposób przedarlibyśmy się do strażników portugalskich. Nic groźnego nie mogło się nam przydarzyć; była to mała stacyjka i zanim strażnicy zorientowaliby się i zaczęli w ciemnościach strzelać, znaleźlibyśmy się już po tamtej stronie. Inna sprawa, jak przyjęliby nas strażnicy portugalscy.

Nic się nie zdarzyło... Przed nami w ciemności na wietrze stali umundurowani strażnicy, niby żywcem wzięte postacie z obrazu goyi. Zasalutowali i pojechaliśmy dalej do punktu granicznego po stronie portugalskiej, gdzie potraktowano nas w identyczny sposób. Ale gdy wóz już ruszał, z budynku wypadł jeden z celników i pędząc za nami zaczął krzyczeć, byśmy się zatrzymali. Zorientowałem się natychmiast, że jechać dalej nie mogę, gdyż zatrzymano by nas w następnej miejscowości. Stałem. Wstrzymaliśmy oddech.

Urzędnik dopadł samochodu.

— Karnet — powiedział. — Zostawił go pan. W jaki sposób przejechałby pan z powrotem przez granicę?

— Serdecznie dziękuję! — Siedzący za mną młody pasażer odetchnął. Ja sam przez chwilę miałem uczucie, że pozbawiony jestem siły ciężkości, tak mi ulżyło. — Jesteś już w Portugalii! — powiedziałem do chłopca.

Odjął powoli ręce od ust i po raz pierwszy wyprostował się. Dotychczas przez całą drogę siedział skulony. Mimo nas przelatywały wsie. Szczekały psy. Wśród nocy płonął ogień. Była to kuźnia, przed którą kowal przybijał siwoszowi podkowę. Deszcz przestał padać. Spodziewałem się, że nareszcie stanie się to, na co tak długo czekałem — będę się czuł wolny. Ale nie doznawałem tego. Helena siedziała cicho obok mnie. Chciałem się cieszyć, lecz czułem pustkę.

Z Lizbony zatelefonowałem do amerykańskiego konsulatu w Marsylii. Przedstawiłem sprawę tak, jak wyglądała do momentu, kiedy ukazał się Georg. Człowiek, z którym rozmawiałem, był zdania, że teraz już jestem bezpieczny. Osiągnąłem to, że przyrzekł mi przesłać wizę, gdy tylko będzie gotowa, do konsulatu w Lizbonie. Samochodu, który tak długo nas chronił, trzeba było wreszcie się pozbyć.

— Sprzedaj go — rzekła Helena.

— Zrzucę go gdzieś do oceanu.

— To nic nie zmieni — powiedziała. — Potrzebujesz pieniędzy, sprzedaj go.

Miała słuszność. Sprzedałem go bez trudności. Nabywca powiedział, że opłaci cło i przemałuje wóz na czarno. To był handlarz. Transakcja została dokonana na nazwisko Georga. W tydzień później widziałem go z numerem portugalskim. W Lizbonie było wiele podobnych samochodów; poznałem go po małej wypukłości na lewym stopniu. Paszport Georga spaliłem.

Schwarz spojrział na zegarek.

— Niedługo już skończę. Raz w tygodniu chodziłem do konsulatu. Jakiś czas mieszkaliśmy w hotelu. Miałem jeszcze pieniądze ze sprzedaży samochodu. Chciałem zapewnić Helenie możliwie najwyższy luksus. Znaleźliśmy lekarza, który pomógł jej zdobyć leki. Pewnego razu poszedłem nawet z nią do kasyna. W tym celu wypożyczyłem smoking. Helena miała jeszcze swoją suknię paryską. Kupiłem jej złote pantofelki. Tamte zapomniałem w Marsylii. Czy zna pan tutejsze kasyno?

— Niestety — powiedziałem. — Byłem tam wczoraj wieczorem. Źle zrobiłem.

— Poradziłem Helenie, żeby zagrała — powiedział Schwarz. — Dopisało jej szczęście. Wygrywała raz za razem. Rzucała byle jak, niedbale, i za każdym razem wychodził numer. Ten ostatni okres niewiele miał wspólnego z rzeczywistością. Zdawało się, że znowu powrócił ów czas spędzony w zamku. Było w tym trochę gry, jednak po raz pierwszy doznawałem uczucia, że Helena w całości należy do mnie, chociaż z każdym dniem wymykała mi się coraz bardziej w objęcia najbardziej nieubłaganego ze wszyst-

kich kochanków. Jeszcze się nie poddawała, ale i nie walczyła już. Następowaly noce po nocach pełne udręki, podczas których słyszałem jej płacz; a potem nadchodziły znowu nieziemskie omal chwile, kiedy słodycz, beztroska, mądrość i miłość, nie krępowane przez ciało, osiągały takie natężenie, że stawałem się niemal bezwładny.

— Ukochany mój — powiedziała raz do mnie w nocy — ten tylko raz mówiła ze mną o tym — nie zobaczymy razem tej upragnionej przez ciebie ziemi obiecanej.

Poszedłem z nią po południu do lekarza. Niby błysk pioruna ogarnął mnie teraz bezsilny bunt, jaki człowiek przeżywa, gdy zdaje sobie sprawę, że nie może utrzymać tego, co jest mu najdroższe.

— Heleno — powiedziałem zdławionym głosem.

— Cośmy otrzymali od życia?

Milczała. Potem potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Wszystko, co mogliśmy — odpowiedziała. — I to wystarczy.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy w konsulacie powiedziano mi, że to, co uważałem za nieprawdopodobne, stało się faktem: przysłano nam dwie wizy. Pijacki nastrój przypadkowego spotkania działał to, czego osiągnąć nie mogły wszystkie upokorzenia i błagania! Śmiałem się! To była histeria. Czy nie sądzi pan, że gdyby można było się śmiać, jest dzisiaj na świecie z czego się śmiać.

— Śmiech kiedyś się skończy — odpowiedziałem.

— Dziwne, jak często śmialiśmy się w ostatnich już dniach — powiedział Schwarz. — Zdawało się, że dotarliśmy do portu zabezpieczonego od burz. Gorycz została wyszczona, zabrakło już łez, a smutek stał się tak przejrzysty, że często nie można było go odróżnić od ironicznie melancholijnej wesołości. Przeprowadziliśmy się do małego mieszkanca. Z niepojętą ślepotą realizowałem daleki mój plan wyjazdu do Ameryki. Statki nie odpływały przez długi czas, w końcu dowiedziałem się, że jeden wyruszy na pewno. Sprzedałem ostatniego Degasa i wykupiłem dwa miejsca. Byłem szczęśliwy. Zdawało mi się, że jesteśmy uratowani. Wbrew wszystkiemu! Wbrew opinii lekarzy. Liczyłem na jeszcze jeden cud.

Odjazd został o kilka dni przesunięty. Przedwczoraj poszedłem jeszcze raz do biura podróży. Poinformowano mnie, że statek odpływa dzisiaj. Powiedziałem o tym Helenie i wyszedłem na miasto, by jeszcze coś kupić. Kiedy wróciłem, nie żyła. Wszystkie lustra w pokoju były rozbite. Jej suknia paryska leżała podarta na podłodze. Obok niej — Helena; nie leżała na łóżku.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to morderstwo rabunkowe, potem, że to ktoś z gestapo ją zabił, ale przecież szukano mnie, nie jej. Dopiero kiedy stwierdziłem, że prócz luster i sukni nic nie było uszkodzone, zrozumiałem. Przypomniałem sobie truciznę, w którą sam ją zaopatrzyłem. Mówiła mi, że ją gdzieś zgubiła. Stałem i patrzyłem jak osłupiały, potem zacząłem szukać listu. Nie znalazłem. Odeszła bez słowa. Czy pan

to rozumie?

— Tak — odpowiedziałem.

— Pan to rozumie?

— Tak. Bo i co miała panu napisać?

— Cokolwiek. Dlaczego? Albo...

Umilkł. Myślał zapewne o jej ostatnich słowach, ostatnich zapewnieniach miłości, o czymś, co mógł zabrać z sobą w swoją samotność. Nauczył się, że wiele utartych pojęć trzeba wyeliminować, ale tego widocznie nie.

— Ona nigdy nie mogłaby skończyć, gdyby raz zaczęła pisać — powiedziałem. — Przez to, że nic nie napisała, powiedziała panu więcej, niż kiedykolwiek mogła wyrazić słowami.

Rozmyślał nad tym.

— Czy widział pan ogłoszenie w biurze podróży? — wyszeptał po chwili. — Przesunięty o jeden dzień. Żyłaby o jeden dzień dłużej, gdyby o tym wiedziała!

— Nie.

— Nie chciała odjechać ze mną. Dlatego to zrobiła!

Potrząsnąłem głową.

— Nie mogła dłużej znosić bólu, panie Schwarz — powiedziałem łagodnie.

— Nie chce mi się w to wierzyć — odparł Schwarz. — Dlaczego właśnie w przeddzień wyjazdu to uczyniła? Czyżby myślała, że jako chorą nie wpuszczono by jej do Ameryki?

— Dlaczego nie chce pan przyznać ciężko choremu człowiekowi prawa do decyzji, w jakiej chwili życie staje się dla niego nie do zniesienia? — odpowiedziałem. — To jest przecie to minimum, na które możemy się zdobyć!

Schwarz popatrzył na mnie uważnie.

— Wytrzymała do końca — powiedziałem. — Z powodu pana, czy pan tego nie widzi? Tylko ze względu na pana. Kiedy upewniła się, że jest pan uratowany, skończyła z sobą.

— A gdybym nie był tak ślepy? Gdybym nie planował wyjazdu do Ameryki?

— Panie Schwarz — powiedziałem. — To nie zahamowałyby choroby.

Pokręcił głową w jakiś szczególny sposób.

— Odeszła i nagle wygląda tak jak gdyby nigdy nie istniała — szeptał — przyglądałem się jej, lecz odpowiedzi nie otrzymałem. Co zrobiłem? Zabiłem ją czy uczyniłem szczęśliwą? Kochała mnie czy byłem tylko laską, o którą się opierała, gdy była jej potrzebna? Na próżno szukam odpowiedzi.

— Czy musi pan ją mieć?

— Nie — odpowiedział cicho. — Przepraszam pana. Prawdopodobnie nie.

— Bo nie ma. Nie ma innej prócz tej, której pan sam sobie udzieli.



— Opowiedziałem to panu, bo muszę wiedzieć — wyszeptał. — Co to było? Czy było to puste, bezmyślne życie, życie człowieka bezużytecznego, rogakca, mordercy...

— Tego nie wiem — odpowiedziałem. — Ale jeżeli pan pozwoli, również człowieka kochającego, i jeśli pana to nie urazi... w pewnym sensie świętego... Lecz co znaczą słowa? Tak było naprawdę. Czy to nie wystarczy?

— Tak było naprawdę, ale czy jest jeszcze?

— Tak będzie dopóty, dopóki pan będzie istniał.

— Tylko my to przechowamy — wyszeptał Schwarz. — Pan i ja. Nikt więcej. — Utkwił wzrok we mnie. — Niech pan pamięta! Ktoś winien to zachować. To nie może ulec zapomnieniu! Tylko jesteśmy my dwaj. U mnie to nie jest pewne. To nie może umrzeć. Winno trwać nadal. U pana jest pewne.

Mimo całego sceptycyzmu poczułem się dość dziwnie. Czego chciał ten człowiek? Czy zamierza razem ze swoim paszportem przekazać mi swoją przeszłość? Czy chciał może odebrać sobie życie?

— A dlaczego ma się nie zachować w pańskiej pamięci? — spytałem. — Przecież będzie pan żyć nadal, panie Schwarz.

— Nie odbiorę sobie życia — odpowiedział Schwarz spokojnie. — Nie zrobię tego, odkąd poznałem tamtego dowcipnego młodego człowieka i wiem, że on jeszcze żyje. Ale moja pamięć będzie usiłowała zniszczyć wspomnienie. Zostanie ono rozczłonkowane, rozdrobnione, zatarte i sfalszowane, a w końcu stanie się znośne i niebezpieczne. Już po kilku tygodniach nie potrafiłbym opowiedzieć panu tego, co opowiedziałem panu dzisiejszej nocy. Dlatego właśnie zwróciłem się do pana, żeby pan mnie wysłuchał! Pan zachowaj to niespaczone, ponieważ dla pana nie jest niebezpieczne. Musi się przecież gdzieś zachować! — powiedział nagle z rozpaczą. — U kogokolwiek, tak jak było naprawdę, jeszcze bodaj przez krótki czas. — Wyciągnął z kieszeni dwa paszporty i położył przede mną.

— Tu jest także paszport Heleny. Bilety już panu dałem. Ma pan tu też amerykańską wizę. Dla dwóch osób. — Uśmiechnął się nieznacznie i zamilkł.

Spoglądałem na paszporty.

— Czy naprawdę pański nie będzie panu potrzebny? — spytałem przezwyciężając się z trudem.

— Pan odda mi swój — odpowiedział Schwarz. — Będę go potrzebował przez jeden, dwa dni. Do granicy.

Spojrzałem na niego.

— W Legii Cudzoziemskiej nie pytają o paszporty. Pan wie, że przyjmują tam emigrantów. Jak długo jeszcze istnieją tacy ludzie jak tamten młody człowiek, byłoby przestępstwem pozbawiać się życia, które może być wykorzystane przeciwko takim jak on barbarzyńcom.

Wyciągnąłem mój paszport z kieszeni i podałem mu.

— Dziękuję — powiedziałem. — Dziękuję z całego serca, panie Schwarz.

— Mam tu jeszcze coś niecoś pieniędzy. Dla siebie potrzebuję niewiele. — Spojrzałem na zegarek. — Czy mógłby pan jeszcze coś dla mnie zrobić? Za pół godziny przyjdą po nią. Może pan pójść ze mną?

— Oczywiście.

Schwarz zapłacił rachunek i wyszliśmy. Powitał nas rozkrzyczany poranek.

Nie opodal stał na kotwicy okręt, biały i niespokojny.

Stałem w pokoju obok Schwarza. Rozbite lustro wisiały jeszcze na ścianach. W tej chwili były puste. Resztki szkła zostały już uprzątnięte.

— Czy nie powinienem był spędzić ostatniej nocy przy niej? — zapytał Schwarz.

— Pan był przy niej.

Kobieta leżała w trumnie, jak wszyscy umarli; o twarzy nieskończenie obojętnej. Nic i nikt już jej nie obchodził — ani Schwarz, ani ja, ani ona sama. Nie można już było wyobrazić sobie, jak wyglądała za życia. To, co spoczywało w trumnie, było posągiem, którego wygląd, wówczas gdy żył i oddychał, znał tylko Schwarz. Ale Schwarz sądził, że teraz i ja również.

— Ona ma jeszcze... — powiedział — tam były jeszcze... — Wyciągnął z szuflady kilka listów. — Nie czytałem ich. Niech je pan zabierze.

Wziąłem listy i chciałem włożyć je do trumny. Potem jednak rozmyśliłem się — Schwarz wierzył, że umarła teraz wreszcie należy wyłącznie do niego. Listy od innych nie miały już nic z nią wspólnego — nie chciał, by je zabierała z sobą, i nie chciał ich zniszczyć, ponieważ mimo wszystko należały do niej.

— Wezmę je — powiedziałem i schowałem do kieszeni. — One nie mają żadnego znaczenia. Znaczą mniej niż pieniędzy, za który kupuje się talerz zupy.

— Kule — odpowiedział. — Ja wiem. Nazwała je kiedyś kulami, o które musi się oprzeć, by nadal pozostać mi wierną. Czy pan to rozumie? Co za nonsens...

— Wcale nie — powiedziałem bardzo ostrożnie, z serdecznym współczuciem. — Dlaczego nie zostawi pan jej w spokoju? Kochała pana i pozostała przy panu tak długo, jak mogła.

Skinał głową. Wydał się nagle ogromnie złamany.

— To właśnie chciałem wiedzieć — szepnął.

Zrobiło się gorąco w pokoju z przykrą wonią, muchami, pogaszonymi świecami, słońcem za oknem i ze zmarłą. Schwarz dostrzegł moje spojrzenie.

— Pomogła mi jedna kobieta — powiedział. — Ciężko jest w obcym kraju. Lekarz. Policja. Zabrali ją. Wczoraj wieczorem odesłali z powrotem. Badali. Chodziło o przyczynę śmierci. — Przyglądał mi się bezradnie. — Ona jest... ona nie jest cała...

Powiedziano mi, żebym jej nie odkrywał...

Nadeszli tragarze. Trumnę zabito. Schwarz zachwiał się.

— Pojadę z panem — powiedziałem.

To nie było zbyt daleko. Dzień był jasny, a wiatr niby pies owczarski pędził przed sobą stado baranków na niebie. Schwarz stał mały i zagubiony pod wielkim niebem na cmentarzu.

— Czy pojedzie pan z powrotem do domu? — spytałem.

— Nie.

Miał przy sobie walizkę.

— Czy zna pan kogoś, kto mógłby skorygować paszporty? — spytałem.

— Gregorius. Jest tu od tygodnia.

Poszliśmy do Gregoriusa. Paszport dla Schwarza poprawił bardzo szybko. Nie wymagał wielkiej dokładności. Schwarz miał przy sobie zaświadczenie biura werbunkowego Legii Cudzoziemskiej. Paszport był mu potrzebny tylko przy przekraczaniu granicy, a po przybyciu do koszar po prostu go wyrzuci. W Legii nie pytano o przeszłość.

— Co się stało z chłopcem, którego pan wówczas zabrał? — spytałem.

— Wujek go nienawidzi. Ale chłopak jest uszczęśliwiony, że przynajmniej ma kogoś z rodziny, kto go nienawidzi... nie tylko obcy.

Spojrzałem na człowieka, który nosił obecnie moje nazwisko.

— Życzę panu wszystkiego dobrego — powiedziałem uważając, by nie nazwać go Schwarzem.

Nic lepszego, jak ten oklepany zwrot, nie przyszło mi do głowy.

— Nie zobaczę już pana nigdy — odrzekł. — I tak jest dobrze. Za wiele panu opowiedziałem, bym chciał się z panem znowu zobaczyć.

Nie byłem tego taki pewny. Może się zdarzyć, że właśnie dlatego zechce się ze mną widzieć. W jego pojęciu byłem jedynym człowiekiem, który unosił z sobą niesfałszowany obraz jego losu. Ale może właśnie dlatego mnie znienawidzi, gdy w końcu dojdzie do przekonania, że zabrałem mu żonę, tym razem bez możliwości powrotu i na zawsze — ponieważ sądzi, że jego własne wspomnienie go zwodzi i tylko moje pozostaje czyste.

Patrzyłem, jak szedł ulicą z walizką w rękę, żałosna postać — obraz odwiecznego rogowca i odwiecznego wielkiego kochanka. Bo czyż kobieta, którą kochał, nie należała do niego nieporównanie więcej niż do galerii głupich zdobywców? I co właściwie do nas należy? Po co tak wiele hałasu o rzeczy, które w najlepszym wypadku zostały nam tylko na jakiś czas wypożyczone; i po co tyle się mówi, że więcej lub mniej się posiada, wtedy gdy oszukańcze słowo „posiadać” znaczy tyle, co wziąć w objęcia powietrze?

Miałem fotografię żony przy sobie; w tym czasie nosiło się zawsze zdjęcia, ponieważ ciągle były potrzebne do różnych dokumentów. Gregorius zabrał się natychmiast do roboty. Nie odstępowałem go. Paspporty były dla mnie zbyt ważne, bym miał je spuszczać z oczu.

W południe były gotowe. Pobiegłem do nory, w której mieszkaliśmy. Ruth siedziała na oknie i przyglądała się dzieciom rybaków, bawiącym się na podwórzu.

— Przegrałeś? — zawołała, gdy stanąłem w drzwiach.

W podniesionej ręce trzymałem paspporty.

— Jutro jedziemy — powiedziałem. — Mamy teraz nowe nazwiska, każde inne, będziemy musieli w Ameryce wziąć ślub po raz drugi.

Prawie nie myślałem o tym, że będę legitymował się teraz paspportem człowieka, którego z powodu dokonanego morderstwa może już poszukiwała policja. Następnego wieczoru odpłynęliśmy i bez żadnych przeszkód dobiliśmy do Ameryki. Ale paspporty dwojga kochanków nie przyniosły nam szczęścia. Ruth w pół roku później odeszła ode mnie. Aby sprawa mogła być zalegalizowana, musieliśmy się pobrać po raz drugi. Wysłała potem za mąż za owego bogatego, młodego Amerykanina, który udzielił Schwarzowi poręczenia. Wydało mu się to wszystko bardzo komiczne. Był świadkiem na naszym drugim ślubie. W tydzień później wzięliśmy rozwód w Meksyku.

Okres wojny spędziłem w Ameryce. Co dziwne, zacząłem się interesować malarstwem, które przedtem ledwie zauważałem. Przejąłem to, jakby w spadku po dalekim zmarłym pra-Schwarzu. Myślałem często o tym drugim, gdzieś może jeszcze żyjącym. Obaj stopili się w jakieś widmowe zjawisko, wywierające, jak mi się zdawało, wpływ na moje dalsze losy, chociaż uświadomiłem sobie, że jest to nonsens. Znalazłem w końcu pracę w przedsiębiorstwie zajmującym się handlem dziełami sztuki i zawiesiłem w moim mieszkaniu kilka litografii dzieł Degasa, które szczególnie lubiłem.

Często też myślałem o Helenie. Widziałem ją tylko raz, po śmierci, a nawet przez jakiś czas, kiedy byłem samotny, marzyłem o niej. Listy, które przekazał mi Schwarz, wrzuciłem nie czytając do Atlantyku. Było to pierwszej nocy po naszym wypłynięciu z Lizbony, kiedy statek sunął szybko po falach oceanu. W jednym z nich wyczułem coś twardego. Wydostałem w ciemności list z koperty i znalazłem w nim płaski kawałeczek bursztynu. Tkwiła w nim niezwykle delikatna muszka, uwięziona w skamieniałej postaci przed tysiącami lat.

Zatrzymałem to i przechowywałem u siebie — małą muszkę zastygłą w swej śmiertelnej walce w klatce ze złotych łez, podczas gdy inne, podobne do niej muszki, pożarte lub zamarzłe, zginęły bez śladu.

Po wojnie wróciłem do Europy. Miałem nieco kłopotów z ustaleniem mojej tożsamości — w tym samym bowiem czasie setki „nadludzi” w Niemczech na gwałt wypie-

rało się swojej osobowości. Paszport obu Schwarzów podarowałem komuś — zaczęła się formować nowa fala emigrantów. Bóg jeden wie, gdzie się teraz znajduje! O Schwarzu nigdy już więcej nie słyszałem. Pewnego razu pojechałem nawet do Osnabrück i zapytywałem tam o niego, choć nie pamiętałem już jego prawdziwego nazwiska. Miasto było zniszczone i nikt nic o nim nie wiedział i nie interesował się nim. W drodze na dworzec wydało mi się, że go widzę. Pobiegłem za nim; był to jednak sekretarz poczty, który wyjaśnił, że nazywa się Jansen i jest ojcem trojga dzieci.

## SPIS TREŚCI

1.	3
2.	17
3.	23
4.	31
5.	49
6.	57
7.	65
8.	75
9.	86
10.	98
11.	109
12.	120
13.	127
14.	138
15.	150
16.	160
17.	175
18.	187